

TO NIE BĘDZIE CICHĄ NOC!
TO BĘDĄ ZUPEŁNIE INNE ŚWIĘTA...

IWONA BANACH



WIGILIA
ZE SKUTKIEM
ŚMIERTELNYM

KOMEDIA
KRYMINALNA

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

**IWONA
BANACH**

**WIGILIA
ZE SKUTKIEM
ŚMIERTELNYM**



Spis treści

Karta redakcyjna

WIGILIA ZE SKUTKIEM ŚMIERTELNYM

Redakcja
Monika Orłowska

Korekta
Bożena Sigismund

Skład i łamanie
Marcin Labus

Projekt okładki
Agnieszka Kielak

Zdjęcie wykorzystane na okładce
© AdobeStock

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2022

© Copyright by Iwona Banach, Warszawa 2022

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-67343-70-1



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 25 19

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: eLitera.s.c

Milka była wściekła. Jakkolwiek to zabrzmiało, dziś nie chciała być dla nikogo miłą. Od zawsze przeklinała brata matki, który poszedł ją zarejestrować w urzędzie stanu cywilnego, jak tylko się urodziła. Sepłenił. I tak zamiast Mirosławą została Miłosławą.

Oba imiona miały swoje wady, ale to drugie więcej.

Bywała więc Miłencją dla kolegów, Miłową dla koleżanek, sama jednak preferowała Miłkę.

Radziła sobie, ale dzisiaj jej poukładane życie zniszczyła loteria i rozdzielność majątkowa. Pieniądze naprawdę szczęścia nie dają, niby każdy to mówi, lecz nikt tak naprawdę w to nie wierzy.

I co z tego, że wygodniej się płacze w mercedesie niż na rowerze, skoro się jednak płacze? Faktem jest, że srebrnym półmiskiem łatwiej zatłuc gnoja niż plastikowym, ale kraty wciąż te same.

A przecież mogło być pięknie.

Byli razem od siedmiu lat i kochali się, planowali nawet dziecko i ślub. Karol był trochę nieporadnym zawodowo i życiowo słodziakiem i jakoś tak wyszło, że to ona go od tych siedmiu lat utrzymywała, bo może nie zarabiała kokosów, ale powodziło jej się niezłe, to znaczy im, to znaczy ona tak myślała.

Aż do tego dnia, kiedy Karol wygrał na loterii.

Za co kupił los? Na pewno za kieszonkowe, które mu hojnie wypłacała. Co prawda, początkowo radość była wielka, aż Karolek z zasmuconą miną przyszedł w towarzystwie mamusi i oświadczył, że owszem, ślub tak, ale muszą podpisać intercyzę.

No i wtedy totalnie trafił ją szlag.

Nie zemdleła, nie dostała apopleksji, tylko ledwo powstrzymała się od przekleństw i skopania teściowej tyłka.

Nawet nie chodziło o intercyzę, ale o to, że pojęła, jak Karol działa. Chodziło o to, że wszystko, co jest jej, jest wspólne, a co jego – to jego. I że przecież żyli od lat razem, ona go karmiła i ubierała, bo się gnojowi nie chciało zapieprzać do pracy.

No dobra.

Zdolny był, niestety rzeczywiście nie miał szczęścia do szefostwa. Wciąż początkowo zmieniał pracodawców; ten go nie szanował, tamten stosował mobbing. Potem jakoś został w domu, choć obiadów nie gotował. Rozumiała, nie umiał.

Tak jakoś wyszło.

Przez te wszystkie lata dawała mu nawet na kwiatki dla swojej przyszej teściowej, bo nie dysponował gotówką – na Dzień Matki, na prezent pod choinkę, na wszystko i skarpetki się przecierają... a teraz on wygrał prawie milion i natychmiast postanowił się nim nie dzielić.

Bo to są jego pieniądze, jego ciężko zarobione pieniądze, no a poza tym przecież nie są po ślubie.

– Noż k... Tak to nie będzie! – wyszczała przez zaciśnięte zęby.

I to właśnie zaważyło na tym dniu. A przecież mogło być inaczej. Niekoniecznie lepiej, ale kto wie?

Dlatego jej odpowiedź brzmiała tak, jak brzmiała.

– Nie! Mowy nie ma! Nie zamierzam brać w tym udziału!

Ta odpowiedź była skierowana do jej własnej matki i nie dotyczyła wcale intercyzy, tylko wigilii, którą sobie matka zaplanowała wraz z matką Karola w domu weselnym z tłumem gości i ewentualnymi zaręczynami.

I nie to, że zerwali czy coś, ale nagle to wszystko zaczęło inaczej wyglądać.

Nie chciała podejmować pochopnych decyzji. Chciała się trochę odseparować i coś sobie przemyśleć. Może nakłady na Karola, które wcale nie były małe? Może jego zachowanie? Choćby to, że tę decyzję ogłosił ustami swojej matki i nawet profilaktycznie unikał jej wzroku?

Czyjokolwiek była ta decyzja, to i tak okazała się do dupy, bo albo Karol stanowił prawdziwy okaz zależnego od matki oportunisty, co dobrze nie rokowało, albo zasranego, skąpego, zadufanego w sobie egoisty, co rokowało jeszcze gorzej.

Dodatkowo ta decyzja nie była dla niej aż taka trudna, jak by się wydawało. Miłka nie lubiła wielkich imprez, spędów i rodzinnych nasiadówek, nieważne czy przy karpiu, czy przy kotlecie. Wolała święta spędzić z babcią, która była matką jej ojca, co oznaczało tylko tyle, że należała do rodziny, no może nie dalekiej, ale jednak nieakceptowanej, bo rodzice się rozwiedli, a wiadomo, jak to jest.

Tyle że ona babcię lubiła. A to czasami dużo więcej niż rodzinne więzy miłości.

– Ależ kochanie! – Matka usiłowała jakoś załagodzić sprawę, bo do swojego przyszłego zięcia całkiem się przyzwyczała i nie chciała zmian na tym jakże rodzinnym stanowisku, ale nic to nie pomogło.

Nie, nie nastąpiło zerwanie. To jeszcze nie zostało postanowione. Miłka po prostu chciała się zastanowić i spojrzeć na swój związek z pewnego, nieco większego, dystansu.

– Ale dzieci – jęknęła matka, która była już w tym wieku, że koniecznie chciała mieć wnuki, a kilkuletni związek Miłki z Karolem dawał jej poczucie, że wkrótce nastąpią jakieś zmiany w tym kierunku. Wyszumieli się, nacieszyli sobą, naimprezowali, mogli więc spokojnie się ustatkować i rozmnożyć.

Każdy ewentualny następny związek cofał sprawę macierzyństwa na linię startu. Każdy kolejny facet powodowałby znów te same teksty, że muszą się wyszumieć, nacieszyć i poimprezować, a ona musiałaby czekać.

*

Lucjan (każdy przyzna, że to bezsensowne imię dla diabła, ale dostał je po pradziadku) chciał być człowiekiem. Bardzo, strasznie, nieodzownie i na siłę. Za wszelką cenę. Wiedział, że ludzie są dziwni. Ale diabły też do najnormalniejszych nie należą. To go pociągało.

Genetycznie w zasadzie nawet nie było wielkich różnic, a sprawę z pewnymi zewnętrznymi oznakami diablowości (bo diabliskość to jednak coś o wiele, wiele głębszego) dało się bez problemu załatwić, zresztą kopyta... Really? Gdyby jeszcze miał cztery nogi, to te kopyta by były jakieś bardziej odpowiednie, ale przy dwóch? Okropnie to utrudniało chodzenie, nie mówiąc już o problemach z kręgosłupem, pozbył się ich więc już lata temu, a rogi? One nie były aż tak widoczne, zresztą dopiero mu się sypały, był młody, miał ledwie kilkaset lat.

I chciał mieć żonę.

Diabeł go skusił.

Lucjan awantury się spodziewał, choć raczej nie w tamtym momencie, a jednak nadeszła. W końcu musiała nadejść.

– Żonę! Masz sobie znaleźć żonę! – warknął ojciec. – Wnuka chcę! Ile mam czekać?! Wynocha! Już! Do roboty!

– Ale ja zupełnie nie znam tego miasta i w ogóle niczego – jęknął Lucjan, zawiedziony, że będzie musiał opuścić swoje pielesze i iść na coś w rodzaju poniewierki, no ale ojciec był nieprzejednany – i nie rozumiem, jak to się robi.

– Nie musisz, wystarczy, że poznasz kobiety. Ma być duża, silna i bezwzględnie urodziwa.

– Urodziwa, znaczy ładna?

– Nie! Znaczy, że urodzi. Syna! Won mi stąd! – dodał jak na niego nawet łagodnie, aż z tej łagodności się spocił. Bo to jednak był spory wysiłek.

*

Babcia mieszkała dwa domy dalej, więc Miłka nie musiała za bardzo się wysilać. Ze swojego, choć trochę wspólnego mieszkania, które oczywiście umeblowała, opłacała i wykupiła sama, zabrała tylko piżamę i cały nabyty na święta (jak najbardziej elegancki) alkohol, bo nie chciała siedzieć o suchym pysku, a na dodatek wiedziała, że po powrocie nie zastanie nawet smętnych resztek, ponieważ Karol się nim chętnie i do syta poczęstuje.

Zawsze to ją bawiło, wręcz rozczulało, lubiła wiedzieć, że Karol ma wszystko, co najlepsze, ale dziś się wkurzyła. Tak już jest, że te same zachowania mogą być przyczyną uniesień serca i uniesień siekiery. Wszystko zależy przecież od kontekstu.

Sytuacja oczywiście nie została zaakceptowana przez rodzinę z żadnej strony. Matka wydzwaniała co piętnaście minut, teściowa co pół godziny, oświadczając, że Karol sobie nie życzy takich destrukcyjnych zachowań, oraz sam Karol dzwonił, żeby powiedzieć, że ją pojechało i jest chciwą suką.

Wyłączyła telefon, ale najpierw musiała wysłuchać trzech duchów, szkoda, że dzwoniły do niej, a nie do Ebeneze-ra Scrooge'a.

Duch zeszyłych świąt przypomniał jej ustami matki, że zawsze było tak miło, że wszyscy się cieszyli, że choinka pachniała, a święta były najwspanialszym czasem w roku, ona zaś chce to zepsuć, bo jest niewdzięczna.

Duch obecnych świąt oświadczył ustami ewentualnej teściowej, że nie powinna myśleć o sobie, lecz o innych, że to już zaszło za daleko, że wszyscy czekają na piękne święta, a ona chce to zepsuć, bo jest niewdzięczną suką.

Duch przyszłych świąt ustami babki ze strony matki przekazał jej wizję samotnej, bezdziejnej starości, szklanki wody, której nikt jej nie poda, opuszczenia oraz galopującego alkoholizmu, który niechybnie ją czeka, jeżeli natychmiast nie zjawi się w domu weselnym, gdzie wszyscy na nią czekają, powinna przestać być suką, i to do tego niewdzięczną.

Na czwarty telefon nie zamierzała czekać.

Otworzyła butelkę wina, wypila ją, rozpoczynając zapowiedzianą drogę do alkoholizmu i położyła się w łóżku na poddaszu domu babci, bo nie miała na nic ochoty.

Babcia chyba ją rozumiała, bo stwierdziła, że wieczерzę mogą zjeść nawet o północy albo wcale, bo tradycja tradycją, ale życie jest ważniejsze.

Należała do tych kobiet, które nie myją okien na święta, o ile nie przyjdzie im na to chęć.

Jak na staruszkę była zdecydowanie wyzwolona.

Święta zaczęły się dość smutno, żeby nie powiedzieć ponuro, bo choć babcia przygotowała wszystko od barszczu po kluski z makiem, żadnej z nich nie chciało się zasiadać do stołu, w każdym razie nie w tej chwili.

Wieczór zapadł szybko, zabłysła nawet pierwsza gwiazdka, choć nie było jej widać zza chmur, ulice opustoszały, śnieg nie pojawił się nawet w prognozach pogody, więc szaroburość otoczyła wszystko i wszystkich.

Szarobury był też stan duszy Miłki, bo z pobieżnego, podłanego alkoholem rachunku sumienia wynikało jej, że dała się zrobić w sponsoring, w którym ona płaciła za wszystko, nie żądając w zamian nic poza miłością, i nawet nie zauważyła, że ma nie partnera, ale utrzymanka.

Takie konstatacje bołą.

Poza tym ona się tego po sobie nie spodziewała, zwłaszcza że była zdecydowanie przed trzydziestką.

W kuchni dogorywały wigilijne dania, babcia siedziała w jadalni i rozwiązywała krzyżówki, Miłka rozprawiała się ze swoim życiem w sypialni dla gości, a w salonie telewizor ryczał na całego kolegami.

Kolędy się zlewały, bo dziewczyna trochę płakała, trochę przysypiała, a trochę odpływała w niebyt marzeń, więc słyszała dziwne twory: *Lulajże z głowy zdjęła pasterza, do szopy przybieżeli na lirze, chwala nam monarchowie, chwala nam pastuszkowie, a pokój w Betlejem.*

Miłka leżała na łóżku, taplając się w rozpacz, kiedy zapukała babcia.

– Wiesz co, kochanie – weszła do pokoju, nie czekając na zaproszenie – mogłabyś mu mimo wszystko powiedzieć, żeby nie latał nago? Ja wiem, wiem, teraz są inne czasy, ludzie mają prawo do wyrażania siebie, a nie takie średnio-wieczne, ale co ja poradzę? Z przykrością przyznaję, że trochę mnie to krępuje.

– Ale jak, gdzie? Komu? Karol przyszedł? – Miłka się zjeżyła. – Powiedz mu, żeby spadał! – rozkazała, siadając zaspana na łóżku, jeszcze nie całkiem pewna, gdzie jest i co robi.

– No, z tym może być kłopot – stwierdziła staruszka – bo jakoś tak nie wydaje mi się, żeby posłuchał.

Babcia miała zagadkową, ale i zatroskaną minę.

– Wiem, Karol to debil! – westchnęła Miłka, powtarzając tym samym dokładnie to, co zazwyczaj na jego temat mówiła babcia i z czym dziewczyna się nigdy dotąd nie zgadzała.

– To raczej nie jest Karol – odpowiedziała babcia. – I chyba ci coś umknęło. Jest nagi. Myślałam, że sobie kogoś zamówiłaś, teraz dziewczyny podobno tak robią, jakoś tak w prawo, w lewo i do łóżka, znaczy, na zamówienie, ale nie sądziłam, że dostarczają ich od razu rozebranych.

Miłka popatrzyła na babcie, nic nie rozumiejąc.

– Nie, zaraz, moment, o czym ty mówisz? Jest nagi i nie jest... Karolem? – zapytała, jakby Karol miał w zwyczaju codziennie biegać nago po ulicach. – To kto to jest?

– Nie wiem, sama zobacz, nie wiesz nawet, kogo zamawiałaś? – Babcia nie była wcale taka zniesmaczona, wyglądała raczej na zafascynowaną. Od zawsze interesowało ją wszystko, co działo się dookoła niej, i nigdy niczego nie przekreślała z góry. Owszem, zaglądała ludziom do łóżka, ale nie po to, żeby im zakazywać tego, co tam robią, raczej po to, żeby się dowiedzieć, jak to robią, dlaczego i czy naprawdę nacieranie penisa papierem ściernym daje aż takie efekty jakie reklamowali w internecie.

– Nikogo nie zamawiałam! – obruszyła się Miłka.

– To co? Sam przyszedł? Nago? To nie jest normalne, taki facet może być niebezpieczny!

Nadzy ludzie powinni w zasadzie wydawać się zakłopotani, zawstydzeni albo choć onieśmieleni, ale starszym panom zawsze wydają się niebezpieczni. Szczególnie jeżeli są mężczyznami albo bezwstydnymi, jeżeli są to ludzie w wersji żeńskiej.

– Masz coś do obrony? No i weź portfel, pewnie będziesz musiała mu zapłacić. Teraz za wszystko się płaci.

– Babciu! Ja nie płacę za seks – powiedziała z dumą Miłka, ale zaraz prawie się rozplakała. Teraz już nie była tego pewna.

Po chwili coś innego przyszło jej do głowy.

– Ach więc to tak! – zawołała. – To prowokacja! To musiała zrobić matka Karola. Ona mnie nienawidzi!

Złapała za telefon, żeby nagrywać całą sytuację.

– Będziesz świadkiem! – zawołała ponownie. – Nie dam się szantażować!

Zejście na dół do salonu stało się koniecznością.

*

Leszyn nie był miastem idealnym do polowania na żonę, żadne nie jest, żony są strasznie trudne do zdobycia, dodatkowo Lucjan nie wiedział, jak działają kobiety.

O tym, że nikt nie wie, jak działają, nikt mu wszak nie powiedział, przestraszyłyby się może trochę i zrezygnował, ale w grę wchodziła przecież duma, a nawet dwie – duma diabelska i ta męska, była to mieszanka tak wybuchowa i niebezpieczna, że gdyby poszedł po poradę do psychologa, pewnie dostałby coś na uspokojenie; niestety diabły są pozbawione opieki medycznej. Zresztą ludzcy mężczyźni często dochodzą do wiedzy o swojej niewiedzy na temat kobiet całymi latami, a on był tylko diablem.

Urodził się w leszyńskim lesie, tam siedział przez wieki i właściwie nie interesował się niczym, ludzi unikał, ale ostatnie wydarzenia nieco go pobudziły do działania.

Trochę w tym pobudzeniu swój udział miał papieros znaleziony przypadkiem w lesie. Był ziołowy, a o tym, że był napchany syntetyczną marihuaną, nikt Lucjanowi nie powiedział.

*

Wigilia w domu weselnym też była koniecznością bardziej niż wyborem. Po prostu w mieszkaniu państwa Kobzyków było za mało miejsca. I nie chodziło nawet o ilość i jakość dań, ale o to, że trzydzieści osób w dwóch pokojach, przy jednej łazience to byłby horror.

Miała to być pierwsza wigilia obu rodzin, a więc zaproszeni zostali też rodzice Karola, jego siostra z narzeczonym oraz wszelkie pobliskie ciotki; był też brat Miłki z dziewczyną i jej rodzicami.

Sama rodzina, ale jednak dość liczna. No może jeszcze nie całkiem rodzina, ale wkrótce już tak. Matka Miłki uważała, że warto się lepiej poznać.

Najpierw, na jakiś czas przed wigilijną apokalipsą, poznała zapatrywania kulinarne swoich gości. Bezglutenowe kluski z makiem nie były najgorsze, gorzej było z filedami „ze szczęśliwego karpia”, nie wiedziała, że istnieją szczęśliwe karpie ani czy istnieją karpie z wolnego wybiegu, ale w zasadzie zjedzenie nawet nieszczęśliwego nie powodowało alergii ani śmierci, więc tym się nie przejęła, inaczej się sprawy miały z nietolerancją niektórych ciast (mogły zawierać orzechy), sałatek (mogły leżeć obok owoców morza), a to już mogło powodować prawdziwie groźne konsekwencje.

Śledzie zawierały sól, co było zgubne dla diety bezsólnej, ziemniaki solaninę – trujące, a barszcz benzoesan sodu. Nie mówiąc już o tym, że uszka mogły zawierać grzyby halucynogenne, bo kto wie, czego oni tam dodają.

Byli też weganie żądający sojowego śledzia, frutarianin, który zażyczył sobie bigosu z owoców, ciotka z nietolerancją laktozy, kilkoro cukrzyków, jeden od diety paleo, który domagał się mięsa, bo post postem, ale głodował nie będzie, ktoś stosujący keto (zanim się zaczęło, zjadł cały zapas masła przygotowanego na dzień następny) i było też kilka osób z różnymi poglądami kulinarnymi, które utrudniały wszystkim życie. I poglądy, i osoby, bo gdyby poglądy zachowali dla siebie i nie obnosili się z nimi jak z Nagrodą Nobla, nie byłoby takiego zamieszania.

Prawdę powiedziawszy, dobrze, że cała sprawa oparła się na profesjonalnych kucharzach, bo inaczej ktoś by z pewnością oszalał.

A tak najwyżej opieprzy się kucharza, zrobi awanturę właścicielce, poda do sądu kelnerki i będzie w porządku.

Już samo przygotowanie dań byłoby wystarczającą katastrofą, gdyby nie przebiła tego dezercja Miłki.

Los oczywiście nie próżnował i miał w zanadrzu o wiele więcej niespodzianek, ale jak to z niespodziankami bywa, nie wszystkie okazały się przyjemne.

*

Zejście do salonu przysporzyło im nieco kłopotów – było dość powolne, nieco chwiejne i chaotyczne, bo Miłka wpadła w panikę, a babcia się zasapała. Szły, a właściwie skradały się, jakby czał się na nie morderca z siekierą, choć nie wiadomo, dlaczego brały to pod uwagę, skoro w domku babci miejsca na czajenie się zdecydowanie nie było.

Do salonu nie weszły, stanęły w progu i zaczęły się przyglądać.

Był tam. Siedział rozwalony w fotelu, nie zakrywszy nawet swoich klejnotów.

Wyglądał dziwnie, raczej nie na miejscu z tą swoją nagością i butną pozą, no i się nie ruszał.

– Czy on żyje? – zapytała Miłka, żeby uprzedzić to, o czym pomyślały obie.

Facet wyglądał blado i paskudnie. Był jakiś ciastowato rozlazły. Typowy buc oglądający mecz z piwem w łapsku, ale zamiast meczu były kolędy, w tym akurat momencie w bardzo „artystycznym”, wyjącm wykonaniu, a piwa nie było wcale.

– Ja go macać nie będę! Wybij to sobie z głowy – zareagowała babcia, wiedząc, o co chodzi dziewczynie. – Zamówiłaś go sobie, to go macaj!

– Nie zamawiałam. Naprawdę. No a nawet gdyby, to przecież nie wybrałabym takiego!

Podeszły nieco bliżej, a potem, nieco ośmielone bezruchem faceta, obeszły fotel dookoła.

– Znasz go chociaż? – zapytała babcia, a nie doczekawszy się odpowiedzi, skrzywiła się i cmoknęła z dezaprobatą. – Marny jakiś – dodała po chwili.

Miłka miała wrażenie, że babcia wpatruje się w atrybut jego męskości i stąd ta opinia.

– Nie, nie znam go. Twarz jakby ciut znajoma, ale pewna nie jestem. I co teraz?

Trudno rozpoznać człowieka, którego po raz pierwszy widzi się całkiem nago, nawet jeżeli gdzieś już się go widziało ubranego, bo jego nagość zaciemnia odrobinę sprawę.

– Wezwiemy policję?

I tu powstał problem. Wigilia, goły facet, pijana Miłka, no bo jednak tej butelki wina podlanej hektolitrem łez za kolanek nie wylała. Ludzie nie lubią pokazywać się obcym po pijaku. Poza tym w okresie świątecznym policja ma z pewnością inne, o wiele poważniejsze sprawy na głowie. Niby cisza, spokój, a w zakamarkach świątecznych światów rozgrywają się prawdziwe, krwawe tragedie, porachunki na noże i widelce, tasaków nie wyłączając, o to, kto robi lepszą sałatkę jarzynową, kto ukradł spadek po teściowej i kto wygląda jak lafirynda w tej wyogolonej kiecec z bazaru.

Dlatego wzywanie policji do śmiertelnie spokojnego faceta wydawało się nie na miejscu.

– Przecież nic nam nie zrobił, nie zaatakował nas! Nie włamał się, choć za cholerę nie wiem, jak wszedł – westchnęła dziewczyna. – Co powiemy? Że siedzi? To chyba nie jest przestępstwo. Zadzwoń i co im powiem? „Przyjdźcie, bo goły facet siedzi w moim fotelu”? No bez jaj! Może przeczekamy?

Zdecydowanie trudno jest przeczekać śmierć, ale Miłka wyraźnie to planowała. Babcia miała o wiele bardziej makabryczne pomysły.

– Chcesz go tak zostawić do rana? Przecież wstanie i nas wyrznie jak kaczkę. To musi być jakiś wariat! Na pewno przylazł z tego ośrodka. Można by tam zadzwonić, ale co to da? Na pewno nie przyjadą. Trzeba się go jakoś pozbyć!

Pozbycie się sporego, bezwładnego faceta było problematyczne.

– Bo wiesz, jeżeli on jest martwy... – ciągnęła babcia, usiłując jakoś to wszystko poukładać.

– To tym bardziej! – Miłka była nieprzejednana. – Przecież to nas nie dotyczy, nie będę się zajmować jakimś facetem, który lazi po cudzych domach i sobie ot tak umiera!

– I kto w Wigilię, w taką pogodę lata po cudzych domach nago?

– Wariat?

Rzeczywiście, ośrodek dla psychicznie i nerwowo chorych znajdował się niedaleko, był prywatny i całe miasto zwała wszelki dziwne wydarzenia na ten właśnie przybytek i jego pensjonariuszy. To pozwalało na lepsze układanie świata i nikt nie chciał wierzyć, że akurat to jest całkowitą nieprawdą. Całkowitą nieprawdą był zresztą sam ośrodek, którego nie było. To znaczy oczywiście był. Istniał, ba, nawet zajmował się chorymi, ale nie jako szpital dla wariatów, tylko kurort, który na wariatach zarabiał, i należało być naprawdę bogatym wariatem z bardzo modnym zaburzeniem i pozycją społeczną, żeby się tam dostać.

Ludzie jednak woleli jak zawsze uproszczenia i plotki oraz bardzo wygodne wyszukiwanie kozłów ofiarnych, których w danym momencie potrzebowali, wśród pacjentów kurortu.

A przecież pijany rajd po rondach i wodowanie volvo w sadzawce z łabędziami odstawił całkiem normalny zegarmistrz, a nie żaden wariat. Podpalenie kibelka w parku i wybuch pudła fajerwerków, które obrzuciły przechodniów odchodami, załatwił syn piekarza, też całkowicie normalny, a w każdym razie niezdiagnozowany, jeżeli zaś chodzi o zamknięcie grabarza w grobowcu na jedenaście godzin, po których on osiwił, a pół miasta było przekonane, że duchy wylażą z grobów, odstawił nie kto inny jak Karol. Jej Karol.

Choć on to całkowicie normalny nie był.

– Prześtań się gapić na to pomarszczone małeństwo! Oślepniesz! – warknęła Miłka, widząc, z jaką ciekawością babcia lustruje faceta; ze ślepieniem jakoś jej się to skojarzyło, ale nie była pewna dlaczego. – To co robimy?!

– Ale on się za gościa wigilijnego nie liczy? – zapytała staruszka, chcąc zadbać o swoje dobre imię. – Wiesz, żeby potem nie było, że głodnego z domu wyrzuciłyśmy. Wstyd by był na całą okolicę.

– Babciu! Ty jesteś genialna! – zawołała Miłka, której właśnie przyszedł do głowy pewien pomysł. – Tylko musimy go jakoś choć trochę ubrać...

– Ale co?

– Nic! Dzwonię do Alicji! Ty daj coś, co można na niego włożyć.

*

Diabeł na dopalaczach to zjawisko nieznanne, ale bardzo niebezpieczne. A jakie malownicze! Płonące oczy przemieszczające się w dzikim pędzie pomiędzy drzewami robiły niesamowite wrażenie, wycie przypominało odgłos wichru w kominie... ale jakby fabrycznym, a trzask łamanych gałęzi i chłopot wody w leśnym stawie przywodziły na myśl napowietrznego wieloryba w galopie.

A to wszystko przed Wigilią.

Mieszkańcy byli przekonani, że ludzie znów kradną choinki.

Trochę racji mieli.

Ludzie myślą, że wszystkie paskudne używki to diabelski wymysł, w sensie przenośnym mają rację, w dosłownym już niestety nie. Ludzie mają lepsze laboratoria.

*

Pierwsze, co zrobił, to postanowił rozejrzeć się po mieście. Po raz pierwszy od setek lat popatrzeć i podpatrzeć, jak to jest być człowiekiem.

Przechadzał się w swojej dość diablej postaci po parku, który uważał, nie bez racji, za przedłużenie lasu.

– Dzień dobry, panie burmistrzu – przywitał go najpierw jeden, potem drugi, a wreszcie trzeci mieszkaniec.

Lucjan nie wiedział, co to takiego ten „burmistrz”, ale zadziwiło go w nim słowo, które znał. Ci ludzie mówili do niego Mistrzu? Poczul się jak w domu.

Jednakże fakt, iż widzieli w nim diabła, trochę go zasmucił. On chciał się stać człowiekiem.

Zaczął zaglądać to tu, to tam, żeby jednak przejść na bardziej ludzką stronę mocy.

Widok nagiego mężczyzny siedzącego w fotelu w jednym z domów, mężczyzny, wokół którego chodziły trzy kobiety, przyglądające mu się z zachwytem, a nawet fascynacją, dał mu pewne pojęcie o tym, co powinien zrobić, w końcu czuł się pięknym diabłem.

Zdecydował się zdjąć znoszone zwierzęce skóry i pokazać jakiejś kobiecie w całej okazałości.

W parku.

Do zimna był przyzwyczajony. Tyle się działo, że ostatnimi laty piekło kilka razy zamarzło z niewiadomych przyczyn, więc te marne kilka stopni na minusie nie robiło na nim wrażenia.

Atrybut mu się trochę skurczył, ale mimo wszystko dzielnie stanął w parkowej alejce i zaprezentował się spieszącej do domu kobiecie.

W chwilę potem atrybut skurczył mu się jeszcze bardziej, ze zgrozy.

*

Kiedy Alicja przyjechała, facet na fotelu wyglądał jak drag queen po osiemdziesiątce, choć był młodszy. Ciuchy go postarzały.

Tak *sauté* musiał mieć chyba około czterdziestki, ale mimo wszystko nie przyglądały mu się za bardzo.

Oddolne przyciąganie, stwierdziły wszystkie trzy, sprawiło, że twarz jakoś ich nie zainteresowała. Byłoby pewnie inaczej, gdyby jego penis znajdował się na twarzy, na przykład zamiast nosa. Wtedy przyglądałyby mu się z wielką ciekawością, może też i z osłupieniem, a tak przypadło.

Niby mówi się, że nie suknia zdoła człowieka, ale ciuchy, które na niego włożyły, ozdobiły go tak dokładnie, że nawet w tej wersji nie miały ochoty mu się przyglądać.

*

Maria Kociólek wracała do domu z reklamówką z karpem, workiem małych, okrągłych ziemniaczków, które zamierzała ugotować w mundurkach do śledzia, oraz zrywką, w której miała dwie cegły ukradzione z budowy od szwagra, bo choinka jej się chwiała w stojaku i trzeba było ją czymś ustabilizować.

Musiała ukraść, bo szwagier nie chciał jej dać. Obiecywał, że sam przyjdzie i jej choinkę ustabilizuje. Niestety, kiedy ostatnio miał przyjść naprawić spluczkę w toalecie, czekała na niego sześć miesięcy, a do wigilii miała tylko kilka godzin, więc bała się ryzykować.

Zaferowana, patrzyła na grudy zbrylonego blocka pod nogami, żeby się nie przewrócić. Oczywiście od czasu do czasu podnosiła wzrok, żeby spojrzeć przed siebie.

Widok wielkiego, owłosionego, a do tego nagiego faceta w alejce najpierw zignorowała.

– Co za głupota – skarciła samą siebie, ale spojrzała jeszcze raz.

Facet uśmiechał się lubieżnie.

– O ty gnoju jeden nieogolony! – wrzasnęła, po czym walnęła w niego workiem z ziemniakami. – Ty zбочeńcu!

Ponieważ ziemniaki nie zrobiły na mężczyźnie żadnego wrażenia, wściekła się jeszcze bardziej.

– Zбочeniec! – zawyla straszliwym głosem i dowaliła mu zrywką z cegłami, która starczyła na dwa zamachy, przy trzecim cegły wyleciały i przywały diablę w oko oraz w szczękę.

– Zбочeniec! – wrzasnęła jeszcze raz, poprawiając karpitem.

Jest wiele okrzyków, na które ludzie nie reagują, nie ma co na przykład wzywać „ratunku”, bo nikt nie przybiegnie, na „złodzieja” też nikt się nie zjawi, ale „zбочeniec” działa zawsze, alejka zaroila się od biegnących.

Diabeł zalał się krwią i padł. Ze zdziwieniem wypluł ząb, warga zaczęła mu puchnąć, oko chyba też.

*

Sala weselna była zdecydowanie weselna, a nie za bardzo wigilijna, bo następnego dnia miało się odbyć w niej wesele i zmiana dekoracji była możliwa jedynie za horrendalną dopłatą, tym bardziej że w drugi dzień świąt też miało być wesele czy poprawiny, a potem jeszcze jedno przed sylwestrem, bo wypadła sobota.

Matka Miłki się tym nie przejęła. W końcu po wigilii każdy pójdzie na pasterkę, potem do domu, gdzie choinek i stroików jest pod dostatkiem. Oczywiście najwytrwalsi pewnie wrócą na makowiec i swojskie kielbasy, wędzone boczeki i balerony oraz żeby się dopić, ale o szóstej rano wigilia powinna się skończyć.

Początkowo było miło. To nie znaczy, że potem nie było, ale dezercja Miłki i wygrana Karola wszystko zepsuły. Karol nagle spał. To cecha, która prawie zawsze się pojawia u kogoś, kto zniemacka staje się posiadaczem wielkiej fortuny.

Ludzie też zgłupieli. Naraz zaczęli go traktować jak bożka. A Miłki nie było. Cała misternie przygotowana impreza stała się natychmiast jedną wielką popijawą.

Większość piła z powodu Karola (zazdrość suszy), część z powodu Miłki (wściekłość też), a byli i tacy, którzy pili, bo było za darmo.

Na pasterkę wyszli wszyscy, bo inaczej nie wypadło. Dotarli nieliczni. Część postanowiła przeczekać na ławeczkach w okolicznym parku, a potem wrócić i się dopić.

*

– Nie chcę cię martwić, ale on nie wygląda na żywego – oświadczyła Alicja, biorąc przebranego za drag queen faceta pod pachy.

Pociągnęła go od tyłu. Nie dała rady go podnieść. Zjechał z fotela i rąbnął potylicą o parkiet. Babcia pokręciła głową z dezaprobatą.

– Teraz to już się chyba całkiem zabił – sapnęła i złapała go za nogi. Tym razem ona go pociągnęła. Coś jej chrupnęło w kręgosłupie, jęknęła i usiadła na podłodze.

Zamiast podnosić faceta, musiały podnieść babcie i ją wyprostować, czemu towarzyszyły jęki i złorzeczenia. Kiedy po pół godzinie babcia jako tako stała, choć była skrzywiona i ledwie trzymała się na nogach, facet nadal leżał. Wszystkich ogarnęło zwątpienie.

– O ja pierdole, w życiu go nie wyniesiemy! – oświadczyła Miłka.

– Wyniesiemy! – Alicja podjęła dzieło babci i pociągnęła faceta za nogi w kierunku wyjścia. – Sanki! Podstawcie sanki pod schody.

Sanki stały przygotowane, bo wszyscy mieli nadzieję na śnieg, ale z braku śniegu nawet błoto było przydatne, dziewczyny liczyły, że płozy będą po nim dobrze sunąć.

Dysząc i sapiąc, Alicja ściągnęła faceta w dół schodków. Jego tyłek szorował po nich, a głowa obijała się o stopnie. Przeszła nad sankami i pociągnęła jeszcze raz. Teraz facet leżał w poprzek. Ręce i nogi taplały mu się w błoku.

– I tak zamierzasz go wieźć? – Skulona i nieco skrzywiona babcia nie była zachwycona pomysłem.

– Tylko do samochodu, damy radę, ale nie chcę was martwić, jeżeli to go nie obudziło, to marne szanse, żeby był żywy – westchnęła Alicja.

– No to co? – burknęła Miłka.

– No nic, ale wiesz, jeżeli to są zwłoki, to...

Miłka wzruszyła ramionami.

– Jeśli nawet, to co to ma ze mną wspólnego? – odburknęła. – Nie znam go, gdyby coś, to niech go znajdą w parku, a nie u mnie, a może po prostu ziąb go przetrzeźwi i będzie w porządku. Nie mogę sobie pozwolić, żeby ktoś go znalazł w domu babci!

Miłka bała się, że był to numer celowo wywinięty przez Karola, w którym jakiś jego kolega, może nawet całkiem nietrzeźwy, miał dać się złapać nago u niej, żeby dać Karolowi na nią małżeńskiego haka.

I wcale nie chodziło o zwłoki, lecz o naoczne wykazanie wszystkim, że Miłka się nie nadaje, to znaczy owszem, żoną może zostać, ale nie taką z dostępem do pieniędzy, bo jeszcze je roztrwoni.

Taki akurat hak nikomu nie był do niczego potrzebny i właściwie nie miał sensu, ale jak Miłka coś sobie wbiła do głowy, trudno jej było to z niej wybić. Brała też pod uwagę, że jest to akcja teściowej, która w ten sposób chce zmusić Karola do żądania intercyzy, bo sam Karol jest tylko kochanym, słabym misiaczkiem i boi się mamusi.

Takie postawienie sprawy bardzo by jej pasowało, bo udowodniałoby jedynie, że Karol jest uległym mamusi ciepłym kluchem, a nie chciwym karierowiczem, ona zaś wcale nie jest kretynką, która dawała się dość przez siedem lat.

Alicja była dużą, silną kobietą, o mięśniach ze stali, nad którymi pracowała namiętnie. Staszczyła faceta z sanek, sprytnym chwytem zarzuciła go sobie prawie na plecy i razem z Miłką ruszyły do drzwi samochodu. Potem zamierzały jechać w kierunku domu weselnego.

Babcia podreptała za nimi.

Oparły drag queen o samochód, ale się osunął w blocko. Podniosły go i postanowiły wciągnąć na tylne siedzenie. Trzy razy spadł i trzy razy wracały do punktu wyjścia, czyli blocka. Musiały go jakoś załadować. Kiedy to się wreszcie udało, on leżał na siedzeniu, jego nogi wisiały na zagłówku kierowcy, babcia siedziała na fotelu pasażera.

– A ja? – zapytała wkurzona Miłka, która chętnie może zostałaby w domu, ale była potrzebna na miejscu akcji, bo na babcię w tym względzie nie można było liczyć, choć odpuścić nie chciała.

– Do bagażnika! – zakomenderowała Alicja.

W bagażniku śmierdziało zdechłą rybą i skarpetami.

– Coś ty tu, do cholery, przewoziła? – zapytała dziewczyna, bo takiego zapachu u przyjaciółki w wypieszczonym samochodziku się nie spodziewała.

– Kucharcze z domu weselnego jakieś produkty na imprezę wiozłam – odpowiedziała Miłka, wzruszając ramionami.

Zapach przywodził na myśl kompost i wychodek w jednym, można było pomyśleć, że produkty, które przebywały w tym bagażniku, okres świetności i świeżości dawno miały już za sobą, ale Miłka się tym nie przejęła. Była tak zła na cały świat, że wizja galopującej biegunki biesiadników, czyli de facto całej rodziny, sprawiła jej nawet pewną satysfakcję.

Było już po północy, kiedy stanęły w alejce parku pod domem weselnym. W parkowe alejki oczywiście wjeżdzać nie było wolno, ale kto by się tym przejmował w czasie akcji? Podjechały jak najbliżej się dało. Wypchnęły faceta na trawnik, potem zaczęły wciągać go na ławkę, tym razem też trzy razy lądował w blocku, wreszcie z trudem ustabilizowały go jako tako na ławce.

Siedzący, a wręcz na wpół leżący facet ubrany był w czerwoną bluzkę bez rękawów z żabotem, turkusowy, letni szaliczek z frędzelkami, spore różowe piżamowe gatki do kolan i skarpetki w słoniki.

Tylko to dało się na niego wciągnąć.

Ciuchy zresztą i tak były upaprane.

Babcia poprawiła mu układ nóg i rąk, przez co wyglądał jak kobieta rodząca, ale przynajmniej nie zsuwał się z ławki.

Usadziwszy go, oddaliły się do samochodu, bo właśnie spora grupa ludzi pokazała się u wejścia do parku, co mogło oznaczać zakończenie pasterki.

Zmarznęte wróciły do domu z solennym postanowieniem uzupełnienia zawartości alkoholu we krwi, bo nawet Miłka całkowicie wytrzeźwiała.

Miały też nadzieję, że cała sprawa właśnie przestała ich dotyczyć, że zrobiły całkiem niezły kawał matce Miłki oraz rodzinie Karola, a także że facet otrzeźwiał, wstał i właśnie zziębnięty rozważa, jakim cudem ma na sobie babskie

ciuchy.

Milka miała przebłyski rozsądku, w których zastanawiała się, czy to, co zrobiły, ma sens i czy nie powinny były wezwać policji, ale rozsądek często przegrywa ze strachem. I to wcale nie tym realnym czy uzasadnionym. Przegrywa też z głupimi pomysłami, które pojawiają się znienacka i wydają się całkiem w porządku.

No bo co jeżeli on wcale nie był martwy? Co jeżeli wyszłaby z tego jakaś chryja z matką Karola, co jeżeli wszyscy by się potem z niej śmiali i cały internet huczałby od żartów na jej temat, bo dała się nabrać?

Teraz ośmieszenie w internecie to poważna sprawa. Potrafi zrujnować życie, a cała impreza wyglądała na sztytą bardzo grubymi nićmi. Kim był ten facet? Skąd się wziął? Ktoś go przyniósł? Niemożliwe, nawet wrzask telewizyjnych kołęd nie zagłuszyłby takiej akcji, musiał sam wejść. Ktoś go wpuścił? Możliwe, ale jeżeli tak, to facet nie był martwy. Może nieźle udawał. Zresztą, to jej nie powinno obchodzić, nie znała go, nie zamordowała, nie miała zamiaru się w tym babrać. Niech inni się tym zajmą.

Było też możliwe, ale tylko ciut, ciut, że on martwy jednak był. Jeżeli tak, to przyszedł i umarł nago w salonie babci? Bez sensu. Po co? Dlaczego? Jakim cudem i dlaczego nago?

A najważniejsze – dlaczego tam?!

To musiało być coś innego.

– A teraz to musimy się napić – zaordynowała babcia, patrząc na smętne miny dziewczyn. – No co? Już po północy! Święta są!

*

Mężczyźni wracający się dopić do domu weselnego zauważyli siedzącego na ławce faceta.

– No i widzisz – westchnął jeden – upił się, a teraz co? Patrzenie, jak go urządzili, za babę przebrali. Trzeba go stąd zabrać, bo jak się rano obudzi, to zemdleje jak nic. Zdjęć w takich ciuchach bym nie przeżył!

– Weźmy go do kuchni, ogrzeje się, to wytrzeźwieje. Potem znajdziemy jego ubrania, muszą być gdzieś w szatni.

– No ale wiecie, takich kumpli to bym nie chciał mieć.

I rzeczywiście, mężczyzna przebrany za staruszkowatą drag queen wyglądał paskudnie. Gdyby ktoś zrobił mu teraz zdjęcie i wysłał w sieć, to biedak nie spojrzalby w internet przez lata, bo jego podobizna stałaby się memem jak nic, a to bywa bolesne.

– Znasz go?

– Nie, ale wiesz, ja jestem uczciwy chłop, jak coś do kogoś mam, to po ryju i z głowy, a nie żeby tak ośmieszyć, za babę przebrać, na ulicy zostawić. Nigdy!

We trzech zabrali drag queen z ławki i niespiesznie poszli do domu weselnego. Tam zawlekli faceta do kuchni (zdecydowanie nie współpracował) i chcieli posadzić go pod ścianą, żeby nie przeszkadzał.

– O nie! – warknęła kucharka. – Dalej, nie tutaj, przejście mi tarasuje!

Żeby więc nie przeszkadzał, przenieśli go do jakiegoś pomieszczenia przy kuchni, gdzie oparli go o ścianę, przykryli obrusem i zostawili, by wytrzeźwiał. Los sprawił, że pomieszczeniem tym była chłodnia, ale nie taka prawdziwa, w której da się zamarznąć, lecz jedynie pomieszczenie bez ogrzewania, z dużą liczbą lodówek, w którym trzymano produkty wymagające niskich, ale nie minusowych temperatur. Ratownicy, bo za takich się uważali ci trzej mężczyźni, spełniwszy swój męski i koleżeński obowiązek, wrócili na salę. Zaczęli zauważać u siebie pierwsze niepokojące oznaki trzeźwienia, a że trzeźwieć nie mieli zamiaru, postanowili się dopić.

*

Wędrownka nieznanego nikomu, nagiego lub (czasowo) na wpół nagiego mężczyzny została chwilowo zakończona. Miejsce, w którym się znalazł, zamknięto.

*

– Ale to to już jest wstyd – burknęła Maryśka Kluś, zbierając śmieci spod stołów wigilijnych, które teraz przestawiała, żeby zrobić z nich podkowę, bo wieczorem miało się tu odbyć wesele.

Było tam wszystko: telefon komórkowy, soczewki kontaktowe, kości kurczaka, choć kurczaka akurat nie podawano, majtki i coś, co wyglądało jej na rozrusznik serca, ale najbardziej zadziwił ją wibrator. Nie to że w ogóle, nieraz takie znajdowała pod stołami, ale nie w Wigilię.

– Tak nasyfli? – zdziwiła się jej koleżanka, która właśnie zamiatła podłogi i wycierała je na mokro, bo było sporo błota. Niby ludzie po powrocie z pasterki powinni byli zmienić obuwie, ale kto tego pilnował? Nikt, a ludzie robili, co

chcieli, bo przecież nie byli u siebie.

– A nie, nie o to mi chodzi, ale że ta Donata tak po raz czwarty za mąż się wydaje? Nie wstyd? Mogłaby choć nie robić imprezy...

– Przynajmniej my zarobimy! – roześmiała się koleżanka.

– No, ale tak o, w święta to w domu bym posiedziała, a nie tu z pijakami. No i ona jakaś taka pechowa, trzech mężów pochowała.

– Bo ona to ich seksualnie wymęczyła. Pierwszy to podobno po trzech dniach do ziemi poszedł, a drugi ze trzy tygodnie wytrzymał.

– A trzeci?

– Ten to długo był, koło trzech lat, ale połowę z tego to we więzieniu, a jak tylko wyszedł, to ciach i zawał. Ja to se myślę, że ona to jest takim seksualnym demonem, co facetów wykańcza.

– To czego za nią leżą?

– Bo facet to głupi jest. Każdy. Takiemu to się wydaje, że w te klocki najlepszy na świecie, pokaż mi takiego, co by nie był, a jak usłyszysz, że demon seksu? To już na nic nie patrzy, tylko do ołtarza.

– Do łóżka nie byłoby prędzej?

– Mnie tam wszystko jedno, ale to ona do ołtarza ich ciągnie, żeby potem po nich co odziedziczyć może, przecież wie, że chwila moment facet padnie, ale ony się nie boją, im się zdaje, że dadzą radę, a potem co?

– Zawył.

– Nie, zawał nie zawył.

– Kiedy zawył, bo wyje.

– Jak ona go tak tarmosi, to może i wyje? Takie rzeczy teraz się na świecie odpierdalają...

– Świat to ja mam centralnie w dupie, za bardzo mnie nie obchodzi, za to chłodnia jakby bardziej. Nasza, własna, znaczy szefowej, ale chyba też jakby nasza. No i żarcie nie powinno być.

– A wyje? Żarcie?

– Może być. Na bazarku mówili, że szefowa psy porywa i ludzi po chińsku karmi, i koty. To znaczy nie że koty karmi, ale porywa, a potem ludzie rzygają.

– Kotami?

Sprzątaczką skrzywiła się i zrobiła niepewną minę.

– O te stare żarcie ciebie się rozchodzi? Zeszło wczoraj, jeszcze nawet nie rzygają, a jeśli nawet, to w domach.

– Kiedy ktoś nam tam wyje!

Dom weselny był dawnym sklepem, to znaczy marketem. Kiedy kilka miesięcy wcześniej spora sieć wycofała się z miasta, zostały po niej duże, puste, zadaszone hale.

Idealne na imprezy, bo miejsca do tańca było pod dostatkiem.

Jedną z nich kupiła właśnie ich szefowa i zaadaptowała na salę weselną. Było gdzie poszaleć, gdzie zjeść i gdzie przechowywać produkty, było jakie takie zaplecze kuchenne, była też naprawdę paskudna akustyka, która doprowadzała okolicznych mieszkańców do szaleństwa.

Teraz zaczęła doprowadzać do szaleństwa sprzątaczkę.

– Ale która chłodnia? Ta po stoisku mięsnym czy po serach?

– Chyba bardziej rybna, bo od tamtej strony z boku, od tyłu.

Pogłos niósł się tak, że nie były pewne.

– Ty, a skąd wiesz, że to z chłodni? Może z kuchni? Albo z magazynu?

– A wiem, z chłodni jak nic, bo jak raz na początku szefowa kuriera przez przypadek w chłodni zatrzasnęła, to trzy dni tak był.

Kurier został zamknięty w chłodni nie całkiem przypadkiem. Spóźnił się, szefowa chciała go nastraszyć, to go zamknęła, miało to być ledwie na chwilę, ale że miała sporo na głowie, to o nim zapomniała. Siedział tak trzy dni i był jak potępiony, ale nikt się nim nie przejął, bo wycie było niejako wkomponowane w budynek.

Nie był to obiekt solidny, tak więc miał sporo szpar i kiedy wiało, był. Tak, właśnie budynek. Dorobiono do tego teorii, że to wyje dusza jednego ochroniarza, który rzucił się w pogoń za złodziejem, lecz padł na zawał, zanim go dogonił, bo to był ochroniarz z niepełnosprawnością i nie powinien, ale mu kazali.

W markecie do ochrony zatrudniano inwalidów, byli tańsi. Ich skuteczność sięgała zazwyczaj poziomu zerowego, ale i tak nikogo to nie obchodziło i wszyscy byli zadowoleni, sklep miał ochroniarza, ochroniarze udawali, że są ślepi, a złodzieje starali się kraść tak, żeby podpadać pod wykroczenie, a nie przestępstwo. Trochę im to komplikowało ży-

cie, bo musieli wielokrotnie wykonywać te same czynności, żeby zarobić (w pocie czoła) na życie, ale jakoś to się udawało.

Aż do dnia, kiedy weszły nowe ceny i jeden z tutejszych złodziei przekroczył magiczną sumę, sam tego nie wiedząc. Zauważyła to jedna z kasjerek, nowa, jeszcze bardzo nieobeznana z klimatem miejsca, świętojeblowa neofitka, i wezwała ochronę. Ochroniarz musiał pognać za złodziejem, choć wcale tego nie chciał. Tak oto skończyło się to jego zejściem. I niech ktoś powie, że nie wolno przeliczać życia ludzkiego na pieniądze!

Kobiety zamiast sprzątać, stały i zastanawiały się, co zrobić. Wyło. Niby nic, ale tego dnia nie wiało, można więc było sądzić, że nie jest to wycie pochodzenia naturalnego.

– I co zrobimy?

– Niech se wyje, jak szefowa przyjdzie, to klucze przyniesie. Sprawdzi, czy jakiego kuriera nie zamkła.

Wycie niesło się po całym obiekcie i było dość makabryczne. Bolesne, jęklive, przerażone i bardzo głośne.

– Ty, a jeżeli to ta demonica seksualna tak sobie kochanka nawołuje?

– W naszej chłodni? Oszalałaś?

– A bo wiesz, oni teraz seks uprawiają całkiem gdzie popadnie. To dlaczego nie w chłodni?

Kobiety były ciekawe, kto, gdzie i dlaczego wyje, ale też musiały sprzątać.

Obeszły zaplecze, nasłuchując i niewiele wywnioskowały. Jak one były z prawej, pogłos dochodził z tyłu, jak poszły z tyłu, wydawało im się, że wyje z lewej, a z lewej słychać było, co prawda, stukoty i łomot, ale wycie dochodziło jakby spod samego sufitu.

– Demonica, pewnie lata.

– No to już nie wiem, mówiłaś, że z chłodni?

– A ty myślisz, że ona co? Przez ściany nie przejdzie? I to jeszcze takie dyktowe?

– Czyli jakby co? Zabiła już tego, co go miała za męża brać? I szuka drugiego?

– A kto ją tam wie? Wszystko możliwe, toż ona podobno cała z plastiku. I cyc, i tyłek... Usta normalnie takie jak u karpia, jak się go wylawia z wody. Mówią, że się facetami pożywia. Jak modliszka. Tyle że ta modliszka to głowy facetom obgryza, a Donata jaja, od tego zawału dostają, bo jak się taki jeden z drugim po nocy obudzą i zobaczą, że klejnotów brak, to od razu im serducho staje. Znajomy grabarz to opowiadał, że wszyscy jej mężowie tak mieli. Co do jednego, ale mu zabronili ludziom mówić, niby tajemnica taka, ale wszyscy wiedzą, tylko nic się nie da zrobić. Bo i co zrobić? Faceta w trumnie z gaci obierać? Wstydl!

Klusiowa zaczerwieniła się na samą myśl o takiej możliwości i zaczęła sapać – nie wiadomo: z oburzenia czy ekscytacji. Jej koleżanka jednak stąpała twardo po ziemi, szarpnęła ją za łokieć.

– O patrz, kwiaty przywiozły, same białe, jakby normalnie dziewica była, a ona czwarty ślub będzie brała!

– A tam, żałujesz jej? Wdowa przecież. To co, czarne mieli przywieźć?

– Nie, no co ty, ale chłopów żal.

– Ty ich nie szkoduj! Same się pchają! Żonaty, nie żonaty, dzieciate też, wszystkie jej do łóżka włożą. Twój też by włożył, gdyby tylko palcem kiwnęła.

Legenda Donaty jako miasteczkowej Lilith znana była wszystkim i rozpalala emocje – te męskie i te żeńskie, nijkich nie było.

Mężczyźni pragnęli ją posiąść, kobiety zlinczować. No i do tego to imię: Donata. To im nie pasowało, jakaś Kryśka, jakaś Halina, to by jeszcze uszło, ale nie Donata.

Kwiaty zostały wyładowane, a pod dom weselny przyjechała też szefowa i dwie młode dziewczyny, które tymi kwiatami miały ozdobić salę.

Szefowa jak huragan wpadła do środka i zaczęła rozstawiać wszystkich po kątach, rozstawiała ich też właściwie po kontaktach, bo za objanie się nie zamierzała płacić, więc pracownice mogły się liczyć z pustkami w bankach, jeżeli w czymś podpadły.

Natychmiast rzuciły się do roboty, ale szefowej jakoś się nie spodobały.

– Co wy tu jakieś konferencje sobie odprawiacie? – wrzasnęła.

Żeby trochę się wytłumaczyć, Maryśka zrobiła przerażoną minę i natychmiast powiadomiła szefową o wyciu, którego właściwie i tak nie dałoby się nie usłyszeć.

– No i co, że wyje? Wiatr pewnie – odburknęła, ale że wiatr rzadko klnie i woła ratunku, ona też się przejęła trochę.

– Jakiegoś kuriera pani gdzieś nie zamknęła? – zapytała sprzątaczką, ale szybko zorientowała się, że pomysł był z gruntu zły, bo to by znaczyło, że szefowa jest winna, a przecież tak nie wolno. – To znaczy, nie pani jako pani, ale

ktoś?

– Nie, kuriera wczoraj nie widziałam. – Szefowa wzruszyła ramionami i wyciągnęła pęk kluczy. – Pewnie ktoś wczoraj chłodnię z kibelkiem pomylił. A bo raz tak było? – westchnęła. – Żeby tylko nie nasrał w chłodni z serami, bo sanepid... Dobra, chodźcie, posprzątajcie na kopa jakby co, żeby śladu nie było, może gównem po ścianach tym razem nie będzie mazał, ale ludzie to wredni są, kto wie, co wymyślił?

Jakim cudem ktoś mógł pomylić ubikację z chłodnią, było wielką i nieodgadnioną tajemnicą, niemniej jednak tacy się zdarzali, niewątpliwie pomocą była w tym spora ilość alkoholu, a czasami i inne używki, szczególnie kiedy dom weselny w dni bez ślubów urządzał dyskoteki, co ściągało tłumy młodych ludzi, którzy chcieli się zabawić i bywało, że przesadzili.

Z powodu sobotnich ślubów, niedzielnych poprawin, piątkowych dyskotek, czwartkowych wieczorów karaoke, środowych dansingów i wtorkowych potańcówek okoliczna ludność szefowej nienawidziła tak bardzo, że zdarzały się akty agresji wobec niej, a niekiedy również obiektu.

Co do poniedziałków, to nie były biesiadne, ale ciche też nie były. Czasami chór jaki się trafił i na próby salę wynajął, czasami kapela.

Toteż każde niedopatrzenie i zaniedbanie mogło spowodować sporo kłopotów, bo natychmiast znalazłoby się mnóstwo chętnych do pisania donosów, a kto kocha urząd skarbowy, sanepid, policję czy w ogóle jakiegokolwiek kontrole?

*

Milka i Alicja obudziły się rano skacowane. Jedna spała na dwóch fotelach, druga na kanapie w salonie. Dla towarzystwa. Może nie było to wygodne, ale wrażenia po pospiesznej ewakuacji nagiego faceta bardzo przyczyniły się do zapotrzebowania na alkohol.

– No i właśnie o to chodzi! – obruszył się głośno Karol, kiedy wpuszczony przez trochę mniej skacowaną babcię zastał obie dziewczyny śpiące jak popadnie i wyraźnie poimprezowo. – Przecież ty się w ogóle nie nadajesz do zarządzania pieniędzmi! – oświadczył, choć Milka ledwie co otworzyła oczy i nie rozumiała ani skąd się wziął, ani co do niej mówi.

– Eeee – wydukała, przeciągając się i szukając wzrokiem czegoś, czego mogłaby się napić, bo pragnienie wysuszyło ją od środka totalnie.

– Nie eeee, nie eeee! To poważna sprawa! Pieniądze nie rosną na drzewach, a ty jesteś po prostu rozrzutna! Przecież ty nic nie masz! Twoje mieszkanie to klitka, ale to jeszcze nic, przecież nawet oszczędności nie masz. To jak? Dogadałaś się z mamą, moją? Podpiszesz?

– Eeee, Misiaczkule – wystękała z przyzwyczajenia.

– Tylko nie Misiaczkule! – warknęła. – To już nie te czasy! Należy mi się trochę szacunku! Nie uważasz?

Trochę trwało, zanim Milka zdała sobie sprawę, co Karol mówi i do czego zmierza. Rzeczywiście mieszkanie było kłitką, a ona nie miała oszczędności, ale trudno je mieć, jak się przez tyle lat utrzymuje w domu bezrobotnego knura.

– Nie, nie dogadałam się! I nie zamierzam. Sprawa załatwiona. Nie podpiszę żadnej intercyzy – warknęła. – Aktu ślubu też nie – dodała po chwili, całkowicie jeszcze oszołomiona odkryciem, którego właśnie dokonała.

Karol był dupkiem.

Nie słodkim, bezradnym misiaczkulem, któremu życie zawodowe rzucało kłody pod nogi, ale dupkiem, który wykorzystał jej dobre serce i lekką rękę oraz ciężko zarabiane pieniądze.

O ile jeszcze wczoraj była przekonana, no może nie całkiem, ale trochę przekonana była, że Karol to świetny facet zdominowany przez matkę, teraz zaczynała dostrzegać, że się myliła.

Jej przyszła (choć teraz już raczej nie) teściowa była kobietą, która swoich mężczyzn trzymała żelazną ręką.

Jej mąż, doktor habilitowany, traktowany był w domu jak bóstwo, dopóki zgadzał się z żoną, więc po prostu się zgadzał. Był tak jak syn nieporadny i nieżyjący.

Wszystko za niego robiła żona, nawet w biurze i na uczelni. On dzwonił, ona przyjeżdżała i załatwiała sprawę – każdą, od najmniejszej do największej, wchodziło w to wykupienie biletu miesięcznego, ustalanie z szefostwem planu zajęć czy włączanie rzutnika podczas wykładów. To wszystko robiła ona. Podłączała sprzęt, kserowała, obsługiwała niszczarkę, ale, co oczywiste, nie zawsze mogła przy nim być, żeby mu pomóc, wtedy zazwyczaj na nią czekał.

Nie zawsze jednak mógł. Była tylko jedna zasada: każdy mógł mu pomóc, o ile nie był młodą studentką, żeby się żona nie wściekla. Niestety, grupy czasami składały się z samych młodych studentek. Wtedy usiłował jakoś radzić

sobie sam. I cóż, jak kiedyś na zajęciach podłączył laptop do rzutnika, to zaczęły się dziać takie rzeczy, że trzeba było wzywać strażaków.

Karol był jego wierną kopią, tyle że jak on coś do czegoś sam podłączył, to straż pożarna nie wystarczała, trzeba było wzywać egzorzystę.

– Ale rozmawiałaś z mamą? – zapytał z nadzieją w głosie, jakby liczył, że cośkolwiek mogłoby to zmienić.

– Nie i nie wiem, o czym miałabym z nią rozmawiać – odburknęła Miłka. – I niby kiedy miałabym to zrobić?

– No wczoraj? Powiedziała, że idzie do ciebie.

– Nie przyszła. – Alicja ziewnęła.

– A ty się nie wtrącaj między wódkę a zakąskę – warknął Karol. – To są nasze sprawy, tobie nic do tego!

Przyjęło się powiedzenie, że pieniądze zmieniają ludzi. Na ogół sądzi się, że te pieniądze na zmienianie ludzi potrzebują jakiegoś czasu, roku, dwóch albo choć miesiąca. Ich posiadacz najpierw zaczyna zdawać sobie sprawę, że na wszystko go stać, potem zauważa, że ludzie zaczynają go traktować jak boga lub bożka wszechmocnego, później do niego dociera, że właściwie wszystko może kupić, włącznie z miłością i sprawiedliwością, a wreszcie mu odbija.

Miłka nie podejrzewała jednak, że u Karola pójdzie to aż tak szybko, bo od wygranej nie minęło nawet kilka dni, Karol jeszcze nie zdążył zainkasować pieniędzy, a już zachowywał się jak książę albo debil.

– Przestań obrażać Alicję! – wrzasnęła wściekle. – I wybij to sobie z głowy, nie ma żadnych naszych spraw! Nic nie ma. Wynos się stąd!

Przez chwilę patrzył zdziwiony na Miłkę.

– Ja? Ja mam się wynosić? Przecież... – Coś chyba chciał powiedzieć, ale chyba go zatkało.

– Spadaj! – Miłka pokręciła głową i wskazała mu drzwi. – No już!

– Ale mama? Gdzie jest moja mama?! – Prawie się rozplakał, używając głosu słodkiego misiaczka, który tak lubiła i który zawsze na nią działał.

Przez moment wpatrywała się w chłopaka z niedowierzaniem.

Czyżby on to robił celowo?

Pewne konstatacje potrafią naprawdę zadziwić. Dotychczas mogła go podejrzewać o wszystko, ale nie o skłonność do manipulacji. Mógł ją zdradzić, po pijaku, może jak urwał mu się film, oczywiście tego nie robił, ale uważała, że byłaby w stanie mu to wybaczyć. Mógł wydać całą jej pensję na głupoty (co niestety robił często), a co mu wybaczała, bo życie jest krótkie, a gry komputerowe są super, mógł zabalować z kolegami w mieście i nawet nie uprzedzić, że nie wróci na noc (co czasami się zdarzało), ale manipulować?

On? Biedny, kochany misiaczek?

Niemożliwe, a jednak...

– A skąd mam wiedzieć, gdzie ona jest? – warknęła w końcu, nie dając się otumanić.

*

Arleta Pacholek, właścicielka domu weselnego, który właściwie można było nazwać hangarem weselnym, bo domu nie przypominał, miała głowę do interesu.

O ile jeszcze kilkadziesiąt lat temu, a sto na pewno, takie stwierdzenie zawsze było komplementem i nosiło znamiona podziwu u osoby, która tego określenia używała, teraz trochę się zdewaluowało i oznaczało, że ktoś tym określeniem opisywany po prostu potrafi kraść i kombinować, a samo stwierdzenie, choć podziwu w nim było mało, wcale nie wyrażało dezaprobaty, raczej dość potężną zazdrość.

Arleta właśnie taką głowę miała, wiedziała, co od kogo kupić, co komu sprzedać i jak to załatwić, żeby zapłacić jak najmniej.

A najlepiej dostać za darmo.

Dlatego działalność rozwijała bardzo szybko.

Jej imprezy bywały huczne i głośne, a po każdej zawsze ktoś się pochorował, ale nikt nie zgłaszał pretensji, bo było tanio, a zamknięcie obiektu dla miejscowej ludności oznaczałoby katastrofę, oczywiście poza tymi z okolicznych domów, którzy wreszcie mogliby się wyspać, ale jak to się mówi, ktoś nie śpi, żeby bawił się ktoś, padło na nich i trudno.

Arleta miała układy.

Od okolicznych knajp i sklepów skupowała produkty po terminie ważności, niektóre dostawała nawet za darmo.

Prąd kradła, ale inteligentnie. Nie tak, że na chłama, wodę podłączyła poza licznikiem. Miała naprawdę łeb i nie wahała się go użyć, dlatego bardzo pilnowała, żeby „z wierzchu” wszystko było jak najbardziej w porządku. Żeby

nikt nie zaczął jej za bardzo sprawdzać, żeby na pierwszy (choć już niekoniecznie kolejny) rzut oka wszystko było jak najbardziej legalne.

Miała wrogów i to jak najbardziej jej służyło, bo to jest tak: jak ktoś doniesie na iksa po raz pierwszy, to iks ma kłopoty, a jak doniesie po raz setny, to urzędnicy mają ubaw.

Dlatego początkowo sama na siebie wysłała kilkadziesiąt anonimowych donosów. Najpierw, że podatków nie płaci. Płaciła. Potem, że decybele, tym się nikt nie przejął, zresztą kto w nocy będzie chodził i sprawdzał, a w dzień było cicho.

W końcu puściła plotkę, że ma kontakty z mafią.

Kontakty miała, ale wiadomo, mafia nie istnieje. Policja nic o niej nie wie, a ludzie się boją.

Wszyscy się wystraszyli.

I było wspaniale. Mogła robić, co chciała.

Zyskała święty spokój, ale plotka na temat psów i kotów, które jakoby miała porywać i dodawać do dań mięsnych, bardzo ją zmartwiła, bo ludzie są nieobliczalni. Dla zwierzaków zrobią wszystko, mogą nawet jakiś napad zorganizować i co wtedy? Nie, kotów i psów nie porywała, p i wcale nie podawała ich w sosie pieczarkowym ani w gołąbkach, ale gdyby przy okazji napadu i przeszukania ktoś znalazł w chłodni zamiast kotów i psów produkty z datą ważności sprzed roku, miałyby spore kłopoty.

Wycie, które teraz się rozlegało w obiekcie, nie przypominało wycia psów, a koty w ogóle nie wyją, ale ludzie potrafią sobie różne zjawiska tak wytłumaczyć, żeby im pasowało, więc postanowiła sprawdzić.

– A wy do sprzątanania, już! Bo zaraz tort przyjedzie, za dwie godziny wesele, sala ma błyszczeć! Żarcia sobie w ramach nadgodzin weźmiecie! – Rozwiązała sprawę zapłaty za dodatkowe godziny.

Żadna nie chciała. Za dobrze znały tutejszą kucharkę i zawartość chłodni, biegunka nie była im do niczego potrzebna, choć Maryśka weźmie coś dla teściowej, tej się należy. Szefowa czuła się wspaniałomyślna i godna. Zaproponowała. A że nie chciały? Ich sprawa.

Postanowiła obejść wszystkie chłodnie po kolei.

– Albo nie. – Zmieniła zdanie i zawołała do siebie sprzątaczkę. – Chodźcie ze mną.

Poszły zaglądać kolejno do różnych pomieszczeń pełniących funkcje spiżarni albo chłodni.

Na koniec zostawiły mięsno-warzywną, tę, w której stały zamrażarki. To znaczy mięso w zamrażarkach, warzywa obok.

Szefowa otworzyła drzwi na oścież, buchnęło chłodem, smrodem i jakimś drżącym jękiem.

– Yyyyy, yyyyy, yyyyyy – usłyszały.

– Co, do kurwy nędzy? – zapytała bardzo zaniepokojona szefowa.

– Y, yyyyyooo – odpowiedziało jej trzęsącym się głosem. – Yo oomuuu.

Wyraźnie ten, kto mówił, szczerkał zębami, ale chyba mu to nie wystarczyło, bo szczerkał wszystkim, nie wyłączając rąk, nóg, a nawet uszu.

– Co ona tu robi? – zapytała Maryśka, wpatrując się w drżącą postać. Była skulona, sina, roztrzęsiona i całkowicie wymięta.

– No chyba, ja wiem? Leży? – odpowiedziała jej koleżanka, która jakimś cudem wpatrywała się w zupełnie inny kąt chłodni.

– Jak leży, kiedy stoi? – zapytała znów Maryśka. – Trochę się zatacza, ale jednak na stojąco.

– Nie no, leży, jak nic leży i dlaczego uważasz, że ona? Z pyska to on.

Szefowa wpatrywała się w całość sceny, nie dlatego że nie miała podzielności uwagi, ale dlatego że to, co zobaczyła, bardzo jej się nie spodobało.

– Seks uprawialiście? W chłodni? I to jeszcze mięsnej?! Czy wy mózgu nie macie?

Kobieta nie wyglądała na taką, która w ogóle mogłaby uprawiać seks. W każdym razie nie w tej chwili, chyba że jej podrygi były oznaką podniecenia.

– Zzzziimno – wyjąkała.

Chłodnia nie była zimna, była zaledwie chłodna, ale wszystko zależy przecież od dawki. Ta wyraźnie chłodnię przedawkowała.

– Zaraz, zaraz, czy pani przypadkiem nie była wczoraj tutaj na wigilii? – Szefowa szybko jakoś dodała dwa do pięciu i wyszło jej, że to jest jedna z organizatorek wczorajszego zamieszania.

– Tak. Zenobia M... M... Maciążek – wyjąkała kobieta.

– A ten pan? – Arleta wskazała na wciąż śpiącego pod ścianą mężczyznę.

Ponieważ rozdygotana Zenobia nic nie powiedziała, Arleta podeszła do mężczyzny.

– Jezus Maria! Jak pani mogła?! – wrzasnęła. – Dlaczego go pani udusiła?! I dlaczego w mojej chłodni?!

To, że mężczyzna został uduszony, było widać – na szyi miał wyraźne ślady, był blady, siny, miał niebieskawe usta, a przez dziwaczne ubranie wyglądał wprost upiornie.

– I co my teraz zrobimy? – jęknęła Arleta. – Przecież policja nam imprezę zamknie. Jezu, zadatek wzięłam, tort wiozę... Ja panią do sądu podam! – Zawahała się. – Albo nie!

Wepchnęła Zenobię na powrót do chłodni i chciała ją szybko zamknąć.

– Przesiedzi jeszcze kilka godzin, nic się nie stanie, wesele zrobimy, potem się policję wezwie, w końcu zwłokom to już nic nie zaszkodzi i nic nie pomoże, a morderczyniom życia ułatwiać nie będę!

– A to nie jest matka tego, co to na loterii wygrał? Tego Karola, jak mu tam? – Maryśka zadała pytanie w odpowiednim momencie. Szefowa nagle zdała sobie sprawę, że taki syn milioner to broń obosieczna. Może pozwać, no ale i jego można pozwać. Ma z czego płacić, tak więc jak pozwie, to kłopot, jak jego pozwą – zarobek.

– Dobra! – Szefowa otworzyła chłodnię. – Wzywamy policję! Jeszcze nam się morderczynie przeziębą i syn nas skasuje na grube miliony, a tego bym sobie nie życzyła.

Przerażona Zenobia szczerkała nadal wszystkimi członkami ciała. Zdecydowanie mogła się przeziębować, ale teraz drżącymi rękami wybrała numer Karola i nic jej nie mogło już zatrzymać. O ile w chłodni zasięgu nie było, o tyle przed chłodnią był.

– Ratunku! – wrzasnęła, kiedy tylko uzyskała połączenie. – Ratunku, ratunku, Karol, o Boże!

Szefowa wydarła kobiecie komórkę. W końcu mordercy nie powinni dzwonić, do kogo im się podoba, ale po chwili przypomniała sobie, że mają prawo do jednego telefonu.

– Pan przyjdzie do weselnego, tu na zaplecze, jak się pan chce z matką pożegnać. Zamordowała faceta! Policja już jedzie, ale może pan zdąży.

Była z siebie nawet zadowolona.

To, czy ślub, a właściwie wesele, dojdzie do skutku, pewne nie było, ale wiedziała, że ktoś jej za to zapłaci, wiedziała też, kto to będzie. Za wesele zwróci zadatek, albo i nie, w końcu to przecież nie jej wina, że ludzie się mordują w chłodniach.

*

Leszyn był miastem spokojnym i leżącym na obrzeżu – nie tylko świata, ale i rzeczywistości. Ludzie tu spali, jak sobie postali, nie zawsze oczywiście dobrze, ale zawsze po swojemu. Każdy zajmował się swoimi sprawami. Nikogo nie interesowała wielka moda ani wielka polityka, a choć polityka interesuje się podobno nawet tymi, którzy się nią nie interesują, to jednak tutaj to wszystko działało jakoś na mniejszą skalę.

Ludzie doskonale wiedzieli, że rafy należy omijać, bo walka z nimi nie ma po prostu sensu, tak więc kiedy się pojawiały, ludzie usilnie szukali takich rozwiązań, które pozwolą je ominąć.

Były to oczywiście rozwiązania tymczasowe, a jako takie działały czasami przez wiele miesięcy czy nawet lat, jak to bywa z prowizorkami, i nikt się nie skarżył.

Tak było, kiedy Zastawek chciał otworzyć stoisko mięsne w swojej cukierni i nie dostał zezwolenia. Podał się? Oczywiście, że nie, zaczął sprzedawać torty wołowe. Jego serniki wieprzowe wykupywano na pniu, a babki waniliowe z nożek cielęcych po prostu zawojowały tutejsze podniebienia.

Albo Hryniak. Na domek letni na działce pozwolenia nie dostał, to wybudował łódź. Żaglową. I co? I nic, miał prawo! Była trochę niewygodna, bo musiał ją czasami przesuwać, żeby nie było, że dom w kształcie łodzi, ale miał to, czego chciał.

Ludzie tu żyli z dala od wielkiego świata i wielkich problemów, aż do dnia, kiedy burmistrzem został Leszek Leszyński.

A właściwie kiedy zgłosił swoją kandydaturę.

Nie należał do jakiejś specjalnie znanej partii, był niezrzeszony i miał szanse wygrać, co dotychczasowemu władarzowi się nie spodobało.

Zaczął wobec niego kampanię. Nie, nie oszczerstw, nie fake newsów, nie pomówień.

On tylko zauważył, że miasto nazywa się Leszyn, a kandydat to Leszek Leszyński. Leszy. Czyli jest diabłem.

Skrót myślowy, który zastosował, był taki, że leszy to borowy, boruta, leśny dziad i tak dalej, a Boruta to diabeł. Więc wyszło, jak wyszło.

Dotychczasowy władarz był już przekonany o swoim zwycięstwie, liczył na rozsądek i przychylność mieszkańców, ale go zawiedli.

Wygrał chłopski rozum.

Bo jednak taki diabeł jakąś moc ma, lepiej mu nie podpaść, a i w polityce, nawet tej lokalnej, lepiej mieć moc niż jej nie mieć, a że Leszyn jako żywo z leszym się kojarzył, wybrali Leszyńskiego.

Byli ciekawi, co z tego wyniknie, szturm do wyborów był tak wielki, że zadziwił wszystkich co najmniej tak samo jak szalone głosowanie na piosenkę *Piejo kury piejo* do Eurowizji.

Bo ludzie nie chcieli tego, co znają, więc nowe, choć dziwne, okazało się ciekawsze.

Niestety na tym się nie skończyło, bo jak się puści w ruch jakąś maszynę, to potem trudno ją zatrzymać, ale jak się stworzy jakąś teorię spiskową, to zatrzymać już jej się w ogóle nie da.

Ludzka wiara w zabobony potrafi nie tylko przenosić góry, ona potrafi stwarzać diabły, potwory oraz zagrożenie w ruchu lądowym.

*

Wizyta na Szpitalnym Oddziale Ratunkowym była dla diabła nie lada przeżyciem.

Przede wszystkim został wykąpany.

Potem opatrzony, a w końcu przesłuchany.

Kąpiel dostarczyła mu niezapomnianych wrażeń oraz uczulenia.

– Chyba ma alergię – stwierdziła pielęgniarka, widząc czerwone plamy na skórze i odpadające z niego kłaki – albo coś zakaźnego.

Nieprzystosowany do chemicznych środków myjących diabeł zaczął się drapać tak, że zawieszono go na izolatkę.

Tam zadano mu kilka podstawowych pytań.

– Nazwisko?

– Diabeł.

– Płeć?

– Diabeł.

– Wiek?

– Trzysta sześćdziesiąt cztery lata i sześć miesięcy.

Wobec takich odpowiedzi zaaplikowano mu leki uspokajające i przeciwgorączkowe.

Podano mu nawet kolację. Paszтетowa zrobiła na nim piorunujące wrażenie aż trzy razy. Za pierwszym razem zaszokowała go wielkość porcji, za drugim bezsprzeczny brak jakiegokolwiek smaku, choć ilość soli mogła zabić, za trzecim biegunka.

Zazwyczaj jadł co popadnie. Jagody, osty, małe gryzonie, czasami upolował jakąś wiewiórkę, to było czyste jedzenie bez chemii spożywczej i bez GMO. Po takiej diecie zwykle ludzkie jedzenie mogło go zabić. I próbowało.

Uciekł oknem.

*

Posterunkowa Julita Małecka pracowała w komisariacie w Leszynie od dość niedawna i wcale nie zamierzała tam długo pracować, bo była bardzo ambitna. Równie ambitna co głodna. Była głodna od jakichś piętnastu lat, czyli od czasu pierwszej diety odchudzającej, która doprowadziła ją do łez na biologii i spowodowała nieodwracalne zmiany w jej mózgu, choć nie zadziałała.

Julita była dziewczyną, którą kiedyś można by nazwać hożą – duża, rozłożysta, biuściasta i dupiasta, ale właściwie nie gruba, to znaczy nie otyła, to znaczy grube kości i tak dalej...

Była po prostu dorodna.

Nie jakieś tam marne chucherko, ale dziewczyna jak się patrzy. Jak się nie patrzy też, bo naprawdę było ją widać wszędzie.

Niestety, ona chciała być Twiggy.

Dążyła do efemerycznego, chudego i delikatnego piękna.

– Dziecko, nie płacz, to nie ma sensu, nie katuj się! – powiedziała jej nauczycielka biologii, pani Arciuk. – Motylem nie będziesz. Odchudzanie nie pomoże. To tak jakbyś chciała zrobić gazelę z bawołu, to geny! Z tym nie wygrasz.

Julita znenawidziła biologię i postanowiła wygrać.

I wszystko się zmieniło, odtąd była cały czas głodna, podenerwowana i wściekła oraz tak samo duża, silna i bujna jak zawsze.

Teraz siedziała na posterunku, licząc, że świąteczny dyżur pomoże jej bezproblemowo przeżyć święta. Bezproblemowo, czyli bez pokus żywieniowych. Bez ślinotoku na widok makowca, ataku paniki na widok pieczonego boczkusa i pokusy wymordowania za pomocą broni służbowej wszystkich ciotek, które jak jeden mąż podsuwały jej pod nos szyneczki, serniczki, bigosik i sałatkę jarzynową ze słowami:

– Zjedz, coś ostatnio blado wyglądasz. Czy aby nie za bardzo schudłaś?

Jednak i tutaj na posterunku bez pokus się nie obeszło, bo jej kolega, młodszy aspirant Tomasz Zatorek, został zapatrzony przez matkę w zestaw potraw świątecznych, i to wcale nie w układzie „zjedz to sam”.

Telefon zadzwonił właśnie w momencie, kiedy rozważała, czy wsadzić mu ryj w michę sałatki i dowalić bigosem, czy po prostu skrócić kark, bo on żarł jak opętany, a był chudy jak szczapa.

Morderstwo w domu weselnym uratowało mu życie, a ją uchroniło od więzienia.

*

– Pan przyjdzie do weselnego, tu na zaplecze, jak się pan chce z matką pożegnać. Zamordowała faceta!

Kiedy znamienne słowa Arlety Pacholek rozbrzmiały w uszach Karola, ten osunął się na ziemię i wyjęczał:

– Mamusia? O Boże, Miłka, zawieź mnie do weselnego! Natychmiast! Mamusia kogoś zabiła. Proszę, błagam, ja ci oddam pieniądze za benzynę, ale teraz nie mam.

Miłka prowadzić nie mogła, Alicja też nie, babcia nie miała nawet prawa jazdy. Miała je odzyskać za dwa tygodnie.

Wezwano taksówkę. W sumie nie było daleko, ale zależało im na czasie.

*

Mimo braku jakiegoś konkretnego rozgłosu, bo przecież nikt nikomu nic nie mówił, pod domem weselnym zaczęły się zbierać tłumy. Była to wina kobiet od kwiatów, które szybko powiadomiły Donatę, a ta jeszcze z wałkami na głowie wpadła, żeby sprawdzić, czy jej wesele nie jest zagrożone.

Sprzątaczkę też powiadomiły, kogo trzeba i kogo nie trzeba, bo prawda jest taka, że tego typu wiadomość jest walutą towarzyską najwyższej próby i ten, kto zawiadomi, zyskuje wielkie poważanie, a to się przekłada potem na inne możliwości, dodatkowo Maciążkowa, jako matka milionera, tego tutejszego, co to nie wiadomo, jakim cudem wygrał milion, zaczynała być na cenzurowanym.

No i po co zabijała? O teraz, tak o, zaraz po wygranej? Liczyła na drapanie? Liczyła, że może się wywinie, bo bogaczka? Nikt nie wierzył, że to było przypadkowe. Na pewno albo ten wygrany los ukradli facetowi i teraz musieli go zabić, albo jakiś przekręt poszedł i facet zaczął ją szantażować, a ona dzielić się nie chciała. W łeb mu dała, i tyle.

Nikt nie rozumiał, dlaczego dała go psom na pożarcie, a z części mięsa zrobiła gołąbki, ale tym już się zajmie policja, to znaczy nie tym, tylko zamiataniem tego pod dywan, przecież nie pozwolą, żeby to wyszło na jaw, że matka milionera je ludzkie mięso...

Ale bo to ona pierwsza i ostatnia? A może i jedyna? Tu w Leszynie pewnie tak, ale nie na świecie.

Takie małe miejscowości ścianek dla paparazzich nie mają, ale i tak wszystko się wie i o wszystkim się mówi, a nawet tę wiedzę kolportuje. Nie w gazetach, nawet takich jak „Leszyn-Info”, czy „Leszynianie”, które jako bezpłatne rozdawane były w aptekach i marketach, ale służyły jedynie do drukowania reklam i ogłoszeń towarzyskich. Wiedzę kolportowało się specjalnym ciągiem komunikacyjnym o przepustowości lepszej niż 5G, a nawet 18G.

Pewne rzeczy szły telefonicznie, ale ze względu na możliwości podsłuchu ludzie woleli robić to inaczej. Zauważyli, że jak tylko sprawdzą w sieci, ile kosztuje kastet, to natychmiast dostają reklamy dentystów, po wpisaniu „kupię pralkę” wyświetlają im się reklamy kredytów i kapsulek do prania, może nawet i pieniędzy, a po stwierdzeniu „mam to w dupie”, nawet w wiadomości prywatnej, dotyczącym jakiegoś problemu, zaraz pojawia się maść na hemoroidy, woleli więc nie wspominać o gołąbkach z ludzkiego mięsa. Nikt nie lubi reklam trumien.

Ciąg wyglądał tak: bazar, mięśny, piekarnia, spożywcza. Potem jedna odnoga szła do knajpy, skąd wszystko docierało z niejakim opóźnieniem, ale bardzo wzbogacone przemyśleniami, do męskiej części populacji miasta, nawet do tej pozbawionej innych możliwości pozyskiwania wiedzy, bo podśmietnikowe popijawy rzadko się robi przy radiu czy telewizorze. Druga odnoga szła do fryzjera i tam też pogłębiała wiedzę na wiele sposobów, umacniała ją i roznosiła dalej.

Istniały więc wiedza męska, nieco bardziej waleczna i krwawa, oraz żeńska, zatroskana o losy świata w stylu „i co teraz będzie, świat schodzi na psy”, ale mimo pewnych rozbieżności wszystko to była wina diabła.

Znaczy burmistrza.

*

Wizyta diabła w szpitalu okazała się jednak bardzo przydatna. Nie, nie pomogła mu zrozumieć ludzi, a tym bardziej kobiet, ale dała mu nadzieję.

Kiedy biegł do ubikacji, znajdującej się w drugim końcu korytarza, mimo że był w izolatce i właściwie nie powinien, usłyszał rozmowę, która wiele zmieniła w jego życiu.

– A ten jej mąż? – zapytała pielęgniarka jakąś kobietę idącą korytarzem.

– A tam mąż, jaki mąż, przecież to diabeł! Pani kochana, ona mu nawet obiady musi codziennie gotować!

I to sprawiło, że Lucjan się ucieszył. Po doświadczeniach z pasztetową obiady go przerażały, ale miały jednak mniejsze znaczenie. Ucieszył się, że są kobiety, które chcą wyjść za mąż za diabła.

Widział już siebie wraz z żoną w leśnej pieczarze przy konsumpcji jakiegoś romantycznego posiłku z jeża i aż się rozmarzył.

Nikt mu nie powiedział, że prawie co drugi mąż wraz z małżeńskim stażem nieuchronnie zamienia się w diabła, a żony i leśne pieczary są nie do pogodzenia.

*

Kiedy policja podjechała na sygnale pod dom weselny, jak zresztą wiele razy, bo nie było to miejsce specjalne pacyfistyczne Zenobia Maciążek siedziała okryta obrusem, ponieważ koca nie mieli, jej futro zginęło, a nikt niczego pożyczyć jej nie chciał, przed chłodnią, w której leżał (nadal martwy) facet wyglądający obecnie na siną drag queen po seji sadomasochistycznych praktyk, które wylaziły teraz sinymi, a właściwie krwawymi plamami na ciało.

Miał szramy, to znaczy siniaki w kształcie i formie szram na twarzy, głowie, szyi, przedramionach i nogach. Brzucha nie widzieli, ale pewnie też coś tam miał.

Ślady się nakładały na siebie, krzyżowały i płały tak dalece, że nieboszczyk wyglądał coraz bardziej jakby namalował go Picasso albo pogłaskał czule Wolverine.

Karol, kiedy tylko wy dostał się z taksówki, nie czekając nawet, aż Miłka zapłaci, wdarł się z krzykiem do hangaru i skierował prosto na zaplecze.

Matkę zobaczył z daleka.

Nie całkiem wiedział, jak się zachować. Dopiero kiedy z daleka zerknął na poszatkowane szramami siniaków ciało ofiary, osłupiał.

– Mamo! Jak mogła?! – krzyknął do niej, wcale nie słuchając jej cichego jęku.

– Ale to nie ja!

– Przecież ja cię nie zdołam z więzienia wyciągnąć – kontynuował Karol. – To będzie niewykonalne! Żadne pieniądze nie pomogą!

– Kiedy to nie ja.

– Jak ja teraz ludziom spojrzę w oczy?

Mówi się, że dźwięk rozchodzi się dziwnie w czasoprzestrzeni i zazwyczaj matka mówi coś, kiedy dzieciak jest nastolatkiem, a do niego dociera to dopiero po trzydziestce, ale w tej sytuacji było zupełnie inaczej. Karol był jak radiodiodbiornik. On w ogóle jej nie słuchał ani nie słyszał, on nadawał.

– I co ja teraz zrobię?! Przecież to się rozniesie! – biadolił, całkowicie pochłonięty swoją rolą w tym morderstwie, zapominając o wszystkim i wszystkich dookoła.

– Syneczku...

– Ale co syneczku? Co syneczku? Matka morderczyni? No ja się nie zgadzam! Wypisuję się! Nie chcę, nie mogę... – warknął Karol, usłyszawszy jednak, co powiedziała matka.

– O ty, gnoju! – wrzasnęła Zenobia, bo choć była słaba, takiego czegoś nie mogła znieść. – Ty nie chcesz? Ty? Ja ci zaraz pokażę, kto nie chce. – Chwyliła butelkę przeterminowanego soku marchewkowego i dokonała jej zniszczenia na głowie syna.

Zabiłaby go, gdyby nie to, że w tej chwili dopadła ją policja.

Sok marchewkowy nie jest tak spektakularnie czerwony jak na przykład buraczany, ale kiedy miesza się z krwią, wygląda interesująco.

Karol zamarł.

– Kurczę, mamo! – jęknął zaszokowany, lecz mama go nie słuchała. – Ale mamo, ale mamo – mamrotał, trzymając się za głowę, był nieco uszkodzony, choć nie aż tak bardzo, żeby zemdleć. Usiadł na krześle w korytarzu i podrygiwał tak jak niektórzy w reklamie kremu na hemoroidy.

Policjanci odebrali Zenobii resztki butelki i popatrzyli na zwłoki pod ścianą.

– Kto to jest ten zmasakrowany facet?

– Nie wiem. – Schowała głowę w ramiona. – Nie wiem zupełnie.

– No, ale zabiła pani tak o, nieznanego?

Policjantka popatrzyła na resztki butelki, które odebrała Zenobii. Jeżeli tak załatwiła własnego syna, to zabicie nieznanego nie musiało być dla niej czymś specjalnie trudnym, ale po co zabijać nieznanego?

W tym leży problem.

– I czym go pani tak poharatała? Przecież on wygląda, jakby przejechała po nim sieczkarnia!

– Kiedy nie wiem! Weszłam tu przypadkiem. Zupełnie przypadkiem. Było ciemno, macałam, żeby zapalić światło, myślałam, że to damska łazienka, ale nie znalazłam włącznika. Chciałam wyjść, żeby sprawdzić z tej drugiej strony, czy nie ma jakiegoś pstryczka, i ktoś zamknął drzwi. Prawie oszalałam. Ciemno, zimno... Okropnie, trochę przysnęłam, ale potem zaczęłam krzyczeć. Zasięgu nie było, Jezu, czułam się jak w więzieniu!

– W więzieniu to się pani dopiero poczuje jak w więzieniu! – mruknęła policjantka. – Trzeba wezwać techników – jęknęła niezadowolona. – Święta, cholera! Czy ktoś z państwa może rozpoznać tego człowieka?

Pytanie było głupie, ale pod chłodnią kłębił się już tłum, którego dwoje policjantów odgonić nie było w stanie, więc Julita pomyślała, że może to jakoś rozegrać na swoją korzyść.

– Był gościem wczorajszej imprezy?

*

Legendy i tradycje to coś takiego, co istnieje właściwie od zawsze. Ludzie nie zdają sobie jednak sprawy, że to „od zawsze” kiedyś się przecież zaczęło. Że miało początek, który ginie w pomroce dziejów albo tylko umysłów, bo nikt nie wie kiedy, ale każdy wie, że tak było. Od zawsze.

Czasami legendę się uwstecznia, to znaczy dorabia jej przeszłość takimi tekstami jak:

– No, babcia też mówiła, że w leszyńskim lesie grasuje diabeł. I to, ho ho, kupę lat temu.

Dorobiona na (w pewnym sensie) polityczne zamówienie legenda o leszyńskim lesie, diable i nowym burmistrzu bardzo szybko się rozprzestrzeniła i obrastała przeszłością oraz dowodami.

Coś kogoś goniło. Fakt, po LSD, ale to nie zmienia faktu, że goniło.

Ktoś wył, fakt, po pijaku, ale to nie zmienia faktu.

Ktoś zaginął. Znaleźli, fakt, ale...

Cały problem polegał na tym, że park obok domu weselnego, ten z kilkoma ławeczkami i dwiema alejkami, wcale nie był parkiem, ale lasem. Tym lasem. Leszyńskim. Lasem, w którym grasował diabeł.

I teraz, od rana, po wieściach, które rozeszły się jak kręgi na wodzie, a w których były: wycie, krzyki mordowanych i zwłoki ze śladami pazurów i diabelskich zębów, wszyscy ruszyli do diabelskiego lasu, żeby zobaczyć diabła.

I koniecznie go sfotografować.

– Bo skoro już się ujawnił, zaczął mordować, i to tak spektakularnie, to przecież nie po to, żeby zaraz natychmiast zniknął. Diabeł to nie człowiek, do więzienia go nie wsadzą.

Leszyński las był terenem częściowo zaniedbanym. Dotychczas ludzie ten teren traktowali bez specjalnej czujności, a bywalcy imprez w domu weselnym często ułatwiali sobie życie i oszczędzali pieniądze, robiąc z niego wychodek, bo w obiekcie toalety były płatne, ale zapaskudzenie całego lasu było niemożliwością, bo jednak nikt nie szedł w tym celu kilometrami. Wszyscy załatwiali swoje potrzeby w pobliżu, toteż pobliskie parkingi i ich obrzeża oraz śnieżne usypiska (o ile śnieg raczył spaść) pod lasem zdobiły żółte esy-floresy. Sprawy poważniejsze załatwiano nieco dalej. Za nimi znajdowały się strefy śmietnisk i tajnych wysypisk, które nie znikaly ani zimą, ani latem, a dalej, tam gdzie docierali tylko najwytrwalsi, istniała glinianka, która miała na sumieniu kilku topielców, dwa bunkry, które też coś miały na sumieniu, ale za bardzo w nich śmierdziało, żeby ktokolwiek próbował tam wchodzić, i szopa.

Szopa była całkowicie niewinna.

Nawet aktów seksualnych nie dało się w niej uprawiać, bo sęki wchodziły w tyłek, a drzazgi w plecy. Stała za daleko, żeby się tam przemieszczać z ekwipunkiem, no i ostatnio pojawiły się w niej pentagramy oraz resztki wypalonych świec.

– Tomek?! – zawołała Miłka na widok znajomego w policyjnym uniformie. – Co ty tutaj robisz? – Na chwilę zamilkła. – To znaczy wiem, co tutaj robisz, ale znaczy: sto lat cię nie widziałam!

Ucieszyła się, widząc kolegę ze szkoły, bo kiedyś nawet się lubili, ale to miało o wiele mniejsze znaczenie; teraz znaczenie miało to, kim był i gdzie był. To był dla niej cud i zrzączenie losu razem wzięte! Miłka się po prostu bała, pluła sobie w duchu w brodę za wczorajszą podlaną alkoholem akcją. Zastanawiała się, czy facet, jak go wynosiły, już był martwy, czy zmarł w trakcie akcji, co uczyniłoby z nich morderczynie, i czy ze zwłok można zdjąć odciski palców (żadna nie miała rękawiczek) oraz czy nie bekną za coś, co uznała za dobry żart, a jak się okazało, żartem wcale nie było. Było czymś o wiele gorszym, bo związanym ze zbrodnią albo nieudzieleniem pomocy, koszmar. Dlatego znajomy policjant poprawił jej humor i dał nadzieję na to, że nie zgnije w więzieniu, bo jemu będzie można jakoś to wszystko wytłumaczyć.

Innym też pewnie by musiała jakoś to tłumaczyć i na sto procent by tłumaczyła, różnica polegała jednak na tym, że nie wiadomo, czy oni, ci obcy policjanci, by jej wysłuchali, a Tomek z pewnością tak.

Policjant spojrział na Miłkę i jego twarz rozświetliła się tak jak u aktorów grających w reklamie środków na zażalenie.

– To Tomek? No kurczę – mruknęła babcia Miłki – gdzie ty się podziewałeś, dzieciaku?! Lata całe cię nie widziałam!

Babcia też miała nadzieje związane z chłopakiem, choćby na najniższy wymiar kary dla siebie, oraz na pozbycie się Karola, też dla siebie, bo nie lubiła gnojka, a jakby się ożenił z Miłką, musiałaby go znosić.

Policjant bardzo się ucieszył z zainteresowania, choć obawiał się odrobiny, że jest ono spowodowane jego uczestnictwem w sprawie, a nie radością ze spotkania, ale Miłkę znał od podstawówki przez całe liceum i od zawsze ją lubił. To przeważało szalę.

Odpowiedzią na pytanie babci było wzruszenie ramion, bo nie był to dobry moment na zwierzenia biograficzne.

– Wpadnę, to pogadamy – oświadczył, wiedząc, że tak czy tak pogadać będą musieli. – Boże, co tu się stało? – jęknął tak trochę, żeby pokazać, że mimo pozycji i munduru jest człowiekiem wrażliwym. – Dlaczego ta kobieta tak go zmasakrowała? – Wskazał głową na matkę Karola i choć zrobił to bezwiednie, nie umknęło to jej uwadze.

– Kiedy to nie ja! – znów rozkrzyczała się Zenobia, która na chwilę opadła z sił, ale już wracała do siebie. – Moja synowa potwierdzi! – Wskazała palcem na Miłkę. – Ja nie robię takich rzeczy.

– Jesteś jej synową? – Zdziwienie wypełzło na twarz policjanta, ale było bardzo rozżalone.

– A gdzie tam! – odburknęła Miłka. – Pieprzy głupoty! Gdzie synowa? Jaka synowa? Bzdury, zupełne bzdury! – odcięła się zdecydowanie. Nawet trochę zbyt zdecydowanie.

I znów wyraz ulgi rozświetlił twarz policjanta. Zrobił taką minę jak aktorzy występujący w reklamie środków na wzdęcia.

– Żebyś się nie zesrał! – warknął Karol, widząc, co się dzieje.

Julita zagroziła wszystkim taśmą i zagoniła ludzi do sali biesiadnej, bo nie bardzo mieli inny wybór.

To nie spodobało się właścicielce obiektu.

– Ale tu zaraz będzie ślub! – zawołała Arleta. – Tylko niczego nie zepsujcie! Talerzy nie dotykać, serwetek nie przedstawiać. Nie ruszać kwiatów! I ręce precz od bułek i masła czosnkowego! Nie żreć niczego! To dla gości!

Arleta musiała przypilnować wszystkiego.

Pewne oczywiste skojarzenia sprawiły, że Julita musiała zareagować.

– Nie będzie żadnego ślubu! – wrzasnęła wściekle. – Czy pani oszalała? Jak pani sobie to wyobraża? Bo ja wcale!

– A ja jak najbardziej sobie to wyobrażam – pisnęła tym razem Donata, która w całej swojej krasie, jeszcze bez sukni ślubnej, ale już z makijażem, w wałkach na głowie, z pazurami ozdobionymi toną diamencików wparowała do domu weselnego, ciągnąc za sobą zapach perfum i kiszzonej kapusty. – Zapłaciłam, więc wesele się odbędzie!

– Nie odbędzie się, w każdym razie nie tutaj! Nie rozumie pani? To jest miejsce zbrodni! Zamordowano człowieka!

– Gównu mnie obchodzi, kogo i gdzie zamordowano. Moje wesele jest ważniejsze. Najważniejsze! Zaplanowałam je na długo przed tym cholernym morderstwem, więc mam pierwszeństwo.

Wyciąganie nieuprawnionych wniosków było dość częstym zachowaniem Julity, nie zawsze było w porządku, ale czasami wiele załatwiało.

Dodatkowo ciągły głód sprawiał, że notorycznie chodziła wściekła. Zapach bułek i masła czosnkowego unoszący się w sali nie ułatwiał sprawy.

– Zaplanowała pani morderstwo? – rzuciła wściekle Julita.

Donata zdębiała.

– Oszałała pani?! – wrzasnęła, rozglądając się po sali, a to, co zobaczyła, chyba jej się nie spodobało, bo nie omieszała zawiadomić o tym właścicielki i przy okazji wszystkich zebranych: – Te kwiaty są bez sensu, te serwetniki trzeba zmienić, nie pasują i są wsiowe, a te talerze... – Popatrzyła na ścianę ponad stołem dla państwa młodych. – A portret? Gdzie jest nasz portret ślubny?! Dlaczego jeszcze nie powieszony?! – zawołała do Arlety. – I te zasłony trzeba podwiązać, bo wyglądają jak gacie na sznurku. Nie, no bez sensu, bez sensu.

– Portret? Myślałam, że się go po ślubie powiesi! – Arleta nie miała siły przebicia.

– Teraz ma wisieć! Teraz! Nie będzie go pani wieszać przy gościach.

I to była prawda. Arleta pomyślała, że Donata ma rację.

Zareagowała natychmiast.

– Jaśka, dawaj ten portret, tylko weź cholerną drabinę, bo wysoko, i nie zlecć, bo mi tu jeszcze tylko potrzeba karet-ki! Maryśka, pilnuj jej! Bo jak zleci, obu wam potrączę z wynagrodzenia!

– Nic nie wieszać! – warknęła Julita. – Wesele się nie odbędzie!

Walka słowna rozpoczęła się na dobre.

– Wieszać! Odbędzie się! Ja tak chcę i tak będzie. W sali balowej go nie mordowali!

Ludzie nie chcieli brać niczyjej strony, bo Julita jako policjantka miała swoje prawa, Donata jako panna młoda również. Julita na dodatek miała władzę, a Donata zapłaciła, więc była w prawie. Lepiej było się w to nie mieszać.

Arleta między młotem a kowadłem brała jednak stronę klientki.

– Gdzie ta pieprzona Maryśka? – krzyknęła, widząc Jaśkę taszczącą pod pachą coś na kształt monidła i wlokącą za sobą drabinę. Monidło było w złoczonej ramie i wyglądało na ciężkie.

– Ale po co to wieszać przed ślubem? Jeszcze nieszczęście z tego jakie będzie, mówią, że nie trzeba swoich planów za bardzo losowi pod nos podtykać, bo się zezłościwi i prześmiej – rzucił ktoś z sali.

– Gówno nie nieszczęście! Zabobony! Ja tak chcę i tak ma być. – Donata była nieprzejednana, Jaśka ogłupiała, a Julita nie miała siły przebicia i tak po dłuższej chwili obraz zawisł.

Nie był piękny. Stanowił całkiem dobry przykład kiczu w złoczonej ramie, ale Donacie się podobał.

Jaśka nie musiała nawet wbijać gwoźdźcia, bo był, zawsze tam coś wieszano, powiesiła więc obraz, przyjrzała mu się, wyrównała go względem sufitu, jeszcze raz popatrzyła i... zleciała z drabiny.

– Jezus Maria! – wrzasnęła, lecąc i objijając się o szczeble.

– No, kurwa, mówiłam, że potrączę! – warknęła Arleta, już się zastanawiając, ile zaoszczędzi. – I czego wrzeszczysz, kretynko? – dodała po chwili, bo Jaśka, leżąc na podłodze, wpatrywała się w obraz i wrzeszczała, jakby diabła zobaczyła. – Nic ci nie będzie, wstawaj!

Jaśka nawet nie próbowała wstawać, tylko wyciągnęła rękę ku górze.

– Kieeedyyyy on!

– Jaki pieprzony on? – Arleta naprawdę się wściekla. Miała wszystkiego dość. No i nie mogła dopuścić do tego, żeby wesele się nie odbyło, to znaczy nie mogła dopuścić do tego, żeby wesele się nie odbyło z jej winy, bo jakby nie z jej, to zadatku nie musiałyby oddawać i byłoby super. I wolne, i zarobek. Tak to każdy by chciał.

– No, nasz zwłok tam jest! Na tym obrazie! – zawołała z podłogi Jaśka.

– Jaki zwłok? Chodzi ci o zwłoki?

– No nie, o zwłoka, jest jeden, toż Donata jeszcze żyje!

Popatrzylili uważnie na bohomas.

Wtedy do wszystkich dotarło, że na zdjęciu ślubnym, choć przedślubnym, obok Donaty wyraźnie widać zamordowanego mężczyznę. To znaczy na zdjęciu jest żywy, mimo że papierowy, to o wiele bardziej żywy niż ten z chłodni.

Co prawda, miał twarz bez szram i był w stroju nieco bardziej męskim, ale jednak bez wątpliwości był to on.

Donata patrzyła bez przekonania to na Jaśkę, to na obraz.

– Ale o co chodzi? – wydukała, nie rozumiejąc przyczyny zamieszania i wrzasków.

– Wesele się zdecydowanie nie odbędzie – burknęła Julita. – Teraz to już nie ma pani nic do gadania – stwierdziła, zwracając się do Arlety, ale to Donata na nią się wydarła.

– Policja jest od łapania przestępców jak dupa od srania, a nie od wesel. Pani mi tu nie będzie rządzić, nie ma pani prawa!

– Ale z kim pani ten ślub chce brać? – Julita nie wiedziała, co i ile Donata wie na temat zamordowanego, ale planowanie ślubu z nieboszczykiem nie mieściło jej się w głowie.

– Z narzeczonym! Z narzeczonym, czy to nie oczywiste?! Merlin Kęsicki jest moim narzeczonym! – Wskazała ręką na obraz na ścianie. – I będzie mężem, czy to się komu podoba, czy nie!

– No przecież właśnie mówię, że nie żyje! Nie rozumie pani?

Ta prosta prawda nie bardzo docierała do Donaty, ale tak jakby trochę jednak tak.

– Pani kłamie! – wrzasnęła kobieta. – Kłamie pani, żeby mi wszystko zepsuć, on nie może nie żyć! To jakaś mistyfikacja! Wszyscy kłamię. To niemożliwe! On nie mógł. Nie przed ślubem! Neeee – wrzasnęła ponownie i zemdlała, co przyniosło wszystkim ukojenie, bo jej wrzaski były naprawdę głośne.

– Tomek, reanimuj panią, ale gdzieś w innej sali, bo ja już nie mam do niej siły – poprosiła policjantka.

– Sama sobie ją reanimuj – odburknął niezadowolony. – Ona jest kobietą, ty jej zrób usta–usta, ja się do tego nie nadaję.

W jego postawie było coś, co pokazywało, że choć to on jest wyższy stopniem, jego koleżanka ma większą siłę przebicia.

Nagle do wszystkich dotarło coś jednak istotnego. Zwłoki zostały zidentyfikowane.

– Ale Merlin Kęsicki? Ten Merlin Kęsicki? – jęknęła Arleta, przyglądając się zdjęciu. – Przecież to niemożliwe.

Jej mina była podobna trochę do zaskoczonej miny kobiety z reklamy, która dowiaduje się, że w McDonalddie mają soczyste i chrupiące kurczaki, choć gdyby się jej dokładniej przyjrzeć, bardziej do miny przy zadławieniu. Wytrzeszcz oczu był niezwykle podobny i sugestywny. Maryśka nawet walnęła ją w plecy, myśląc, że coś stanęło jej w gardle.

– Zna go pani? – zapytał policjant, zupełnie nie kojarzący żadnego sławnego człowieka o tym imieniu, a i nazwisko było mu zupełnie nieznanne. Co do imienia to oczywiście słyszał, Merlina kojarzył, ale był pewien, że to nie może być on.

– Nie, oczywiście, że nie – powiedziała szybko Arleta – co to, to nie, nigdy go nie spotkałam, ale to nazwisko. Takie samo. O Boże, żeby to tylko nie był on!

– Ale kto to, do cholery, jest albo może być? Bo samo imię i nazwisko to jeszcze nic nie znaczy.

– No, jest wielkim wróżem. Wróżbitą. Przepowiada przyszłość. Radzi, jak unikać kłopotów, mówi, co człowieka czeka i co gwiazdy szykują. Wie wszystko i w ogóle, radzi, jak sobie radzić. No tak jak ten czarodziej Merlin, tylko w internecie.

– No! Jest genialny! Ma kanał MerlinWróży! Wystarczy zapytać, a wszystko powie, mojej kuzynce, jak spytała, czy mąż ją zdradza, to powiedział, żeby nie wychodziła z domu nawet do sklepu, bo czeka ją wielki zawód, no ale poszła i rzeczywiście miał rację. Wróciła bardzo zawiedziona. To była niedziela i nawet biedronki zamknęły.

– A co z mężem? Zdradzał ją? – zapytała jak zwykle po kobiecemu, bo takie pytanie chyba nie może pozostać bez odpowiedzi, ale nie zawsze odpowiedź jest najważniejsza.

– A kto by się tam przejmował chłopem, jak ziemniaków zabrakło?

Internetowi wróże są teraz na czasie. Mają swoje pięć minut i wielu z nich robi zawrotne kariery, są tacy, którzy zarabiają krocie, inni stają się ekspertami od tego czy tamtego, w ogóle ekspertami nie będąc, bo żadnej wiedzy nie posiadają, a prawie wszyscy zyskują celebrycką sławę.

Przeprowadanie przyszłości niby nie jest tak na sto procent pewnym zajęciem, ale przy odrobinie wysiłku i inteligencji można całkiem nieźle z tego wyżyć. Wystarczy mówić to, czego nie da się podważyć. Nie wolno powiedzieć na przykład: „we wtorek ukąsi cię wąż”, bo może nie współpracować i ukąsi nie ciebie, tylko koleżankę, i to nawet nie w poniedziałek, lecz w tyłek, ale jeżeli powie się, że niedługo coś sprawi ci ból, to i będzie pasować, i podważyć się nie da, i da się pod podciągnąć i węża, i podatki, i teściową.

Takie coś się zawsze sprawdza!

Jest poza tym coś, co jedni nazywają myśleniem życzeniowym, inni głupotą. Jeżeli chcesz, żeby coś było prawdą, to się nią staje.

A wszyscy chcą wierzyć w horoskopy, wróżby i przepowiednie. Wróżowie i horoskopiczy starają się pisać i mówić tak, żeby pasowało, dotyczy to też tych, którzy robią psychozabawy na Facebooku, zaczynając od „wiele przeszłaś, ale jesteś silna”, no nie ma kobiety, do której by to nie pasowało.

No i wszyscy też lubią trochę naginać rzeczywistość.

I taki wróż mówi na przykład, że „czekają cię wielkie zmiany”, a kobieta się rozgląda, szuka, patrzy, nic, zmian brak, więc co robi? Kupuje musztardę dżonską zamiast łagodnej i co? Sprawdziło się! Są wielkie zmiany, mężowi ryj tak wykrzywiło, że przez godzinę płakał jak dziecko i nie mógł narzekać na obiad.

Albo „nie patrz wstecz, nie idziesz w tamtą stronę”, takie niby głębokie, ale niedokładne, nikt nie powiedział, że przy cofaniu to jednak warto. Ściana czy samochód da się naprawić, ale przejechana kochanka męża nieszczególnie.

I jeszcze powiedzą, że celowo, a to nieprawda, tylko trzy kilometry jechałaś tyłem i nie wiedziałaś, że ta krowa ucieka, bo wróż przykazał, żeby nie patrzeć wstecz.

I takie inne teksty „uważaj na zdrowie”. Wiadomo, uniwersalne, ale są takie kobiety, które natychmiast wałą do aptek po suplementy, bo nikt im nie powiedział, że dwieście czterdzieści trzy tabletki naraz to jednak za dużo.

– Jeżeli to on, to będziemy mieć przechlapane! – stwierdził Tomasz, a jego koleżanka policjantka tylko prychnęła.

– Boisz się czarów?

– Nie, ale wariatów bardzo, choć zupełnie nie o to mi chodzi. Wiesz, ile taki ktoś musiał mieć potencjalnych wrogów? Setki, komuś źle doradził, komuś coś wywróżył nie tak, ktoś się obraził. To będzie orka na ugorze! Podejrzanych na tony, tropów na kopy, a i tak nic z tego nie wyjdzie i to będzie nasza wina oczywiście.

– Mnie martwią bardziej ci, którzy go uwielbiali – prychnęła Julita. – Może niekoniecznie chcieli go zabić, ale nas na bank zechcą. – Wskazała na Donatę, która jednak bez pomocy w stylu usta–usta ocknęła się na korytarzu i zaczęła wrzeszczeć:

– Chcę go zobaczyć! Chcę go zobaczyć!

I tu powstał problem, bo nie powinni byli jej go pokazać. Nie była jego żoną ani matką, ani w ogóle nikim z rodziny, miała być, ale nie była, a obcym się ciała ofiary nie pokazuje. Nawet nie wolno, a poza tym to po prostu zbyt makabryczne. Co oczywiście było podejściem bardzo zasadniczym, ale postanowili go jej jednak pokazać, bo za chwilę spodziewali się przyjazdu techników i woleli zrobić to teraz bez świadków niż potem przy nich, bo i tak pewnie by jej pokazali, wrzeszczała jak nakręcona, szalała, tłukła głową o ściany, robiła takie przedstawienie, że nawet zaczęli się zastanawiać, po co to robi i skąd ma tyle sił w tak stresującym momencie.

Technicy byli spóźnieni, święta, trzeba ich było z domów ściągać. Przedstawiciel prokuratury też był w łóżku, jak do niego zadzwonili.

Święta to nie czas na makabrę.

Ludzie odsypiali, w końcu Boże Narodzenie to idealny moment, żeby odpocząć, zrelaksować się, posiedzieć z rodziną.

– On wczoraj tego nie miał! – jęknęła Donata, widząc dość posiniaczoną twarz narzeczonego. Reszty jej nie pokazali, sama sobie pokazała, bo wpadła do chłodni, rzuciła się na niego i zaczęła go obsypywać pocałunkami.

– No szlag, jak nic zanieczyściła miejsce zbrodni – sapnęła Julita – no i jakby co, to powie, że ślady zostawiła teraz. A mogła go zamordować. Może nawet to zrobiła.

– No ale wiesz, narzeczony... Narzeczonych się nie morduje tak często jak mężów.

I to była prawda, bo po narzeczonych się nie dziedziczy. Zazwyczaj, choć oczywiście ich zależności finansowe trzeba będzie sprawdzić.

Istnieją przecież zapisy, jakieś darowizny oraz, co najistotniejsze, testamenty.

Donata poza tym wyglądała na wściekłą, a nie na smutną czy roztrzęsioną, więc tym bardziej było to podejrzane.

Podeszli, żeby odciągnąć ją od denata, ale nawet oboje nie mieli dość siły, by tego dokonać, bo nagle dokonała odkrycia dotyczącego jego garderoby.

No cóż, nie było ani przyjemne, ani spodziewane.

– Boże drogi! W co on jest ubrany?! – jęknęła Donata, jakby ciuchy były o wiele straszniejsze od szram. – Przecież to są jakieś śmiecie! Kto zrobił babę z mojego narzeczonego?! Kto go tak sponstonował, ośmieszyl?! Kto śmiał?! To nie są jego ubrania! To jest babskie!

Ubiór zdumiał też policjantów, ale choć wydało im się to dziwne, nie komentowali; już co jak co, ale komentowanie ubrań czy preferencji seksualnych osoby zamordowanej było nie do pomyślenia. Poza tym do teraz byli przekonani, że facet miał po prostu taki styl.

– On nie był gejem! – wrzasnęła Donata. – Ktoś go przebrał!

– Ale dlaczego pani tak sądzi? – Julita nie polubiła Donaty. Z zasady nie lubiła ludzi. Najbardziej kobiet. Zdecydowanie nie lubiła młodych kobiet. Młodych i ładnych, i szczupłych. Taka już była jej natura. Ale ona nad tą swoją naturą panowała, nie wyróżniała nikogo. Niechęć okazywała po prostu wszystkim.

Donacie oczywiście jak najbardziej też, choć ta nic sobie z tego nie robiła. Do babskiej niechęci była przyzwyczajona, po dwóch tyłkach, nosie, dwóch żebrach i głojojadku wiedziała, że jest piękna.

– To są damskie ubrania! – Skrzywiła się z pogardą. – A on takich nie nosił, no i te szramy? Wczoraj...

– Widziała go pani wczoraj?

– Oczywiście! Jeszcze zanim poszedł na spacer. Bo on takie spacerowanie lubił, leśne, samotne, romantyczne, ładowanie baterii i takie inne, o akumulatora czy jakoś tak.

Resztę wynurzeń zakłócili technicy. Pojawili się nareszcie. Pojawił się też ktoś z prokuratury i rozpuściło się zwykle w takich momentach piekło.

Kiedy policjanci z Donatą wrócili do sali biesiadnej, wszyscy czekali na efekty i się nie przeliczyli. Donata nadal była wściekła, właśnie wściekła, a nie zrozpaczona.

– I kto go ubrał w te szmaty?! – wrzasnęła, jakby miało to jakieś znaczenie. Znaczenie dla policji miało, a w każdym razie jakieś mogło mieć, ale ona widziała w tym jedynie aspekt estetyczny.

– Jakie szmaty? Jakie szmaty?! To była moja najładniejsza bluzka i tylko ona pasowała! – krzyknęła babcia Miłki, dotknięta do żywego tym, co powiedziała Donata. – A szaliczek jest od Yves’a Saint Laurenta, debilko!

Kobiety są bardzo wrażliwe na punkcie swoich ubrań, i to często niezależnie od wieku.

Czasami takie podejście bywa niebezpieczne. Tu było.

Zapanowała cisza.

– Czy ja nie powinienem czegoś wiedzieć? – zapytał zaszokowany Tomasz, bo dla niego babcia Miłki właśnie przyznała się do zabójstwa. – Zabiła go pani?!

Wszystkie oczy skierowały się na niedużą staruszkę, która nie wyglądała na morderczynię zdolną tak pokierosować sporego faceta.

– Nie, no coś ty? Ja? – Babcia natychmiast pojęła, co powiedziała. I zrozumiała, że to był głupi pomysł i niepotrzebnie uniosła się honorem w obronie swoich ciuchów. Chciała natychmiast jakoś to odkręcić.

– To skąd te ciuchy na denacie? Pani ciuchy, jak rozumiem? – dołączyła Julita, która też pragnęła mieć jakieś wymierne efekty w tym śledztwie.

– Dałam mu – westchnęła babcia. – Mieliśmy romans! – krzyknęła rozedrganym głosem, spanikowana, licząc, że to stwierdzenie zatrze złe wrażenie wywołane sprawą ubrań. Fakt, zatarło je, ale zastąpiło jeszcze gorszym. Tyle że romans nie wyklucza przecież morderstwa.

– Stara krowa! – Donata aż się opluła z wściekłości.

– No, tylko nie stara! Tylko nie stara, gówniaro z przerostem pyska! – warknęła babcia, pograżając się jeszcze bardziej.

Mordobicie zawisło w powietrzu.

– Dobra, dość tych bajań. – Tomasz uciął tak pięknie rozwijającą się awanturę. Nie uwierzył w romans trzydziestolatka z siedemdziesięciolatką, choć takie też się przecież zdarzają. – Jedźcie do domu, zaraz tam przyjadę – rozkazał wściekle. To nie wróżyło polubownego załatwienia sprawy.

Policjant wołał nie roztrząsać tego przy wszystkich, ale pewne rzeczy i tak rozeszły się po mieście.

Pozbierano numery telefonów i adresy i odesłano wszystkich do domów.

Tego dnia osiedle, pozbawione odgłosów biesiadno-weselnych, skocznych nut disco polo oraz pijackich wrzasków na parkingu, zasnęło snem sprawiedliwego, po raz pierwszy od miesięcy.

*

Ośrodek dla zamożnych osób psychicznie i nerwowo chorych, który znajdował się całkiem niedaleko, tuż za parkiem i trochę jakby w nim samym, ale w bardziej leśnej części tego parku, mieścił się w eleganckiej willi otoczonej wysokim, giętym ogrodzeniem. Całe miasto zwało wszelkie dziwne wydarzenia na ten właśnie przybytek i jego pensjonariuszy, ale naprawdę nie miało racji, bo nie był to taki zwykły, niedofinansowany szpital zajmujący się wszelkimi chorobami psychicznymi jak leci, tylko placówka prywatna, w której pacjenci, a może nawet bardziej klienci, przebywali dobrowolnie i płacili za swój pobyt. Ludzie, którzy mieli dość tego świata, przybywali tam na odpoczynek od rzeczywistości, by w otoczeniu eleganckich mebli, luksusu i pięknego kompleksu leśnego, parku oraz doskonale opłacanych pracowników z wykształceniem psychologicznym i medycznym leczyć złamane serca albo oszalałe umysły.

Był to też dom dla ludzi, którzy chcieli podleczyć nie tylko nerwy czy psyche, ale trochę też odpocząć po chorobie albo w jej trakcie.

Taki dom opieki, pensjonat, w którym zamożni ludzie, korzystając z pewnego odium dotyczącego tego przybytku, mogli do woli korzystać z czegoś naprawdę cennego.

Ze świętego spokoju.

Był bardzo cenny i, naturalnie, niezwykle kosztowny.

Nikt z zewnątrz oczywiście nie wiedział nic na temat profilu i działania placówki, więc wszyscy wierzyli, że tam w lesie trzyma się niebezpiecznych wariatów, seryjnych morderców albo koszmarnych zbrojców. To pozwalało

mieszkańcom na obwinianie pensjonariuszy o wszystko, zwalanie na nich całego zła tego świata albo choć miasta. Ułatwiał to życie i jednym, i drugim.

Taka wylęgarnia kozłów ofiarnych przydaje się wszystkim i naprawdę jest genialnym wynalazkiem. Każde miasto powinno taką mieć, to łagodzi obyczaje, tłumaczy niewytłumaczalne i daje spokój.

*

Uciekając ze szpitala nago, był narażony na ryzyko, ale nie miał skąd ukraść ubrań.

Ich zdobycie nie było jednak aż takie trudne. Na dachu jednego z domów dostrzegł kukłę przyodzianą w czerwony kostium z białym futerkiem.

Nadał się.

Diabeł wyglądał w tym stroju dziwnie, ale przynajmniej nie był nagi, naiwnie wierzył, że to go uchroni od przedawkowania kontaktów społecznych.

Nie chciał towarzystwa, nie pragnął zdobywać przyjaciół, chciał tylko żony.

*

Wieczorne przesłuchanie w domu babci Miłki było starannie przygotowane i zaplanowane oraz oczywiście nieoficjalne.

Babcia zastawiła stół wszelkim świątecznym dobrem, jakby najpierw chciała powalić policjanta sałatką jarzynową i domową szynką, a potem dobić sernikiem z różkami w galarecie.

W każdym razie stół był świąteczny, ale atmosfera grobowa.

Tomasz przyszedł, żeby się czegoś dowiedzieć prywatnie, ale też i służbowo. Prywatnie, bo znał wszystkie panie przebywające w tym domu, choć najbardziej Miłkę, służbowo, bo wszystko, czego by się dowiedział, i tak musiał wpisać do raportu, tyle że nie od razu.

– Powiedzcie, co tu się stało – poprosił, licząc, że w ten sposób dotrze do meritum, ale jak to zazwyczaj bywa, to nie było takie proste, jak by się wydawało.

– No właśnie nic – powiedziała Alicja, która jako współwinna i nieco jakby wpakowana przez babcię w kłopoty też zasiadła przy stole, choć i ona miała minę zupełnie nieprzystającą do świątecznej atmosfery.

Choinka w kącie pokoju, żywa, ale dość rachityczna, nie wyglądała specjalnie pięknie, bo początkowo babcia miała święta spędzić sama. Gdyby nie sprawa z Karolem, tak właśnie by było, a sama dla siebie nie chciała stroić domu na święta, bo do niczego nie było jej to potrzebne, nostalgia jej nie ogarniała, a sypiące się z drapak igły wkurzały.

– Zaraz, zaraz, jak to nic? Byliście tu wszystkie razem, tak? – usiłował uściślić stan początkowy.

– To znaczy nie. Ja przyszedłam potem. Nie od początku tu byłam, ale brałam udział w akcji – przyznała Alicja.

– Jezus Maria, w jakiej akcji?! – Policjant w cywilu pozostaje policjantem, nawet jeżeli ciuchy cywilne leżą na nim zdecydowanie dobrze. – Mówcie, co to była za akcja?! Natychmiast! Proszę! Bo będę musiał was zatrzymać, a naprawdę wolalibyśmy nie.

Już i tak nagiął wszelkie przepisy. Póki trwały święta, a jakoś tak może i cały okres świąteczny, jeszcze mógł działać nieoficjalnie, ale potem będzie ciężko.

Oczywiście wiedział, że one go nie zamordowały. Wiedział, bo były sympatyczne i w ogóle. Miłka? W żadnym wypadku, ale tak naprawdę nie wiedział. Niczego nie wiedział i obawiał się najgorszego. Naprawdę bał się tego, co odkryje.

– No bo... – Miłka nie miała pojęcia, od czego zacząć. – Upiłam się! – wyznała, trochę się czerwieniąc. Oczywiście nie mogła mu się przyznać, że upiła się z powodu Karola i intercyzy, bo w tej chwili wydało jej się to tak durne i zawstydzające, że po prostu nie chciała. Wydało jej się to nagle... Bez sensu. Karol był dupkiem, intercyza pokazała, że jest nie tylko dupkiem, ale i skąpym chamem bez serca. Ślub i ewentualne dzieci? Z nim? No nie! Teraz wydawało jej się to wręcz kretynizmem.

– Dobra, czyli upiłaś się... I? – Jako policjant miewał do czynienia z ludźmi pijanymi od takich około promila do takich powyżej trzech. I jedni, i drudzy go wkurzali, ale to był najmniejszy problem. Ci około promila kradli i powodowali wypadki oraz mordobicia, ci powyżej trzech kochali cały świat, często w pozycji leżącej, ale nie byli w stanie mordować, bo utrzymanie w rękę czegokolwiek przekraczało ich możliwości.

Miłka chciała odpowiedzieć, ale nie zdążyła, wyręczyła ją babcia.

– No bo ja myślałam, że ona go sobie, no, zamówiła, że ... No i tak, jak zobaczyłam, to poszłam jej powiedzieć.

Nie za bardzo zrozumiał.

– Nikogo nie zamawiałam! – krzyknęła Milka, bo jednak zamawianie facetów na seks, o które podejrzewała ją babcia, wcale dobrze nie wyglądało.

– No ale wchodzę, patrzę, a on siedzi.

– Rozumiem. Upiłaś się – Tomasz próbował ogarnąć najpierw jedną narrację – zamówiłaś faceta, doszło do seksu, zakatowałaś go...

– Nie... Oczywiście, że nie! Nikogo nie zakatowywałam! I nie zamawiałam. I nie było seksu!

– Czyli twierdzisz, że to był wypadek? – zdziwił się. Wszystkie panie też się zdziwiły, bo wyjął notes, tak jakby trochę był na służbie, choć na niej nie był. – Ale czy ty zdajesz sobie sprawę, że żeby tak zmasakrować faceta przypadkiem, musiałabyś uprawiać seks z broną?

– Nie uprawiałam z nim seksu! Nie słyszysz, co do ciebie mówię? Facet już nie żył!

– Rozumiem, wszedł, zobaczył cię i dostał zawału? To się da sprawdzić.

– Nawet nie próbuj puszczać takich tekstów! – warknęła wściekła, bo nie czuła się tak brzydka, żeby ktoś dostawał zawału na jej widok. – Nie wiem, czego dostał, ale mnie nawet nie zobaczył! Byłam na górze! Kiedy zeszłam i go zobaczyłam, prawdopodobnie był już martwy! Siedział na fotelu nagi! Dlatego go ubrałyśmy!

Tomasz zakrztusił się karpim w galarecie. Zagryzł chlebem dla zyskania czasu na odpowiedź, wziął łyżeczkę chrzanu.

– O ja pierdole! – wrzasnęła, postawił oczy w śłup, wypuścił kłęb pary nosem (a przynajmniej tak to poczuł), z oczu popłynęły mu łzy, a nos zamienił się w fabrykę kataru. – Co to za cholerny zajzajer?!

Nie uzyskała odpowiedzi.

Po chwili, ledwie panując nad wytrzeszczem oczu, wrócił do tematu.

– Czyli, jak rozumiem, widzicie martwego, nagiego faceta w fotelu i zamiast wezwać pogotowie, ubieracie go? Jak jakąś pieprzoną lalkę albo choinkę? Tak na spokojnie?

– Nie całkiem na spokojnie. I nie byliśmy pewne, czy jest martwy, a nie miałyśmy ochoty go dotykać – obruszyła się babcia. – To był obcy goły facet! Macanie obcych facetów jest obrzydliwe!

– Nie wpadło wam do głowy, że ubierając go, też go dotykacie? Trzeba było wezwać pogotowie!

– Był nagi. Obcy. A poza tym myśmy go nie zabiły!

– A szramy?

– No wtedy ich nie było. Kiedy od nas wychodził, to znaczy wyjeżdżał... To znaczy, jak go wywlekałyśmy, to nie był porysowany!

– A no właśnie. Jak? Jak tego dokonaliście?

Skomplikowany opis czynności, które wykonały dnia poprzedniego, dał policjantowi wiele do myślenia.

Po pierwsze zatarły wszelkie możliwe ślady jego przybycia. Mogło ich oczywiście nie być, ale nawet gdyby były, to po wleczeniu po schodach, szaleństwie z sankami oraz samochodem i tak by ich nie było.

Zrozumiał też, skąd się wzięły niektóre szramy. Otluczona głowa, pokiereszowane plecy. To jednak wcale niczego nie wyjaśniało. Ani nie odsuwało od nich podejrzeń.

One po prostu pozbyły się ciała martwego mężczyzny po jego śmierci, dokładnie tak samo jak zrobiły to morderca.

– A krew?

– Nie było żadnej krwi. Siedział na fotelu, ale nic z niego nie ciekło.

– Na którym fotelu?

To jedno okazało się w miarę korzystne. Od tamtej pory w fotelu nikt nie siedział. Zasłonięto go narzutą i przesunięto na balkon. Natychmiast wezwał techników, żeby zabrali mebel.

– Ale po co wam ten fotel?

– Nie mam pojęcia, ale może być ważny.

Czy wierzył, że go nie zabiły? Starał się wierzyć. Zawsze na początku starał się wierzyć, choć nie zawsze mu to wychodziło, ale tu był dziwny układ. Trzy kobiety, w tym starszka? Taka morderca spółka była bardzo dziwna i niepewna, a przecież każdy morderca pragnie uniknąć więzienia, ale gdyby im rzeczywiście uwierzył, musiałby się zastanowić, jak goły facet znalazł się w ich domu.

I jakim cudem tego nie zauważyły?

To znaczy nie jego, ale jego wejścia.

Jakim cudem nikt nie zauważył nagiego mężczyzny? Choćby na ulicy albo przed domem.

Pomyślał, że trzeba będzie przesłuchać sąsiadów. Niestety, w taki dzień jak Wigilia nawet osiedlowy monitoring odwraca oczy od okna, żeby wpatrywać się w barszcz i pierogi albo choć w telewizyjny koncert kolęd.

– Znałyście go? – To pytanie zostało powtórzone, bo rano też im je zadał, ale rano były zdecydowanie na nie, teraz jakoś już nie były tego pewne. To znaczy tego, że go nie znały tak całkiem całkiem.

– Potem, jak się okazało, że to ten wróżbita Merlin, to sobie pomyślałam, że ja go znałam, internetowo, nie osobiście, ale tak.

– Tylko co to zmienia? – westchnęła babcia.

– Zdziwiłabyś się – mruknęła Miłka. – Wiesz, ile osób w internecie ma mordercze zamiary wobec innych osób znanych tylko z portali społecznościowych, a nie morduje tylko dlatego, że nie mieszkają w jednym mieście? A on był w sieci bardzo znany, ktoś mógł go zamordować z zawiści!

– Ale ty go nie chciałaś zabić! – zawołała Alicja.

– W ogóle mnie nie interesował, nie interesuję się wróżbami. Znałam go, bo każdy go zna, jakoś tak mimochodem się o niego otarłam. Zazwyczaj gadał straszne głupoty.

– Był bogaty? – Ta wiedza Tomaszowi była potrzebna, ale jeszcze do niej nie dotarł. Wiedza Miłki na ten temat nie musiała być prawdziwa, ale i tak się liczyła, bo przecież to, czy ktoś jest bogaty, czy nie, ma znaczenie, ale to, czy ktoś go uważa za bogatego – również.

– Jeżeli Donata chciała za niego wyjść, to musiał być bardzo bogaty. – Alicja roześmiała się. – Ona jest interesowna, w ogóle, a jeżeli chodzi o facetów, to nawet bardzo. Miała kilku mężów, wszyscy bogaci i wszyscy zmarli.

– Jak?

– Na serce.

– Wybierała ich na podstawie elektrokardiogramu?

– Całkiem możliwe, bo ona pracowała jako opiekunka w tym wariatkowie w lesie.

– No ale ludzie z chorobami psychicznymi nie muszą być chorzy na serce – stwierdziła Miłka.

– Ale mogą! – odcięła się babcia. – Poza tym mogą biegać nago!

Stereotypy dotyczące ludzi leczących się na choroby psychiczne są głęboko zakorzenione i bardzo niesprawiedliwe.

Według wielu mogą wszystko, ale gdyby tak się dobrze zastanović, to każdy może wszystko, każdy może biegać nago. O wiele częściej będzie to rozwydrzony nastolatek po dopalaczach niż człowiek z problemami, ale stereotypy trudno pokonać.

I mało kto próbuje, bo ułatwiają pojmowanie rzeczywistości jako takiej.

I utrudniają życie, ale to już inna bajka.

*

Tego dnia, a właściwie wieczora, osiedle pozbawione odgłosów weselnych przebojów w rytmie disco polo, wrzasków oraz pijackich awantur na parkingu zasnęło kamiennym snem, po raz pierwszy od miesiący.

Ludzie, otumanieni ciszą, położyli się do łóżek już o dwudziestej drugiej, bo nie byli pewni, czy taka noc zdarzy się choć jeszcze raz. Rozkosz ciszy znają tylko ci, którzy przez jakiś czas nie doświadczali jej luksusu.

Wycie, które rozległo się około pierwszej w nocy, rozbudziło wszystkich. Po pierwsze było makabryczne, po drugie straszliwe, po trzecie niespodziewane.

Jęki sprzężeń, huk tłuczonych naczyń, basy techno, które wprawiły ściany, łóżka i podłogi w rytmiczne drgania, można było pomylić z uderzeniami pulsu oraz atakiem arytmii serca, wszystko to wyrwało osiedle ze snu.

Po chwili doszło do tego wycie syren.

Dom weselny był rozświetlony, rozdygotany i pusty. Był też trochę zdewastowany. Na środku sali pysznił się stos bułek drożdżowych. Ktoś je rozdeptał.

*

Drugi dzień świąt przywitał Tomasza na posterunku, bo policjant siedział tam od drugiej w nocy. Julita zresztą też.

Nie powinni byli tam siedzieć, ale po awanturze w pustym domu weselnym nie chcieli im się wracać do domu.

– To jak? Idziemy?

– Idziemy – odparł niechętnie Tomasz.

Oboje wiedzieli, że wizyta w ośrodku dla nerwowo i psychicznie chorych jest konieczna. Nie wiedzieli tylko, czy ktoś ich przyjmie w drugi dzień świąt.

Zadzwonili i teraz musieli tam pójść, a właściwie pojechać.

Ośrodek był piękny, elegancki i bardzo zadbane. W niczym nie przypominał tych, które widuje się w filmach czy grach komputerowych; gdyby nie nazwa, pewnie by go skojarzyli bardziej z pensjonatem niż z placówką leczniczą.

– Pan Merlin? Jasne, że był naszym klientem. Od lat! Wspaniały człowiek – powiedziała właścicielka. – Będzie nam go bardzo brakowało. Oczywiście nie mogę państwu wyjawić, z jakimi problemami się zmagał, na pewno nie bez powodu, ale przyjeżdżał do nas regularnie, choć nie ostatnimi czasy.

– A Donata...

– Och, proszę mi nawet nie wspominać o tej kobiecie. – Właścicielka obruszyła się elegancko, aczkolwiek zdecydowanie. – Oczywiście już u nas nie pracuje. Czy państwo sobie wyobrażają, że ona uprawiała seks z pensjonariuszami? Nie to, że... No bo – zamilkła na chwilę – seks jest dozwolony, jak najbardziej, ale nie z pomocą kuchenną!

– No ale chyba ona ich nie gwałciła? – obruszyła się Julita. – W seksie jakoś tak jest, że powinna być zgoda dwóch osób.

– Och, nie bądźmy pruderyjni, może być nawet i pięciu osób, ale osób, a nie pomocy kuchennej!

– Co ma pani do tej pomocy kuchennej?

– Ona ich uwodziła! Nachalnie i nieprzyzwoicie! Czy pani to rozumie? Nie mam nic do prywatnych decyzji naszych drogich klientów, ale nie pomoc kuchenna! To takie nieeleganckie.

– No ale potem ona miała, zdaje się, już trzech mężów?

– Nie wiem, ilu miała, ale nasi panowie szybko się wycofali.

– Znaczą chodzi o to, że zesłali śmiertelnie?

– Ależ nie! To tylko plotki.

– To znaczy jak?

– Ta kobieta ich uwodziła, potem ogłaszała, że wychodzi za męża, ale panowie się rozmyślali. Owszem, trochę ich to kosztowało.

– Czyli oni żyją?

– Jak najbardziej, ale nie będę mogła podać ich personaliów.

– Zaraz, to mi się kupy nie trzyma. To za co oni płacili? Czy chodzi o... powiedzmy, niedozwolenie zachowania seksualne?

– Nie. Oni po prostu najpierw się na te śluby godzili, podpisywali papiery, dawali na zapowiedzi, a potem zmieniali zdanie. Zresztą nie wiem dokładnie, jak to było. Wiem, że ona zarabiała. No chyba im groziła i takie tam...

– Dziwne, ale...

– Proszę mi wierzyć, nie ma w tym nic dziwnego. Pan Merlin...

– No właśnie, on też się chciał wycofać?

– Chyba nie, ślub miał być wczoraj, więc raczej nie.

– Czy miał wrogów?

Kobieta się zamyśliła. Stała przy oknie i przez chwilę się nie odzywała.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Chyba miał, każdy ma, a ktoś taki? Sławny? Zamożny? Przystojny? Musiał mieć, ale nie mówił o tym.

– A tutaj?

– U nas? W ośrodku? – Roześmiała się. – Nie, u nas nie ma wrogości. To nie do pomyślenia.

– A czy on chodził nago?

– Tak, oczywiście, mamy terapię nagością, ale odbywa się tylko w piątki i nie każdy w niej uczestniczy. To są zajęcia indywidualne, wyłącznie dla pewnych grup ludzi.

– Z lekarzem?

– Ze mną. Jestem terapeutą. Lalina Mara-Koziej – przedstawiła się. Jej imię wydało się dziwne, ale teraz tyle jest dziwnych imion, albo może pseudonimów, że woleli to pozostawić bez komentarza. – Prowadzę nagość, ciasta drożdżowe i zajęcia z sosami. To znaczy robię majonezowe, a te na bitej śmietanie robi mój zastępca.

– Mówi pani o zajęciach kulinarnych?

– Oczywiście, że nie. O terapii! Terapia ciastem drożdżowym jest niezwykle skuteczna.

– Je się je?

– Nie, zawija się pacjenta w ciasto i ono wraz z nim rośnie i wyzwała jego wielkość... No i Donata, ona właśnie to ciasto robiła, a potem przynosiła, w sumie przywoziła, i zatapiała pacjenta, a potem oskubywała, no i stąd...

Zamilkła, a potem jęknęła zniesmaczona.

– Ona robiła zdjęcia! Rozumiecie? Robiła zdjęcia i szantażowała... Bo ta terapia jest cudowna i cudownie skuteczna, ale w takim cieście to nie wygląda się, powiedzmy, dobrze.

*

Milka postanowiła iść do swojego mieszkania i rozmówić się z Karolem, ale nie była pewna, czy go w nim zastanie, bo od dnia poprzedniego koczował u matki.

W każdym razie tak jej się wydawało. Jej blok stał trochę dalej w lewo od osiedla domków, gdzie mieszkała babcia, ale odległość była naprawdę minimalna. I właśnie tam, w alejce, na ławce, zmarznięta na kość, splakana, roztrzęsiona siedziała Donata. Po twarzy spływał jej makijaż, dosłownie, z oczu ciekły czarne strugi, usta miała rozmazane, cerę w kolorze bardzo nieokreślonym, bo była sina, blada, umazana wszelkimi pudrami i podkładami. Płakała.

– Co się stało? – zapytała Milka, choć przecież wiedziała doskonale, o co mogło jej chodzić.

– No jasneeee, co się stałoooo jasneeee – zawyla. – Zanikiiii pamięci masz?! – Wysmarkała się w naprawdę już zużytą chusteczkę.

– Nie, no nie mam – zmytygowała się Milka, jednocześnie coś ją zaniepokoiło. Niedoszły mąż Donaty został, co prawda, zamordowany, ale wczoraj, ona dowiedziała się o tym wczoraj i nie płakała, a teraz wyje? Może dopiero teraz to do niej dotarło? Szok tak czasami działa.

– Wiem, chodzi o twojego narzeczonego, rozumiem, ale... – Chciała ją zapytać, dlaczego płacze na śniegu i mrozie, i to w parku zamiast na przykład w mieszkaniu. Nie zdążyła.

– Nie, wcale nie chodzi o niego, tylko o mnie! O mnie! Rozumiesz? Jestem przeklęta! Całkiem przeklęta! A teraz pójde do więzieniaaaa. – Znów się rozplakała.

– Naprawdę? Zabiłaś go? – Milka nie mogła wyciągnąć innego wniosku.

– Nie, kretynko! – wrzasnęła zrozpaczona Donata. – Ale mnie wsadzą. Przecież! Dlatego przyszedłam do ciebie.

– A co ja mam z tym wspólnego?

– Znasz tego policjanta! – krzyknęła Donata tak głośno, jakby to miało jakieś wielkie, a nawet ogromne znaczenie.

– Przecież każdy go zna – odburknęła i miała rację, miejscowości takie jak Leszyn są bardzo specyficzne, tu się zna każdego, nie tak, że osobiście, ale jakoś się zna, a to z widzenia, a to ze słyszenia. Jeżeli taki ktoś jest policjantem, to nawet bardziej się go kojarzy, bo to nie tylko syn tej, co to wiesz, ale jeszcze czasami pokazują go w lokalnej telewizji.

– Ja nieee – znów zawyla Donata.

– No ale po co ci on i dlaczego siedzisz tu na mrozie? I skąd wiedziałas, gdzie mnie szukać?

Pytanie było o tyle istotne, że do wczoraj Milka i Donata właściwie się nie znały. W każdym razie nie znały się osobiście i nie zamieniły ze sobą ani słowa.

– Karol mi powiedział! Tyle że ciebie nie ma... Od rana...

Karol wyraźnie zapomniał, że Milka miała spędzić święta u babci, ale to zapomnienie było z pewnością celowe. Adres dał, choć wiedział, że Milki Donata tam nie zastanie, tak więc dał i nie dał zarazem, zawsze działał pokrętnie, kiedy chciał się wymigać od konkretów.

– Dobra, chodź ze mną, bo tu kompletnie zamarznie. Ile tu siedzisz?

– Już ze sześć godzin – wyszczękała Donata.

– W nocy tu przyszałaś? Zresztą chodź, musisz się rozgrzać!

*

Kobieta z trójką dzieci szła przez parkową alejkę obładowana torbami. Musiała odwiedzić każdą ze swoich trzech niedoszłych teściowych, które były babciami jej dzieci, bo w święta babcie są hojne, a pieluchy kosztują.

Już i tak ograniczyła zmianę pieluch do minimum, stosując zasadę, że matka powinna mieć zgodę dziecka na takie działanie (jej dzieci się nie zgadzały, to było korzystne, ale trochę cuchnęło), nawet ją to cieszyło, bo na pieluchach oszczędzała.

Teraz też kilka zużytych miała przy sobie, wносиła je do bardziej oddalonych koszy na odpadki, bo i tak miała nadprodukcję śmieci, a dopłacać do wywozu nie chciała.

Dla dzieciaków święty mikołaj w parkowej alejce to sygnał do ataku. Natychmiast wyczuwają, że można się nad nim poznęcać, a jak nie nad nim, to choć nad matką.

Najstarsze z dzieci natychmiast podbiegło do mikołaja i kopnęło go traperem w kostkę.

– Dawaj prezenty, śmieciarzu! – wrzasnęło.

Diabeł zrobił oczy jak spodki. Nie wiedział, jak zareagować, świętego z racji swojego pochodzenia nie znał, z dziećmi też nie miał do czynienia.

Drugie dziecko przyłączyło się do starszego i napluło na mikołaja.

– Dawaj plezenty, smieciu – powiedziało, sepleniąc.

Nadal nie wiedział, co ma zrobić.

– Pan im coś da, inaczej się nie odczepią – oświadczyła matka. – Co, dziecku pan żałuje?

– Nic nie mam – wydukał chrapliwym głosem diabeł i to była prawda.

– No niech pan nie udaje, dychę pan da i będą szczęśliwe.

– Nie mam. – Diabeł pokręcił głową. Już coraz bardziej czuł, że to, czym kręci, jest głową, a nie łbem.

– Skąpy chuj – podsumowała go matka.

– Dlaczego one tak śmierdzą? – zapytał, wyczuwając specyficzną woń wokół dzieciaków. Najmłodszy cuchnął najbardziej.

Ktokolwiek kiedykolwiek podniósł rękę, wzrok lub też głos na jakiegoś bombelka w obecności jego matki, wie, czym to się może skończyć.

Diabeł nie wiedział.

– Zboczeniec, zboczeniec, zboczeniec! – ryknęła. – Zaczepiał moje dzieci!

Dwa ciosy w kostkę zachwiały diabłem, matka zamachnęła się torbą z pieluchami, były miękkie, ale skuteczne, poprawiła torebką, dwoje maluchów ugryzło diabła w łydkę.

– Aaa! – krzyknął, nie spodziewając się ataku z ich strony.

– Czego wrzeszczysz, skąpy chuju! – warknęła matka i przywaliła mu torbą z termosem.

Raz, drugi, piąty.

Diabeł nie potrafił się bronić, bicie kobiet i dzieci jakoś nie leżało w jego charakterze. Nie, w żadnym razie nie był dobrym diabłem, był naprawdę zły, dostawał nawet z tego powodu pochwały, ale kobiet nie bił.

– A masz! – Kobieta kopnęła go glanem w przyrodzenie.

– Aaaaa – jęknął i padł, zakrywając swoje klejnoty rękami.

Liczył, że w końcu się znudzi i zostawi go w spokoju.

Prawda była nieco inna.

– Damski bokser – usłyszał – zboczeniec!

Diabeł został skopany przez dwójkę dzieci, matkę oraz kilku przygodnych przechodniów, którzy nie omieszkali skorzystać z okazji. Został też opluty, skopany jeszcze raz oraz prawie zatłuczony na śmierć torbą z termosem.

Matka wywaliła też na niego zużyte pieluchy. Bardzo zużyte.

Tym razem zainteresowała się nim policja.

Jednakże modus operandi niektórych matek, a ta była znana z awantur i zastraszania, które zawsze kończyło się podobnie, sprawił, że potraktowali biednego diabła ulgowo.

– Są święta, lepiej, żeby się pan sam po ulicach nie włóczył, jeżeli pan chce, to zatrzymamy pana na noc w areszcie. Był im bardzo wdzięczny.

*

Rozgrzewanie Donaty było oczywiście wielowymiarowe. Ciepłe koce i herbata na niewiele by się zdały bez śledzia, barszczu i nalewki.

Ta ostatnia zadziałała chyba najlepiej.

– No dobra, to teraz mów – zachęciła Donatę babcia. Ona też się już zdążyła rozgrzać nalewką.

– Chciałam wyjść za męża! – jęknęła Donata i oczywiście znów się usmarkała, na katar nalewka oczywiście też pomaga, ale nie tak od razu.

– Tak, chyba naprawdę to lubisz – westchnęła, krzywiąc się, babcia, która nie miała zamiaru mówić Donacie per pani. Już miała coś wspomnieć na temat ślubów, dość ściśle powiązanych z szybką śmiercią jej mężów, ale się powstrzymała.

– I pani wierzy w te bajki? Że miałam tylu mężów? Nie miałam. Nie miałam zaaaadnegoooo – rozpląkała się Donata.

– Niemożliwe! – jęknęły obie, Miłka i babcia, bo Alicja poszła do domu po zapasy trunków na wieczór, wczorajsza i przedwczorajsza akcja naprawdę trochę przetrzebiły półki tajnych babcinych schowków z nalewek, wódek i innych dóbr pitnych z procentami.

– No i właśnie o to chodzi! Pieprzone plotkowisko! Przecież tu ludzie naprawdę nie mają nic do roboty, tylko innym pod koldrę ryja wkładają! Nie wyszłam za mąż ani razu! Ani razu! Nie że nie chciałam, chciałam, ale nie udało się, a teraz to! Merlina ktoś zabił, rozumiecie? Ktoś, nie ja, ale to mnie wsadzą do pierdła – już się chyba rozgrzała, bo nie dość, że zrobiła się czerwona, to zaczęła kłąć – i o to chodzi.

– Ale za co cię wsadzą?

– No za morderstwo! Bo ja... Bo ja... tam w nocy... Narozrabiałam! W domu weselnym.

– Zaraz, ale dlaczego wszyscy mówią, że miałaś kilku mężów? I że oni zmarli i że ten miał być czwarty?

– Nie miałam, ale miałam mieć, ale nie wyszło, a mnie było wstyd. To mówiłam, że wyszłam za mąż.

– Ale czego ci było wstyd?

– No bo wszystkie koleżanki za mąż już po dwa razy wyszły, a ja? Nic, wciąż nic! Tak jakby nikt mnie nie chciał, a ja wszystko: i usta, i nos, i cycki sobie zrobiłam, ale nie... No i teraz to. Ktoś to wykombinował specjalnie. Żeby mi dopiec. Żebym za mąż nie wyszła. Na złość. Naprawdę, na złość. Teraz to będą mówić, że jestem przeklęta.

Takie rozumowanie nie przemawiało do Miłki, zabicie faceta tylko po to, żeby koleżanka nie wyszła za mąż, wydawało się jej całkowicie niemożliwe. I głupie. I o ile istnieją na tym świecie kretynki, a i kretynów nie brak, to jednak taki motyw morderstwa był nie do pomyslenia, rzadko kiedy kretyn morduje.

Owszem, bycie kretynem szkodzi, ale najczęściej samemu kretynowi, no, może jego najbliższej rodzinie. Owszem, zdarzają się ofiary śmiertelne, potłuczenia, wypadki, a nawet pożary, ale wynikają one z kretynizmu danego kretyna, a nie z jego zaplanowanych akcji.

Sąsiad trzy domy dalej chciał kraść prąd, ale nie umiał tego robić. Pod coś się podpiął. W rezultacie w czasie burzy lustro wyświetlało mu jakieś piekielne horrory, diabły tańczyły po ścianach, zostawiając ślady łap i pazurów, a pralka stanęła w płomieniach. Jakimś cudem znaleziono w niej spaloną pizzę.

Ale poza tym to nic się nie stało.

Sąsiad, co prawda, nie był potem już taki jak dawniej, ale niewiele go to nauczyło.

Kradł dalej. Sygnał wi-fi był bezpieczniejszy, ale też nie całkiem bezpieczny.

Raz pokazały mu się makabryczne stwory uprawiające seks, a raz kuchenka mikrofalowa zaczęła odtwarzać Międzynarodówkę i Marsylianę na przemian.

Zresztą wszyscy i tak uważali, że to nie jest wina sąsiada ani nawet burzy czy kradzieży, ale leszyńskiego diabła.

Miłka westchnęła do własnych myśli.

– Ale czego ty chcesz ode mnie? – zapytała.

– Niczego. Od ciebie niczego. Od tego policjanta chcę.

– Ode mnie? – usłyszały nagle.

Babcia właśnie wprowadziła rzeźzonego policjanta do salonu.

*

Karol nie mógł sobie znaleźć miejsca. I nie mógł pojąć jednego.

– Mamo? Rozumiem, że przesiedziałaś noc ze zwłokami w chłodni, w porządku, to znaczy wiem, nie rozumiem i wcale nie w porządku, ale po co ty poszłaś do tej pieprzonej chłodni? W Wigilię! W samym środku imprezy? Nie udawaj, że szukałaś ubicacji, naprawdę nie wierzę. Po coś tam polazła!? Mów!

Matka Karola jak każda kobieta miała swoje tajemnice. Zresztą matki są kobietami, a kobiety są skomplikowane. Nie są, co prawda, kobietami dla swoich synów, ale jednak nie wszystko im mówią. Zdecydowanie nie wszystko.

– Wyszłam tam przypadkiem. Było ciemno, macałam, żeby zapalić światło, myślałam, że to łazienka, ktoś zamknął drzwi. Prawie oszalałam – powtórzyła prawie dokładnie to samo, co mówiła wcześniej, ale Karol jej nie uwierzył.

– Umówiłaś się tam z nim? Z tym trupem? Tak? Mów! – Karol wiedział swoje, a to, co wiedział na temat własnej matki i jej wiary w cuda i wróżby, skłaniało go do tego, żeby sądzić, że ona się tam z tym facetem umówiła. Szczególnie teraz, kiedy Karol wygrał milion. Bo kto powiedział Karolowi, żeby zagrał? Matka! A kto powiedział matce?

– Nie, no co ty. Nie umówiłam się. Wcale! Nie umawiam się z obcymi facetami.

– Przecież go znałaś!

Matka westchnęła.

– Przez internet! I nie wiedziałam, że tu będzie. I nie wiedziałam, że będzie w tej chłodni! Nie rozumiesz? Nie wiedziałam, ale to w sumie prawda.

– Co prawda?

– Tylko nic nie mów.

– No. Nie powiem, czyli jednak go zabiłaś?

– Nie, ale umówiłam się, ale nie do końca, to znaczy Lalina tu była. To znaczy tam.

– Lalina?

– No Lalina Mara-Koziej, ta terapeutka z ośrodka. Chciałam się z nią zobaczyć.

– No, dobra, ale po co?

– Bo widzisz, chciałam jej powiedzieć, że ją kocham.

Karol prawie zemdłał. Pewne rzeczy są straszne, na przykład matka morderczyni, ale bywają i straszniejsze. Rozwód rodziców albo...

– Mamo! Ona jest kobietą! – wrzasnął oburzony. Całe życie przeleciało mu przed oczami. Straszne zakwitło w nim podejrzenie.

– No wiem, ale ja ją kocham jako terapeutkę. Nie jako kobietę. Mam wszystkie jej książki! Jest cudowna, zgoła nie-samowita!

– Mamo, Boże kochany! Zgoła? Ona się przy tobie rozbierała?!

– Idiota! – skwitowała matka niechętnie.

*

Tomasz przyszedł dopytać o wigilijną akcję, bo właściwie w pierwszym momencie skupił się na tym, jak, gdzie i kiedy znalazły faceta, który rano okazał się nieboszczykiem, i w jaki sposób wyniosły go z domu. Resztę, czyli transport i pozostawienie nieboszczyka w miejscu w pewnym sensie docelowym, choć jednak nie dla niego, omówili dość pobieżnie ze względu na wezwanie do domu weselnego, który wybuchł wrzaskiem.

Po tym, co się działo wieczorem, nocne manewry obudziły pół miasta i postawiły policję w stan gotowości, bo przecież było to tak jakby miejsce zbrodni.

Teraz, niedospany, kłął pod nosem, a kiedy zobaczył Donatę, zaklął nawet głośniejsze, bo miał ochotę pogadać z Miłką. Pogadać, a nie ją przesłuchać, obecność Donaty trochę komplikowała sprawę.

Po prostu nie mógł się czuć tak swobodnie, jak chciał, mimo wszystko postanowił jednak skorzystać z okazji. Jakoś, jakkolwiek, ale skorzystać. Taka półprywatna rozmowa z którymkolwiek z podejrzanych albo, co pewniejsze, świadków na tym etapie śledztwa mogła mu dać więcej niż przesłuchanie. Bardzo często posterunek, kraty, paskudne biura i obecność umundurowanych kolegów powodowały u przesłuchiwanym efekt nieco mrozący krew w żyłach. Choć określenie „nieco” może jednak być błędne, zważywszy na ogólne przekonanie, że policja zamyka ludzi jak popadnie, a potem dopiero dopasowuje do nich zbrodnie. Bledli, drętwieli, dukali, w każdym razie słowa z takich zalanych zmrożoną krwią z żył przesłuchiwanym wychodziły niechętnie i ciężko.

A prywatnie czasami sypały się lekko i ciekawie.

Dlatego natychmiast ruszył do ataku.

– Ale skoro już pani tu jest, to proszę mi powiedzieć, dlaczego pani narobiła tego bałaganu w nocy w tym pieprzonym domu weselnym – zapytał obcesowo, patrząc na Donatę. – Te nocne harce, muzyka i rozwalanie sprzętów, po co to pani było?

O ile o nocnych harcach i bałaganie wiedziało już bez mała całe miasto, o tyle nikt, absolutnie nikt nie wiedział, kto za nie odpowiadał. Owszem, wszyscy typowali winnych, a w sumie bardziej jednego winnego, którym najchętniej obwoływano leszyńskiego diabła, ale pewności nie miał nikt.

Diabeł był wygodną i ciekawą opcją, ale nikt nie miał pojęcia, dlaczego objawił się w taki, a nie inny sposób.

Nikt, ale to absolutnie nikt, nie podejrzewał Donaty.

– Nie, no co pan, ja? To nie ja, siedziałam całą noc w domu. Oplakiwałam swój wdowi los... No prawie wdowiiii – rozplakała się chyba na pokaz, po czym westchnęła ciężko, licząc, że jej uwierzy. Nie była dobrą aktorką.

– Nie wlamiała się tam pani? – zapytał prawie zaczepnie.

– Nie, no co pan? Nie! Wcale! – Zaczęła bić się w piersi. To dało mu pretekst do zapytania o coś dość istotnego.

– No to jakim cudem w bułkach, w tych stosach bułek na podłodze, znaleźliśmy pani pazury? Te z diamencikami?

Wszyscy popatrzyli na ręce Donaty i rzeczywiście brakowało jej dwóch pazurów prawej dłoni i jednego lewej.

– To nie byłam ja! – jęknęła słabo i starała się znów rozplakać, ale chyba już nie była w stanie. Możliwe, jak to mówią, że wyplakała oczy, możliwe, że nalewki babci Miłki już ją trochę znieczuliły, ale jeszcze nie zaczęły za nią płakać, jak to często robi wódka.

– Przecież wiem, że to była pani. I nawet mogę to udowodnić, tylko nie wiem, po co pani to wszystko tłukła i puszczała muzykę, ale ten stos rozkruszonych bułek to zupełne przejęcie, pani się w nich tarzała czy jak? Bo jeszcze były tam i wałki, i jakieś kłaki.

Miłka i babcia popatrzyły na Donatę z zaciekawieniem jak na jakiegoś dziwnego, a może nawet jadowitego pajaka. Zdały sobie sprawę, jak słabo się zna niektórych ludzi. O Donacie paradoksalnie wiedziały coraz mniej; im bardziej ją poznawały, tym wiedziały o niej o wiele mniej niż kiedyś.

To nie jest zjawisko rzadkie, bo ludzie teraz produkują się na Facebooku i często tam kłamią. I taka jakaś dziewczyna poznaje przystojnego faceta z forsa, w którym się zakochuje, a to nie dość, że nie facet, ale kobieta, nie dość, że biedak jakich mało, to jeszcze usiłuje cię oskubać z ostatnich groszy, a kiedy mu odmówisz prezentu za dwieście tysięcy, to się obrazi i w wiadomości głosowej wyzwie cię od jebanych skąpych suk, mimo że nie tylko ty, ale cała rodzina razem wzięta takiej sumy w życiu nie widziała.

No ale to w internecie. Internet taki już jest i nie ma się czemu dziwić.

Reszta to przecież zaledwie życie.

No i właśnie na tym polega problem.

Internet infekuje życie. Tak, bo ludzie już nie żyją w realu dla realu, ale dla wirtualu. Wyłącznie. Buty kupuje się teraz nie dlatego, że pasują do czegokolwiek, jak choćby do stopy, ale dlatego, że ładnie prezentują się na zdjęciach.

Zaczynają to nazywać syndromem brzydkiej siostry Kopciuszka. Nieważne, co sobie obetnie, nieważne, ile krwi straci, ważne, żeby zdjęcie wzbudzało zachwyt wszystkich księżąt i zazdrość kopciuszków tego padło.

– No i co?! – Donata nie wytrzymała napięcia. – Tarzałam się! Bo te bułki to były z jego zaczynu! Nie zrozumiecie! Nie zrozumiecie, ale to było ważne, to była jego istota.

– To znaczy? – zapytał Tomasz, unosząc brew.

Miłka też się zdziwiła. Wiedziała, że facet był wróżem, ale mógł też przecież być piekarzem, jedno drugiemu nie przeszkadzało właściwie (no dobra, oczywiście, że przeszkadzało, taki piekarz to przecież robotnik fizyczny, a wróż to ktoś z pozycją, no i piekarz pracuje rękami, a wróż duszą, te dwie profesje są nie do pogodzenia, przynajmniej dla snoba, a Donata była snobką w każdym calu).

– To nic nie znaczy, nie zrozumie pan! – wrzasnęła w sposób tak jękliwy, jakby sprofanował zwłoki, albo choć pamięć nieboszczyka.

– Pani narzeczony to ciasto zagniała? – zapytał, choć pewne rzeczy jakoś zaczęły mu się z czymś kojarzyć. Nie należał jednak do osób, które kojarzą szeroko, to znaczy nie było u niego tak, że zobaczył w telewizji rannego kondora, pomyślał o nim, a następnie wywnioskował, że sąsiadka z dołu jest w ciąży. I to tylko na podstawie ciągu myślowego związanego z szeroko pojętym ptakiem.

– Nie, ja je zagniałam na nim! Na nim! – powtórzyła. – On w nim leżał!

– Jezus Maria! – Babcia aż usiadła. – Po śmierci?! Chciała go pani upiec?!

Jakkolwiek było to trudne, to jednak wszyscy wyobrazili sobie wielką bułę z nadzieniem z nieboszczyka.

Wy tłumaczenie terapii ciastem drożdżowym doprowadziło do tego, że Miłka zzieleniała, a babcie zemdlilo.

– I on w tym cieście, z fiutem? Dupą? Ze wszystkim? – rzuciła Miłka i pobiegła do łazienki, co prawda bułek, tych konkretnych, nie jadła, ale miała ochotę. Wtedy miała ochotę, teraz musiała tę ochotę zwrócić.

– I ludzie mieli to jeść? Chciałaś, żeby się pochorowali? – zapytała ze zgrozą babcia.

– Nie rozumiecie miłości! – Donata rozplakała się na nowo. – Chciałam być z nim! Ja go kochałam!

– W cieście? – Tomasz rzeczywiście nie rozumiał.

– No, w cieście też – przyznała, czerwieniąc się. To wyznanie sprawiło, że zemdlilo Tomasz. Jako policjant otarł się o dziwne zachowania seksualne, nie zawsze dozwolone, ale w cieście drożdżowym?

Czytał kiedyś książkę o seksie na stoisku mięsnym, konkretnie takim z podrobami. Przez dłuższy czas nie mógł jeść wątróbki drobiowej.

Gdyby wtedy poszedł do psychiatry i wyznał, że wątróbka kojarzy mu się z seksem, na pewno zaliczyłby kaftan i pobyt w zakładzie zamkniętym, a latka zboczeńca przyłgnęłaby do niego na wieki.

Owszem, dopadł raz siedemdziesięciolatkę, która wysyłała penisy w mailach, udając napalonego nastolatka i wcale się tego nie wstydzila. Spotkał babkę, która uprawiała seks tylko w obecności kur, bo to ją stymulowało, ale kury łączące po plecach pazurzystymi łapami i dziobiące bez pardonu gdzie popadnie nie podniecały facetów.

Ludzkie zwyczaje seksualne czasami go przerażały.

Donata jednak nie była nawet zawstydzona.

– I to świadczy o tym, że go kochałam, dlatego ja go nie zabiłam! – oświadczyła takim tonem, jakby uprawianie seksu w dzieży z zakwasem było kwintesencją miłości i niewinności.

– Wie pani co, pani Donato? Właśnie dlatego sądzę, że pani mogła, ale to jest w tej chwili mniej ważne, bo nawet jak pani mogła, to nie znaczy, że pani to zrobiła. Teraz powiedzcie mi, jak go wtaszczyłyście do tej chłodni? – zwrócił się do bladej jeszcze babci.

– Wcałe. Zostawiłyśmy go na ławce w parku. Zupełnie nie mam pojęcia, jak się znalazł w chłodni. Moim zdaniem on ożył i po prostu tam wszedł.

– Martwi ludzie nie ożywają ot tak sobie. – Tomasz był nieubłaganie sceptyczny. – To niemożliwe.

– No to nie ożył, po prostu żył. Nie był martwy. Jeszcze wtedy nie. Wstał, wszedł do tej chłodni i sobie tam umarł? – Myślenie życzeniowe bywa kuszące.

– Po co miałby wchodzić do chłodni? Gdyby żył, wszedłby do sali prosić o pomoc albo do kuchni, ale nie do chłodni.

Dziwna pielgrzymka zwłok naprawdę nie dawała mu spokoju. Zmarły wszedł jakoś (i, co ważne, po coś) do domu babci i usiadł na fotelu, był nagi. Jak wszedł? Nago? Czyli musiały się gdzieś tam przed domem rozebrać? No bo chodzenie po ulicy na golasa nie wchodziło w rachubę, i to nie tylko dlatego, że było zimno. Dlaczego się rozebrał albo dlaczego ktoś go rozebrał? Potem został przeniesiony do parku. Duży, bezwładny mężczyzna, może jeszcze trochę żył? Jak to się stało, że te trzy kobiety dały mu radę? Zostawiły szramy, bo to chyba ich sprawka, a więc nie żył, bo to ślady pośmiertne, ale potem? Co się stało w parku i dlaczego chłodnia? Ktoś chciał zafalszować godzinę śmierci?

Raczej bez sensu. Bo co w tym wszystkim robi wizyta w domu babci Miłki, a poza tym po co chłodnia? Na dworze też było zimno, noc i mróz powinny zadziałać tak samo.

Tylko po co to wszystko? Czy ktoś chciał, żeby zwłoki odkryto w miejscu zamieszkania babci? A może w miejscu przebywania Miłki?

– Czy ktoś mógłby chcieć, żeby zwłoki zostały znalezione w domu babci? A może chodziło o ciebie, Miłka?

– Jeżeli tak, to tylko Karol! – Babcia skojarzyła fakty. – Pożarli się, mógłby chcieć zrobić jej na złość. A może nie tyle on, co jego matka?

– Zenobia Maciążek? Ta podejrzana? – Donata natychmiast włączyła się do rozmowy, bo wiadomo, miała w tym swój cel, pragnęła gorąco, żeby podejrzania zostały przesunięte z niej na inną podejrzaną.

*

– Mamo! Kłamiesz! – wrzasnął Karol po raz kolejny. Podejrzanie dotyczące orientacji seksualnej własnej matki jakoś tak zaczęło rozkwitać. I nawet, choć go przerażało (wiadomo, rodzice nie mają prawa mieć preferencji seksualnych, nie mają prawa seksu uprawiać, a już w żadnym wypadku robić tego dla przyjemności), to jednak się ucieszył. Tak, bo mimo wszystko wolał, żeby matka uprawiała seks, niż żeby była morderczynią. Nie doszedł do tego wniosku natychmiast, trochę mu to zajęło, ale stwierdził, że seks jest łatwiej ukryć niż zwłoki.

I to nieważne, jaki seks, każdy jest wstydlivy.

Sprawa terapeutki i ewentualnych w tym kierunku skłonności sprawiła, że postanowił natychmiast zadzwonić do Miłki. Jeżeli matka tam poszła, to jest do tej choleralnej chłodni, żeby się spotkać z Lalina Marą-Koziej to znaczyło tylko, że Lalina Mara-Koziej też tam była, a jeżeli była, mogła być podejrzana, a jeżeli była podejrzana...

Nie chciał odwiedzać matki w więzieniu. I nie odwiedziłby jej, żeby nie wiem co, dlatego musiał zrobić wszystko, żeby nie okazała się winna.

– Miłka. Lalina tam była! – krzyknął do telefonu, który dziewczyna dość nieopatrznie odebrała. Nieopatrznie, bo gdyby spojrzała na wyświetlacz, natychmiast odrzuciłaby połączenie.

– Jaka lalunia? Upiłeś się czy co? Nie interesują mnie twoje lalunie, a jeżeli ci chodzi o to, że ona chce podpisać intercyzę, to niech podpisuje, spadaj! Nie błażnij się, co? Już i tak...

No cóż, sprawa intercyzy bolała ją mimo wszystko. Nie chodziło już właściwie o Karola, bo z dupkami zadawać się nie zamierzała, zamierzała za to w tym niezadawaniu się być konsekwentna, ale o te stracone lata, własną naiwność, żeby nie powiedzieć głupotę, i przerażenie, że gdyby nie ten szczęśliwy-nieszczęśliwy los na loterii, zostałaby żoną tego gnoja!

– Nie lalunia, tylko Lalina – odpowiedział gnój, który zupełnie nic nie rozumiał i był przekonany, że Miłce chodzi o pieniądze, a skoro tak, to prędzej czy później do niego wróci. Na kolanach, i to wcale nie tak jak u jego kolegi, co to

się chwalił, że żona po kłótni przysłała do niego na kolanach. I wszyscy mu zazdrościli, dopóki syn nie dodał, że to prawda, przysłała i kazała mu wyleźć spod łóżka.

– Co to za różnica? Lalina? Lalunia? Jeden pies – warknęła Miłka i już miała się rozłączyć, kiedy do akcji wkroczył Tomasz, który zapamiętał dziwne imię kobiety z pobytu w ośrodku.

– Lalina Mara-Koziej? – zapytał i wydarł aparat z ręki Miłki. Potem słuchał, wciąż powtarzając: „taak?”, „oooo?”, „naprawdę?”. – Dobra, zaraz tam będę – oświadczył w końcu.

– Ja też jadę – powiedziała zdecydowanie Miłka, choć spotkanie z Karolem wcale jej nie kusilo – wy tu poczekacie.

Wskoczyła w kurtkę i puchaczę, prześmieszne futerkowe kozaki, które nie były modne ani nawet ładne, ale jej pasowały.

Zaczęła się zastanawiać, czy to, że dzień wcześniej odmówiła podpisania intercyzy, nie wywołało całej katastrofy. Swoją przyszlą i już całkowicie niedoszłą teściową gotowa była posądzić o wszystko.

Zenobia Maciążek reprezentowała typ maniackalny zafiksowany na synku i tolerujący męża. To, że go jeszcze miała, wynikało z mężowskiego podporządkowania. To był jeden z tych mężów, który z pewnością, gdyby chciał ją zdradzić, najpierw by zapytał, czy może.

I teraz Miłka tak się zastanawiała. Milion to sporo kasy. Matka Karola jaja spod suki by zjadła.

Była tak skąpa i tak oszczędna, że gdyby zabójstwo kogokolwiek pozwoliło jej zaoszczędzić, toby je popełniła. Może chciała zrobić ją w to morderstwo? I w ten sposób wyeliminować?

Wydawało się to dziwne, bo Miłka sama się już jakby wyeliminowała, tyle że Karol nadal za nią laził, więc może chciała ją wsadzić do więzienia, żeby Karol przestał o niej myśleć?

Świąteczne miasto wyglądało odrobinę ładniej niż zazwyczaj, bo jednak światełka w oknach i stroiki na latarniach jakoś je ozdabiały.

Atmosfera świątecznej jednak za bardzo nie było. Burość i śnieżna breja skutecznie ją tłumiły.

Przed domem Karola panował światełkowy chaos.

Owszem jego matka lubiła oszczędzać, ale nie na pokaz. To, co widać, musiało być... no widoczne. Były więc cztery renifery, sześć mikołajów, dwie choinki, po jednej z każdej strony wejścia do domu, wszystko błyszczało kiczem za ciężkie pieniądze i wielkim rachunkiem za prąd.

W domu też była choinka.

Stół z białym obrusem zastawiony był jak na przyjęcie.

– Siadajcie – Zenobia wskazała im miejsce za stołem – są święta!

Biały obrus przykryty był przezroczystą folią.

– To żeby dzieci nie poplamily – wyjaśniła, widząc zdziwienie Tomasza; Miłka się nie dziwiła, ona już tu bywała nieraz i zdążyła się przyzwyczaić. – Chodzi o barszcz, obrus jest ręcznie haftowany przez jedną wielką artystkę.

– Mają państwo małe dzieci? – Tomasz zadał to pytanie bezwiednie.

– Ależ skąd, ale mogłyby przyjść i co wtedy? No i dorosłemu też się zdarzy. Proszę, proszę, barszczyk jest gorący – zachęciła – wigilijny, doskonały pod wódeczkę!

– Nie przyszlśmy tu w gości – uciał. – Chcemy wiedzieć, co z tą Lalina. Twierdził pan, że była tam w nocy? – zwrócił się do Karola.

– Mamo? – powiedział nieco rozkazującym tonem, jakby chciał ją zmusić do zeznań.

– Ale Lalina nie mogła go zabić! Ona go znała! To był jej klient!

– Nie interesuje nas, czy mogła, a właściwie nawet interesuje, ale wolałbym sam zdecydować, co i jak. Proszę mówić.

– Nie mam nic do powiedzenia – odburknęła. – Zaraz wyjdzie, że na nią doniosłam, ona jest wspañiałym człowiekiem! Nie jestem donosicielką! To nieeleganckie.

– Jasne – mruknęła Miłka.

– No bo jest nieeleganckie! – odburknęła Zenobia.

– Mamo?! – Tym razem Karol był bardziej zdecydowany, jakby miał na matkę jakiegoś haka.

– No dobrze. Była w kuchni. No, była i co z tego?!

– Skąd się tam wzięła? Została zaproszona na tę imprezę?

– Nie, bo twoja matka jej nie znosi. Chciałam, ale się uparła – westchnęła, zła na matkę Miłki – a to takie eleganckie towarzystwo. Najpierw to myślałam, że się twoja matka ugięła, ale nie, zobaczyłam tylko, jak Lalina idzie do kuchni, poszłam za nią i wtedy ktoś mnie zamknął w chłodni.

– Ale dlaczego pani tam weszła?

– Bo wydawało mi się, że ona tam jest. Chciałam z nią porozmawiać, przeprosić, że jej nie zaprosiłam, chciałam... No bo ona ma takie wspaniałe działania duchowe, tak potrafi pięknie pokazać świat, dobro, tak duchowo pobudzić.

– Jak?

– Niech pan nie pyta i tak pan nie zrozumie, takie rzeczy rozumieją tylko ludzie z piękną duszą, a nie policjanci!

Dusze policjantów bywają pewnie różne, ale oni sami obrażają się dokładnie tak samo jak ludzie o duszach zwykłych śmiertelników. Niestety jednak policjanci, z pięknymi duszami czy nawet bez nich, wiele mogą. Karol przeprosił za matkę. Miłka się skrzywiła.

Tomasz chwilowo puścił sprawę mimo uszu.

– Pytając „jak”, miałem na myśli, jak miała być zaproszona, skoro ona sama w swoim ośrodku organizowała z pewnością przyjęcie dla swoich gości. Przecież nie mogłaby wyjść na imprezę i ich zostawić. To nierealne.

– A ma tam teraz gości? – zdziwiła się Miłka.

– O ile mi wiadomo, to raczej tak – stwierdził policjant – odniosłem takie wrażenie, ale nie wiem nic pewnego, to fakt, bo nawet jeżeli miała tylko jednego czy dwóch gości, to tym bardziej nie powinna ich zostawiać. Taki ośrodek musi trzymać pewien poziom, ale chodzi mi też o to, po co ona tam poszła, choć tego to pani pewnie nie wie – to stwierdzenie Zenobię obruszyło, co było wyraźnie widać – i jak ona tam do tej chłodni weszła?

– Jak? Jak? Z latarką, a jak inaczej? – odpowiedziała z wściekłością.

– Nie zapaliła światła?

– A kto wie, gdzie w tym burdelu jest wyłącznik? Bo ja do teraz nie wiem! Ona na pewno też nie wiedziała – wściekła się. Musiała bronić swojej idolki.

I trochę ją tym samym pogrążyła, bo mało kto spaceruje po cudzych chłodniach z latarką. Mało kto w ogóle ma przy sobie latarkę w czasie zwykłego spaceru, toteż Tomasz pomyślał, że musiała przyjść specjalnie.

Miała tam coś do załatwienia.

Może ona wciągnęła martwego człowieka do chłodni? Znała go. Może ona sama go zabiła, a potem zobaczyła nie tam, gdzie powinien być, i postanowiła go ukryć?

– Ale czy wtedy ten facet tam już był? – zapytał dla uściślenia.

– Nie wiem, ja go nie widziałam. W ogóle. Dopiero jak otworzyli drzwi.

– To dlaczego pani wyła?

– Bo święta. Nie rozumiecie? Bałam się, że tam będę siedzieć ze trzy dni, zanim ktoś zajrzy.

– Ale dziwna ta chłodnia. – Tomasz się zastanowił. – Światło nie wpada, żadnych szpar, zasięgu brak, a było słyść wycie? Zresztą to bez znaczenia w tej chwili. Jest pani pewna, że ta kobieta tam była?

– Niestety tak.

*

Julita siedziała na posterunku, bo tu miała lepszy dostęp do sieci. Sprawdziała wszystko. Wróża Merlina na początek. Wysłuchiwała kilkunastu filmików na YouTube, gdzie na żywo wróżył ludziom, którzy w komentarzach, a czasami w prywatnych wiadomościach, zadawali mu pytania.

Był to ten sam przekaz, który jakiś czas temu święcił triumfy na jednym z kanałów telewizyjnych. Czy równie intrygantny, tego nie dało się sprawdzić, ale zainteresowanie wróżem i jego przepowiedniami było naprawdę spore. Ludzie pytali o wszystko, nawet o to, jak zwalczać wszy u niemowlaka, co Julitę zniesmaczyło. Pytali też, czy w leszyńskim lesie są grzyby, co było dziwne, bo filmik był z lutego, a Merlin w Leszynie nie mieszkał.

Odpowiedź na to pytanie też wydała się wszystkim niezrozumiała, bo Merlin stwierdził, że najlepsze grzyby są na placu Pigalle.

Co ciekawe, pytania o grzyby pojawiały się dość często, ale jeszcze częściej pytano o wrzody oraz o zapobieganie niepożądaney ciąży.

To Julitę bardzo dziwiło, bo po co mówić, że niepożądaney, skoro pożądaney nikt nie pragnie zapobiegać?

Jego wróżby były naprawdę kuriozalne.

Czasami wróżył z kart, czasami z kryształowej kuli, a raz nawet z fusów herbacianych, niby nic szczególnego, wielu tak robi, ale jemu dodatkowo ludzie przysyłali różne przedmioty, żeby z nich wróżył. Pani Jowita z Goleniowa przysłała majteczki, pan Arnold z Rawy Mazowieckiej patyczki do uszu, a pani Karolina ze Wschowy właśnie herbatę, a dokładniej fusy herbaciane, i choć to była wyschnięta, zużyta herbata w saszetkach, wróżył z niej.

Jego wróżby nie stanowiły jakichś specjalnie mistycznych wyczynów, ale ludzie byli chyba zadowoleni, bo wracali, często pojawiały się podobne nicki, a i sam mistrz witał niektórych jak swoich dobrych znajomych.

Julita zastanawiała się, czy nie powinna jakoś tych ludzi odszukać i przesłuchać.

Miała pomysł, ale nie miała zamiaru dzielić się tym pomysłem z Tomaszem, nie że się nie lubili, nie byli jakoś specjalnie skłócenii, ale on był facetem i wszystko przychodziło mu o wiele łatwiej, a ona była kobietą i ciągle miała pod górkę.

I już nie o to chodziło, że on żarł co popadnie i nie tył, ale o to, że nikt go nie oceniał z powodu tuszy czy wyglądu, a ją wszyscy, no i przełożeni go faworyzowali.

Sprawdziła też wszystko, co dotyczyło ośrodka. Nie było tego dużo, ale dowiedziała się, że jest to elegancki dom opieki terapeutycznej, a może raczej terapii opiekuńczej, a właściwie terapii eksperymentalnej. Niektórzy twierdzili, że de facto jest to bardziej dom pracy twórczej niż opieki, ale opiekę oferuje taką, że kosztuje koszmarnie krocie. Cena na stronie internetowej nie podawano, ale napisała tam, podając się za polską Amerykankę, która ma problemy z rytyfobią i chce się u nich podleczyć. Zmarszczek nie miała, ale miała prawo się ich bać.

Ceny zwały ją z nóg, tygodniowy pobyt kosztował tyle, ile roczny wynajem mieszkania. W Warszawie.

Julita zawyrokowała, że to zdecydowanie dużo. Za dużo jak na Leszynie.

Miasto niewielkie, ładne, klimatyczne, a nawet pięknie położone, ale zdecydowanie nie ze złota i diamentów.

Julita pomyślała, że to może być to.

To, czyli coś.

Bo jakieś coś, nawet zwykłe cokolwiek, co dałoby jej się odkryć bez pomocy czy współpracy z Tomaszem, mogło jej pomóc przebić się przez szklany sufit. Owszem, była dopiero posterunkową, owszem, wiedziała, że zanim awansuje, będzie musiała swoje odbębnić, ale chciała przygotować sobie coś w rodzaju wejścia smoka.

Jak cudnie by to wyglądało. Posterunkowa zdystansowała młodszego aspiranta Tomasza Zatorka, sama rozwiązując sprawę. Oczywiście nikt by tak nie powiedział, bo tak się nie robi, ale przynajmniej każdy by wiedział.

Szefowie popatrzyliby na nią z większą uwagą i przychylnością.

I to chyba przeważało szalę.

Postanowiła przyjrzeć się ośrodkowi z zewnątrz. Nieco nieoficjalnie. Bez zgód, pozwoleń i innych takich dupereli jak nakazy. Wejdzie, pokręci się po terenie, a jak ktoś ją zaczepi, to przecież będzie wiedział, kim jest, więc się czepiać nie będzie. W razie czego powie, że penetruje teren w celu ochrony przed groźnym mordercą.

Zastanawiała się też, w czym pójść. Mundur odpadał. Wszelkie wyjściowe babskie ciuchy tak samo. Miała ochotę przebrać się za mikołaja, ale było na to trochę za późno.

W końcu zrezygnowała z przebrania. Oczywiście nago nie poszła, ale to, co na siebie włożyła, upodabniało ją do zwykłego dresa. Takich nikt się nie czepia.

*

Natura leśnego diabła sprawiła, że o ludzkich świątach słyszał niewiele, jemu kojarzyły się z wycinką drzew iglastych, kłusownictwem i ludźmi spadającymi z wysokich drzew, z których obrywali jemiółę.

Nic więcej właściwie do niego nie docierało. Oczywiście świąt nie lubił, było to w nim głęboko zakorzenione, dlatego z wdzięcznością przyjął nocleg.

Trzech towarzyszy z celi też jakoś przypadło mu do gustu. Lubił takich dużych, wytatuowanych, bo z takimi można się było bić. A i oni chyba to lubili, bo natychmiast go otoczyli.

– Hej, ty – zagadnął łysy z wydzieranymi ramionami – masz jakiś problem?

Diabeł zastanowił się poważnie i odpowiedział bez specjalnego krygowania się:

– Miło, że pytasz, tak! Szukam żony!

Niuanse językowe nie są zdecydowanie domeną diabelskich trosk i rozważań, z ludźmi też bywa różnie, a interpretacja często zależy od tego, jak bardzo paranoiczny umysł ma pod czaszką rozmówca albo czy w ogóle go ma.

Ten usiłował chyba myśleć mięśniami. Wysilek intelektualny wypełził mu na twarz czerwoną plamą.

Łysy zakrzuszył się, poczerwieniał i wyskoczył do diabła z pięściami.

– Ja, żoną?! Bydlaku? Twoją?

Wielka pięść pchnięta mocnym ciosem wystrzeliła w kierunku szczęki diabła, ale wylądowała na ścianie. Jej właściciel (pięści, nie ściany) zaskowyczał z bólu.

– Po chamsku? Mnie? Załatwić? – wrzasnął, jakby bardzo się obraził, że diabeł nie dał się skatować. No i w sumie miał rację. W jego środowisku oczekiwano od ofiar, że będą ofiarami, każda forma samoobrony czy ataku była uznawana za obrazę majestatu.

Obraza w takim środowisku rozprzestrzenia się bardzo gwałtownie. W chwilę potem trzech mocno obrażonych osiłków leżało na ziemi i żałośnie jęczało.

To, że diabeł nie bił kobiet, nie znaczyło, że nie umiał reagować na agresję. No i bądź co bądź był diabłem, a diabły są szybkie, przebiegłe i silne. Może nieco niedostosowane społecznie, ale cóż chcieć, społeczeństwo za diabłami nie przepada.

Pośród jęków doszło do zmiany układu sił. Łysy przestał się liczyć, dwaj pozostali woleli nie mieć w diable wroga.

Jeden z nich poczęstował go wyciągniętym ze slipek papierosem.

– Specjalny – powiedział z dumą.

I miał rację.

Płonące oczy przemieszczające się w szalonym pędzie pomiędzy ścianami celi zrobiły na tam obecnych niesamowite wrażenie, dzikie wycie przeraziło ich, trzask łamanych sprzętów i chłupot wody w kibelku oraz rozwalające się ściany nie zatrzymały nikogo ani na chwilę.

Diabeł znów był bez dachu nad głową i bez żony.

Wrócił do lasu.

*

Tomasz wracał do domu babci Miłki zamyślony. Wiedział, że musi przesłuchać Lalinę jeszcze raz. Teraz na zupełnie inną okoliczność, wtedy była tylko osobą, która mogła znać denata, teraz mogła być na miejscu zbrodni, choć raczej na miejscu ukrycia zwłok. Z jednej strony to był jak na ten dzień bardzo zły pomysł, z drugiej dobry. Przesłuchanie? W święta? Koszmar i awans, obie możliwości mogły zostać wzięte pod uwagę, awans, bo uczciwie pracuje, a nawet ponad miarę, i to w święta, nie oszczędza się i w ogóle, ale też koszmar, bo nachodzi ludzi, ważnych ludzi w święta, i to religijne, to może podchodzić pod obrazę uczuć, moralności i w ogóle. Zależy, co kto sobie wybierze.

Dodatkowo był to pomysł zły, bo nikt, nawet warszawska policja, nie przesłuchuje ludzi w pierwszy dzień świąt wieczorem, niby bezsens, jednak tak jakby było to takie nieoficjalne, takie trochę rozpoznawczo-zapoznawcze, takie na zasadzie „może zechciałaby pani”, bo przecież reakcja na takie postawienie sprawy też o czymś świadczy. Dobrowolność całkowicie gwarantowana, ale gdyby jej zabrakło, z pewnością by to sobie zanotował. Dodatkowo z kolejnej jakby strony Julita nie odbierała, a z sześćdziesiątej trzeciej (też oczywiście strony, o ile taka istnieje w życiu, gdzieś poza książkami), chciał tam pojechać z Miłką, ale tylko z nią, jako niby nie z partnerką, a raczej dziewczyną, koleżanką, może kimś w tym stylu (no z partnerką możliwe, że też, ale nie policyjną, uważał, że partnerstwo jest w porządku), co nadawałoby wizycie trochę prywatności i luzu, ponadto był to moment, kiedy w ośrodku wszyscy siedzą przy stole i ci, którzy swoją obecność ogłaszają w internecie (patrzcie, gdzie jadę, zazdroście, bo mnie stać), i ci, którzy pragną spokoju, bo spokój jest bardzo w porządku, ale jeść każdy musi, a gościć się w święta lubi każdy, więc lepiej w takim miejscu niż w domu, zwłaszcza kiedy jest się singlem na przykład.

Może udałoby mu się zorientować, ile tam osób teraz przebywa i kto to jest? I kto był poprzedniego dnia? Kto może w pośpiechu wyjechał? Kto był czymś przerażony...

Oczywiście musiałyby zostawić te wieści dla siebie, ale to byłoby już coś, żeby nie było tak, że poczeka ze dwa dni na nakaz, a potem okaże się, że wszyscy wyjechali, bo przecież mogli.

Niestety, taka nieoficjalna wizyta też mogła trochę mu przeszkodzić w śledztwie, bo ludzie zorientują się, że ktoś węższy, uciekną tym szybciej i tym bardziej (a może nawet i dalej), ale może się udać.

Mówi się, że błędów nie popełnia tylko ten, kto nic nie robi, ale ta mądrość z Facebooka też nie jest prawdą, jak wszystko, co tam głoszą tkliwi adepci życia usłanego cytatami z Coelho. Nierobienie niczego też bywa błędem.

Zahamował z chłupotem. Owszem, stawiał na pisk opon, ale chłupot blocka nie dał mu szans na efekty specjalne.

– Miłka, jedziesz ze mną do wariatkowa – oświadczył, nie spodziewając się odmowy.

– Nie, no, do tego w lesie? Do tej willi? Serio?

– Jak najbardziej.

– To wcale nie jest wariatkowo, w każdym razie nie całkiem, co ty? Wiesz, jakich ludzi czasami tam widać?

– Nie wiem, skąd mam wiedzieć, ani razu tam nie byłem, a posterunek z drugiej strony miasta. Nikt nikogo z naszych jeszcze tam nie wzywał.

– Kurczę, pisarze tam przyjeżdżają, piosenkarze jacyś, no sławy.

– To dlaczego to się nazywa wariatkowo?

– Wcale się nie nazywa. To jest zupełnie coś innego, ludzie oczywiście wiedzą swoje, ale to bardziej taki luksusowy kurort.

– Ale tutaj?

To pytanie padło jakoś tak od niechcienia i rzeczywiście nagle się jakoś zmaterializowało.

Ludzie pewne rzeczy przyjmują za naturalne, dopiero kiedy się zastanowią, to nagle dociera do nich, że Leszyna nie nazywa się Leszyn-Zdrój, że nie leży w górach ani nad morzem, że jedyne jeziorko śmierdzi, las jest niebezpieczny, a w okolicy naprawdę nie ma niczego ani ciekawego, ani eleganckiego.

Jakim więc cudem kurort? Tutaj?

*

– Ty tam pracowałaś? – Babcia Miłki nie za bardzo była zachwycona towarzystwem, i to znieczulonym towarzystwem Donaty, ale nie miała wyboru. Były tylko we dwie, o czymś trzeba było rozmawiać.

Donata to nie był ten rodzaj człowieka, z którym można interesująco pomilczeć.

– No. Pracowałam. Asystentką byłam, szefowej.

– Ty mi nie kłam. – Babcia Miłki popatrzyła na Donatę świdrującym wzrokiem. Znała się na ludziach. Może na tych młodych nieco mniej, ale jednak swoje wiedziała.

– Nie kłamie, byłam asystentką, szefowej... kuchni! – odburknęła Donata zdecydowanym głosem.

I teraz właściwie wszystko stało się jasne.

– Bo ty mi jakaś taka śliska się wydajesz! – Babcia nie stosowała taryfy ulgowej.

– Że jestem tą gadziną? Co to teraz są z kosmosu? Tacy jacy repatrianie czy coś?

– Nie gadziną, tylko kłamczuchą.

– Też mi nowina. Co pani nie powie? – znów burknęła Donata. – Kłamstwo? No bo też wszyscy zaraz mówią prawdę, nie? Że tacy niby wszyscy w porządku po dzieciątku?

– Po jakim, do cholery, dzieciątku?

– No bo teraz każdy kłamie. To dlaczego ja nie mam? Co to? Prawda taka ważna, a pokaże mi pani, gdzie ona jest? W telewizji? W internecie? Czy może w reklamach?

– No ale uczciwy człowiek...

– O, co to, to nie! Nie mam zamiaru być uczciwym człowiekiem, tylko bogatą kobietą! – obruszyła się szczerze. – Dlatego robię wokół siebie odpowiednią reklamę i wcale nie kłamie. Po co mam mówić, że byłam podkuchenną, skoro asystentka szefowej to to samo? A ludzie od razu inaczej patrzą.

– A ci twoi mężowie? – Babcia ruszyła do celu bez uprzedzenia. Temat ją ciekawił, nie miała zamiaru owijać w bawełnę, nie liczyła, co prawda, że dużo się dowie, ale nie zaszkodziło spróbować.

– Też takie jakby coś.

– Kłamstwo?

– Fotoszopizacja rzeczywistości. O! No trochę może bardziej jakby... – zawahała się. – Bo widzi pani, mężczyźni lubią niebezpieczeństwo, a kobieta, której trzech mężów umarło na zawał, to jaka jest? Bezpieczna?

– No nie wiem...

– A właśnie! Niebezpieczna i seksowna. Przecież od seksu na pewno umarli, każdy tak pomyśli, zawał to zawsze od seksu. Nie że jakaś gruźlica czy inne coś, zawał. I od razu inaczej patrzą.

– Jak na krwawą wdowę?

– Nie! Jak na seksowną i wyuzdaną, taką, co to potrafi faceta zajechać na śmierć. Każdy takiej pragnie.

– Chcą umrzeć?

– Chcą zostać zajechni na śmierć, a to nie to samo. – Zamilkła na chwilę, po czym dodała: – Oni wierzą, że dadzą radę! Że oni są nie do zajechnia, oczywiście tylko w tych sprawach. To ich pociąga, to marzenie, wyzwanie i w ogóle. Faceci pragną takich kobiet i tylko to działa, bo widzi pani – poklepała się po tyłku – ja to wszystko sobie zrobiłam: cycki, dupkę, ryjek, wszystko, ale efektów tak za bardzo nie było, a jak tylko puściłam plotkę o tym mężu pierwszym, to od razu miałam takie propozycje, że ho, ho! Normalnie to w Messengerze miałam najwyżej trzy penisy na dzień, a tak to i trzydzieści dziennie się trafiło! No to dołożyłam jeszcze dwóch i co? I prawie wyszłam za mąż!

Liczba penisów w Messengerze jako wyznacznik kobiecej atrakcyjności nie mieścił się w głowie babci, ale ona w ogóle nie widziała sensu w wysyłaniu penisów. Oczywiście także i dlatego, że w jej czasach penisów nikt nie wysyłał. W ogóle. Ani w listach, ani w paczkach. Penisy były kiedyś sprawą dość intymną, ale, jak wiadomo, czasy się zmieniają.

Fotoszopizacja rzeczywistości też wydała się babci dziwna.

– No ale słuchaj, ludzie będą o tobie źle mówić.

Tu Donata popatrzyła na nią jak na kogoś niespełna rozumu.

– Ludzie? Nie, kobiety! Kobiety pewnie z zazdrości będą o mnie źle mówić, ale same kobiety, a kobiety to nie ludzie! Za to faceci będą mnie pożądać. Tylko to się liczy. Zazdrość bab i zachwyty facetów. Tego chcę!

– Ty to chyba normalna nie jesteś. – Babcia aż westchnęła. Donata popatrzyła na nią ze złością.

– A pani to mogłaby nawet żyć bez internetu jak jakaś ameba – rzuciła z taką furią, jakby życie bez internetu było czymś w rodzaju zbrodni albo choć paskudnego zbroczenia.

Babcia zamilkła, bo uważała się za człowieka, a nie amebę, i była bardzo zdecydowana kobietą, ale nie chciała wchodzić w tak filozoficzną dyskusję z kimś takim jak Donata.

– A tam on był, ten twój? W tym kurorcie?

– No musiał, bo przecież gdzieś nocował. No bo nie u mnie, ja to tradycję lubię, nie wolno panny młodej w sukni ślubnej oglądać. Wiadomo.

– A nagą?

– A nagą wolno! I czego się pani czepiasz? No czego? Nie mogłam go do siebie wziąć, jak by to wyglądało?! Matka, ojciec, brat, wszyscy na kupie. W jednym mieszkaniu! Jak by to wyglądało? Wstyd jak nic, ledwie pięćdziesiąt metrów, gdzie ja bym go pomieściła?

Pomysł Donaty, że Merlin wynajął pokój w kurorcie, żeby przygotować się jakoś do ślubu, nie był wcale taki nielogiczny. Oczywiście w mieście było kilka hoteli i pensjonatów, toteż mógł znaleźć sobie i wynająć na kilka dni inny pokój, ale zazwyczaj jak ktoś już zna jakieś miejsce, a on ten leśny kurort znał, i to dobrze, korzysta z takiego właśnie znanego miejsca.

*

Arleta Pacholek robiła bilans zysków i strat. Nie był to idealny moment na takie bilanse, bo w święta raczej tego typu rzeczy się nie robi, ale ona lubiła liczyć, a szczególnie lubiła wtedy, kiedy wiedziała, że po stronie zysków będzie miała sporo plusów.

No bo zyski musiały być.

Wesele się nie odbyło, a więc strata. Właściwie powinna oddać zadatek, do tego zmarnują się przygotowania, kwiaty i jedzenie, ale wesele nie odbyło się z winy narzeczonego, bo to on dał się zamordować, więc nie zamierzała niczego zwracać. Kwiaty natychmiast odesłała i częściowo uzyskała zwrot, choć częściowo musiała zapłacić, ale i tak mniej, niż się spodziewała. Jedzenie zostało w chłodniach i nie było z tym problemu, rozkruszone bułki zawiozła dla kur w ośrodku, bo w tym eleganckim miejscu zaczęto hodować kury, gdyż ostatnio okazało się, że księżna Sussexu też hoduje kury, i nagle taka hodowla stała się modna, a nawet elegancka.

Oczywiście kury też były eleganckie, takie bardziej ozdobne, co nie przeszkadzało im być kurami. Srały, gdakały, znosiły bynajmniej nie ozdobne jajka, a po tym, jak je tam hołubiono, powinny znosić co najmniej pisanki.

Rozbite talerze zapisała po stronie strat, ale natychmiast postanowiła kazać za nie zapłacić Donacie, bo jak się okazało, to ona je potłukła.

Kelnerkom nie musiała płacić, kucharkom też nie, czysty zysk.

Był tylko jeden kłopot.

W chłodni miała zapas cholernie drogiego kawioru.

Postanowiła, że pójdzie się dogadać z Lalina, ponieważ to był jej kawior, jej i dla niej sprowadzony, ale wpisany w koszty wesela tak, że nikt nie zauważył, bo cena w podziale na talerzyki jakoś zgrabnie ukryła ten luksus.

Teraz Lalina powinna go zabrać i sprzedać o wiele drożej, jako dodatek do ekstremalnie ekstremalnych dań, a wtedy różnicą będą się mogły podzielić.

To samo było z kilkoma innymi produktami.

Robiły tak od dawna i Arleta nie rozumiała właściwie, dlaczego to robią, ale jej się to opłacało.

Niby że ona kupowała taniej, Lalina sprzedawała drożej? Dlaczego Lalina sama nie mogła kupować taniej z tego samego źródła, z którego kupowała Arleta? Nie wiadomo.

Popakowane w puszki i pudełka luksusowe produkty na półkach trochę ją martwiły, bo przecież policja z pewnością zrobi przeszukanie i co prawda nie było nic nielegalnego w posiadaniu tego typu produktów, ale gdyby ktoś się przyjrzał i im, i księgom, i zapotrzebowaniom, i takim różnym, wyszłoby, że ich tam nie ma, a były. I to też niby żaden problem, bo policja takimi sprawami się nie za bardzo interesuje przy morderstwie, dopiero przy przekrętach to

bada, ale jak im przyjdzie do głowy, że to ma coś wspólnego z morderstwem? W takim układzie, że w chłodni, że ktoś chciał ukraść, ktoś inny z tego powodu go zabił?

Albo że przekręt spowodował morderstwo?

Ludzie nie zdają sobie sprawy, że mordowanie innych ludzi wcale nie jest czynnością podstawową czy jakąś najważniejszą. Jest tylko efektem wściekłości, strachu albo zazdrości.

No, oczywiście czasami też jest koniecznością, i to na wiele różnych sposobów, od głosów, które każą, po szantaż, który trzeba ukarać.

I teraz jeżeli to coś w chłodniach wywołało strach? No nie, bomb tam nie trzymała, ale wściekłość? To już bardziej – że ona ma, a ktoś nie. Albo zazdrość. Też możliwe, tylko że wtedy ofiarą powinna być ona sama, a mordercą ten facet, którego znaleziono zamordowanego.

Nic się nie kleiło.

Postanowiła iść do ośrodka i rozmówić się z Laliną.

*

Julita odebrała jeszcze telefon od patologa. Sekcja miała się odbyć za dwa dni, bo patolodzy też miewają święta, jak oświadczył jej rozmówca, ale przybliżył jej nieco pierwsze, pobieżne wyniki oględzin.

– Został uduszony – oświadczył pewnym głosem – a wszystkie te inne szramy, ślady, zasinienia to efekty przeniesienia zwłok.

Julita nie mogła zrozumieć, po co faceta rozebrano przed duszeniem, zresztą rozbieranie po duszeniu też było nielogiczne. Chodziło o jakieś szczególne ślady, które mógł zostawić morderca? Przy duszeniu?

Zazwyczaj to morderca się rozbiera po morderstwie, przy ćwiartowaniu zwłok w sumie trudno się nie zachłapać, ale przy duszeniu?

A gdyby tak...

Julita wpadła na pomysł. A gdyby tak Merlin nie był wcale ofiarą, tylko mordercą?

Ta dość nieoczekiwana teoria nieco spiskowa zaświtała jej w głowie dokładnie wtedy, kiedy pomyślała o ćwiartowaniu zwłok.

Bo mogło być tak: Merlin kogoś zamordował, poćwiartował, zachłapał się. Rozebrał się i nagle, w chwili kiedy był nagi, dostał pomieszania zmysłów. Tadam!

Jak z tymi pomieszanymi zmysłami nago powędrował w Wigilię przez ulice miasteczka, które nie było nawet Warszawą, gdzie można się spodziewać prawie wszystkiego? Miasteczka, którego mieszkańcy wzywają policję do sąsiada, który na parapacie swojego okna wysypuje karmę dla gołębi, bo te obsraluchy srają na balkon obok?

Nie chodzi zresztą o same gołębie, chodzi o przyzwoitość! Małe miasteczka o nią dbają. Tu facet z czerwonymi włosami czy kobieta z brodą mogą być widziani albo w telewizji, albo w celi, ale z pewnością nie na ulicy, dlatego ten nagi spacer z pomieszanymi czy też nie zmysłami był bardzo dziwny.

– No i co z tymi zmysłami? Jak one mu się pomieszały? – zapytała koleżanka z posterunku, w tej chwili z domu i z imprezy. Julita zadzwoniła właśnie do niej, żeby się poradzić.

– No wiesz?

– Chodzi o to, że słyszał stopami, a widział dupą? Nie baw się w to, to niemożliwe. Jeszcze ci zrobią koło pióra. Siedź na dupie, nie podskakuj – skwitowała dalekosiężne plany Julity – a już najbardziej to ty tam nie idź.

I to przeważało szalę.

W tym jednym konkretnym momencie jakoś tak nagle Julita zapragnęła porozmawiać z Laliną.

*

Powrót do lasu nie oznaczał oczywiście powrotu do lasu. Choć to też. Diabeł włóczył się alejkami parku, teraz już w ciuchach, które dali mu (nie całkiem dobrowolnie) koledzy z celi. Przyglądał się ozdobom na ryneczku, wiszącym na latarniach stroikom, ludziom chodzącym po mieście, choć nie było ich wielu.

Trafił oczywiście na rynek, gdzie królował rozświetlony plastik i stajenka.

Plastik go nie interesował, ale zwierzęta bardzo.

Była między nimi a diabłem pewna psychiczna łączność, która sprawiała, że na jego widok dostawały prawdziwego szału.

Cielaki, osiołek o nawet sympatycznym pysku, laciata krowa od rolnika z okolic, coś, co wyglądało na konia oraz dwie kozy i owca wyczuły natychmiast jego obecność, zaczęły rżec, ryczeć, kopać, a nawet walić łbami w co popadnie.

– Dziwnie się zachowują te zwierzęta – zauważył ktoś stojący w pobliżu, po czym oberwał kopytem, zwinął się w kłębek, zawył i zgięty wpół z bólu odbiegł od stajenki, zostawiając coś na ziemi.

– Tego tak nie można zostawić! – mruknęła jakaś matka. – Te zwierzęta są wściekłe! Jaki to przykład dla dzieciaków, trzeba wezwać weterynarza, niech je uspokoi!

Dwie kozy, które niekoniecznie były tej samej płci, zaczęły ze zdenerwowania robić coś, co zostało odebrane jako uprawianie seksu.

– Deprawacja! – krzyknęła jedna z babć. – Trzeba wezwać policję!

I choć seks był zdecydowanie kozi, to deprawacja jak najbardziej ludzka.

Diabeł nie wiedział, jak się ma zachować.

*

– A powiedz no mi ty – babcia dalej przepytывała swojego gościa – kto mógł go zabić?

– Nikt! Absolutnie nikt! No, chyba że diabeł.

Choć początkowo stwierdzenie Donaty wpisało się w to, co zazwyczaj mówią bliscy ofiar twierdzący uparcie, że ofiary nie miały wrogów i były ludźmi tak wspaniałymi i dobrymi, że niebo się przed nimi otwierało z zachwytem, to jednak po chwili Donata dodała do niego diabła, co oczywiście babcie zaszokowało.

Diabły zazwyczaj z aniołami nie mają wiele wspólnego, a tu taki cudny, taki dobry, a jednak.

– No, ale dlaczego? – Babcia zadała najgłupsze pytanie świata, bo gdyby ktokolwiek wiedział dlaczego, to już dawno złapano by mordercę.

Donata nie odpowiedziała od razu, jakby albo nie wiedziała, co powiedzieć, albo nie chciała zdradzić jakiejś tajemnicy.

– Bo oni tam diabła mają.

– Dziewucho, kto oni i gdzie mają, i jeszcze jakiego diabła?! Czyś ty zwariowała? Rozumiem, że się ciut upiłaś, bo moja pigwówka jest mocna naprawdę i wchodzi, albo ci coś odwała, ale żeby aż tak?

– Kiedy nie odwała mi wcale. Widziałam. Na własne właścicielkiście czy widziałam.

– Ale co?

– Pani pyta kogo. Diabła widziałam! Znaczą burmistrza, tego Leszyńskiego.

– Kretynka!

– Nie, no co pani, nie kretynka, on rogi miał! I taki jęzor czerwony. No, a Merlin to mówił, że on mu doradza.

Babcia dołała jeszcze po kieliszku pigwówki, która pigwówką była tylko z powodu pigwy, co oczywiste, ale robiono ją nie na wódce, tylko na bimbrze, który babcia Miłki produkowała chętnie, często i w dużych ilościach, ale wyłącznie dla swoich. Miała swoje tajne receptury i trzeba powiedzieć, że robiła świetny bimber i świetnie na nim wychodziła.

– Diabeł mu doradzał?

– Nie, on diabłowi. Poważnie, diabłowi doradzał i dlatego on mógł go zabić.

– Diabłu, nie diabłowi. No ale dlaczego ten diabeł miałby go zabić?

– Bo Merlin poznał jego tajemnice! Diabelskie!

– To dlaczego rozebrał go do naga i zostawił u nas w domu?

– Może macie tu portal do zaświatów?

– Nie świruj, widać wyraźnie, że żadnego portalu nie mamy, bo same faceta telepałyśmy do parku, ledwie dałyśmy radę, ale czy ja dobrze kombinuję? Twierdzisz, że burmistrz go zabił?

– I tak, i nie, bo burmistrz to jest tak jakby diabłem, ale jest też burmistrzem, i ja tak to końca nie wiem, czy on go zabił jako diabeł tylko, czy jako burmistrz też? A pani jak myśli? Co się lepiej oplaca?

– Ale komu?

– No komu, mnie! Mnie oczywiście! Chodzi o to, czy jak napiszę na Facebooku, że mojego narzeczonego zabił burmistrz Leszyna, to dostanę więcej serduszek, czy jak napiszę, że diabeł?

Babcia pomyślała, że Donata mogła zabić swojego niedoszłego męża tylko po to, żeby wzbudzić zainteresowanie sobą i swoją tragedią. Możliwe też, że była zwykłą hieną (nie do końca oczywiście cmentarną), która na wszystkim chciała jakoś skorzystać, a jeżeli na wszystkim, to dlaczego nie na tragedii? Taka śmierć narzeczonego, a właściwie już pana młodego tuż przed ślubem, tragiczna, nagła i naga (a nagość się świetnie sprawdza), była niezwykle nośnym tematem i aż szkoda było jej nie wykorzystać. Zresztą Donata wiedziała doskonale, że bardzo szybko wszyscy zaczną to robić – portale, portaliki, pudełki, srudelki, wszyscy, więc dlaczego nie miałyby to być ona?

W końcu była w prawie. Dlatego po chwili dziewczyna odpowiedziała sama sobie:

– Diabeł będzie lepszy. Zawsze to takie bardziej mityczno-magnetyczne, a przecież Merlin był taki bardziej w tym kierunku uzdolniony.

Może powiedziałyby coś więcej, gdyby nie zadzwonił telefon, i to ten stacjonarny.

– Jesssuu, to jeszcze działa? – Donata popatrzyła na stary, wcale nie stylizowany, po prostu stary, plastikowy aparat telefoniczny. – Pani by się wstydziła, sama sobie pani lat dodaje. Takich rzeczy się nie trzyma, to przedpotop.

– Rzadko dzwoni, ale jakoś nie mam serca się go pozbyć. – Babcia wzruszyła ramionami, nie chciała jej tłumaczyć, że jak wywali ten telefon, to będzie musiała wywalić też stolik, co spowoduje konieczność remontu przedpokoju, a na to nie miała ochoty.

– Komórek nie macie?

– Jasne, że mamy, ale ten jest bardziej klimatyczny.

– No tak, vintage jest teraz coraz bardziej modny. No, ale że w telekomunikacji?

Miała taką minę, jakby spodziewała się, że usłyszy tam-tamy.

Babcia odebrała telefon.

– No cześć – rzuciła znudzonym głosem. – Znów? W tym miesiącu to już trzeci raz. No, ale jak chcesz. No jak gdzie? Nie mówił wam?

Coś zabulgotało w słuchawce, ale Donata nie dała rady usłyszeć ani zrozumieć wypowiedzi.

– No to jak nie wiadomo gdzie, to zwalcie w lesie – powiedziała po chwili dłuższego zastanowienia – może być koło budy. Jasne, w budzie też dobrze albo koło bunkra. – Odłożyła słuchawkę na widelki z wyraźnym westchnieniem.

– Ja pierdolę, węgiel pani przywieźli w święta?

– To? – Wskazała głową na słuchawkę. – Nie, w sumie nawet nie wiem, co przywieźli. To pomyłka, wciąż do nas dzwonią od jakiegoś przewoźnika i pytają, gdzie mają towar zwałać, to im mówię. Początkowo tłumaczyłam, że pomyłka, ale nikt nie chciał słuchać, więc jak pytają, czy mogą zwalić w lesie, to mówię, że mogą zwalić w lesie...

– I nie wie pani, co to?

– A skąd mam wiedzieć? Słuchaj, a może byśmy tak się wybrały do tego kurortu?

– Ale na piechotę? – Donata nie wyglądała na zadowoloną. Z dwóch kobiet to ta młodsza była bardziej niemrawa, przyzwyczajona do luksusów, słabsza i bardziej roszczeniowa. – No i diabeł – dodała po chwili. – On tam może być.

– Diabeł to, powiem ci, może być wszędzie. – Babcia wzruszyła ramionami. – Jest diabłem, wszystko może!

– No to mnie pani pocieszyła – burknęła dziewczyna. – Normalnie jak szlag.

*

O ile większość zainteresowanych nagle zapalała ochotę na wizytę w ośrodku, to zapalała chęcią nieco mniej oficjalną niż ta, którą przejawiał Tomasz.

Tyle że on mógł sobie na taką wizytę pozwolić, wiedział, że może nie zostanie tak na sto procent przyjęty z otwartymi ramionami, ale wiedział, że nikt mu drzwi przed nosem nie zatrzaśnie i nie każe całować klamki.

O ile on chciał wejść, zobaczyć, zorientować się, może z kimś porozmawiać, o tyle reszta, może poza Arletą, chciała tylko pójść i się rozejrzeć.

– Wiesz, przejdziemy się tam – powiedział do Miłki, nie oczekując sprzeciwu, bo nie mieli nic ciekawszego do roboty. Rozmowy kręciły się wokół jednego, czyli morderstwa, ale ponieważ wciąż było za mało danych, to kręciły się jałowo i nic z nich nie wynikało. Żeby ruszyć do przodu, potrzebowali wiedzy, na tym etapie mogło to być cokolwiek,

może nawet kolor majtek denata, tyle że on ich nie miał, ale chodziło o to, że nawet drobiazgi ich kusily i nawet one mogły się przydać. Jednak Miłka nie za bardzo miała ochotę tam jechać. Jakoś ciągnęło ją do domu. Sama nie wiedziała dlaczego, ale odczuwała pewien dyskomfort.

– Babcia tam została z Donatą – odpowiedziała dziewczyna niepewnym tonem – i z bimbrem.

– Są dorosłe – skwitował chłopak, nie przeczuwając, że bimber i dorosłość potrafią się nawzajem niejako anulować.

Fakt, że obie były dorosłe, nie uspokajał Miłki, wczoraj też były dorosłe. Od wczoraj niewiele się zmieniło, a jednak ktoś im podrzucił do domu nagie zwłoki obcego faceta. To budziło jej niepokój, bała się, że podczas jej nieobecności może zdarzyć się jeszcze coś gorszego.

– Co może być gorsze od zwłok obcego faceta? – zapytał Tomasz złośliwie. Po czym sam sobie odpowiedział: – Oczywiście zwłoki znajomej kobiety!

– Przestań mnie denerwować! – Miłka prawie się rozplakała z nerwów, ale po chwili odpuściła.

Skreślił w jedną z dróg obok domu weselnego, minęli dom babci i pojechali trochę dalej w las, bo z tej strony miasta park jakoś się z lasem łączył. Po kilkuset metrach zaparkowali pod ośrodkiem, który był rzęsiście oświetlony, ale nieco mniej bożonarodzeniowy niż cała reszta okolicy.

W tym roku święta nie miały w sobie nic z magicznej bajki, były bure i ponure. Rozejrzeli się po podjeździe i po najbliższej, tonącej w ciemnościach okolicy, bo oświetlony był tylko budynek, a teren już niestety nie.

Zapukali. Nikt nie zareagował. Nie zdziwiło ich to. Budynek był spory. Na drzwiach wisiała jednak kołatka. Bardzo niezwykła.

– Ty tym wal. – Miłka wskazała przyrząd i Tomasz trochę się zaczerwienił. Była to metalowa rzeźba jakiegoś kosmatego stwora z kopytami i rogami, a element ruchomy, czyli to coś, za co należało złapać i czym się tłukło w drzwi, było ni mniej, ni więcej, tylko jego... Tak, to było przyrodzenie. Imponująco wielkie jak na wielkość kołatki.

Ludzie mają dzikie pomysły i chyba ich bawi widok kogoś łapiącego diabła za jaja i tymi jajami walącego w drzwi, ale nie wszystkim sprawia to aż taką przyjemność.

Tym razem pukanie usłyszano.

W drzwiach powitała ich Lalina. Bardzo elegancka i równocześnie bardzo spięta.

– Musicie poczekać i w ogóle, to nie jest dobry moment. Mamy sesję, nie możemy teraz przerwać, ale możecie usiąść i poczęstować się ciastem, zresztą czym chcecie. Nie zajmij mi to dużo czasu.

Nie wiedzieli, co zrobić, postanowili usiąść w salonie.

Był elegancki.

Ciasto na stole było eleganckie.

Wszystko było tak eleganckie, że zwykła Miłka, dziewczyna, która może i skończyła studia wyższe, ale do wyższych sfer nie należała, poczuła się nieswojo.

Policjant tym bardziej.

Życie policjanta obraca się zazwyczaj wokół spraw przyziemnych i mało eleganckich, o ile nie jest policjantem celebrytą. Przeważnie chodzi o jakieś kradzieże, jakieś mordobicia, jakieś morderstwa, które, owszem, w jego sferach są uważane za sprawy wagi o wiele większej niż inne przestępstwa, ale rzadko dotyczą ludzi, którzy odróżniają widelc do przystawki od widelc do obornika.

Teraz patrzył na sztuce. Szesnaście widelców i osiem łyżek koło każdego talerza, do tego noże, nożyki, koziki, łyżeczki, talerzyki, kieliszki i dzbanuszki. Zastanawiał się, jakie szkoły trzeba skończyć, żeby się w tym połapać.

Na ścianach wisiały zdjęcia z autografami.

– Ty, patrz. To Merlin! – Miłka wskazała na ścianę nad oknem.

Tomasz popatrzył.

– O ja pierdole! – wrzasnęło coś basem. W oknie pojawiła się blada postać, która natychmiast zniknęła. Z hukiem.

Huk był tak głośny, że kojarzył się z implozją kineskopu, takiego z lat pięćdziesiątych. Dodatkowo nagłe zniknięcie tego kogoś za oknem sprawiło wrażenie, że zassała go jakaś otchłań.

Co to, do cholery, było?

– Widziałaś to? Co to było? Duch albo jakaś inna cholera? – zapytał, może żeby zażartować, może żeby zorientować się, czy i ona widziała tę dziwną akcję.

– Nie, no co ty, to pewnie jakaś ich terapia, wiesz, jakie potrafią być dziwne, może mają terapię hukiem? – Miłka chyba nie zainteresowała się tym, co działo się za oknem. – Patrz. – Podeszła do ściany i wskazała na zdjęcie. Był na nim Merlin i Leszek Leszyński. – Nasz obecny burmistrz – dodała po chwili.

– On lubi pokazywać się ze sławami – stwierdził Tomasz, bo burmistrza znał, nie prywatnie i nie blisko, ale był w jego otoczeniu służbowo i widział, jakie Leszyński ma parcie na szkło, jak kocha przemawiać, jak chętnie robi sobie zdjęcia z ludźmi postawionymi choć trochę wyżej, a na widok ministra zaczyna się ślinić z zachwytu i jękać z przejęcia.

– Ten Merlin to znowu aż taką sławą nie był.

– W życiu może i nie, ale w internecie jak najbardziej!

Coś zatupotało na zewnątrz. Był to tupot z chłupotem. Ktoś w ciężkich buciorach przebiegł za oknem, krzyząc. Stwierdzenie „w ciężkich buciorach” było trochę dziwne, ale mimo świąt i galowych strojów, ktokolwiek wyszedł na zewnątrz musiał zmienić obuwie na właśnie takie, ciężkie buciory, bo inaczej byłby upapwany po kostki w błocie.

– Diabeł! Diabeł, diabeł! – usłyszeli wkrótce.

Patrzyli to za ono, to przez drzwi wychodzące na korytarz.

Przez hol przebiegła Lalina. Miała rozwiane włosy i grozę na twarzy.

– Pani Lalino, co tam się dzieje? – zainteresował się Tomasz bardzo profesjonalnie.

– A nie, nic – odpowiedziała i była to taka odpowiedź, jakiej można by się spodziewać od kogoś, komu właśnie coś urwało głowę, a on uparcie nie chce tego zauważyć.

– Ale proszę powiedzieć prawdę, co tam się dzieje? – ponowił pytanie grzecznym, ale zdecydowanym tonem.

– Nic, zupełnie nic się nie dzieje! Nie rozumie pan? Nic! – krzyknęła piskliwym głosem, zabarwionym histerią, pokazując tym samym, że coś jednak jest na rzeczy.

*

Babcia i Donata weszły na teren ośrodka tyłem, jak najbardziej chwiejnym krokiem. Nie, nie chodziło o to, że szły tyłem, tego by w tym stanie upojenia nie były w stanie dokonać, po prostu zamiast wejść przez bramę, postanowiły wejść przez ogrodzenie z tyłu posesji. Miało to pewne znaczenie, babcia obawiała się, że jak wejdą od przodu, przez bramę, to zapytane, co tu robią, nie będą mogły odpowiedzieć, że się rozglądają. No i Donata tam kiedyś pracowała, więc jej obecność przy bramie byłaby dziwna.

O tym, że każda obecność z tyłu posesji, przed, za, nad czy pod ogrodzeniem będzie równie dziwna, a może nawet o wiele gorzej odebrana, nie pomyślały.

Nie miały złodziejskiej natury, nie analizowały tego w ten typowy dla niektórych sposób.

Zresztą ludzie po alkoholu rzadko myślą. Ludzie po pigwówce babci Miłki zapominali języka w bucie i numeru PIN do miejskiej toalety, nie mówiąc już o numerze konta do pracy licencjackiej własnego dziadka.

Wszystko im się mieszało, myliło i kotłowało.

Teren nie był ogrodzony w tradycyjny sposób, dlatego przez eleganckie, powyginane przesła można było przejść, jeżeli oczywiście człowiek się odrobinę postarał i był trzeźwy.

To drugie było zdecydowanie konieczne, wręcz, jak się okazało, nieodzowne.

Przesła były eleganckie, ozdobne i bezsensowne, ale każdy, kto na nie patrzył, mówił z zachwytem:

– Nie, no, wspaniale... zaproszenie dla złodzieja!

Były robione na zamówienie, stylizowane na secesję, i nie służyły do odgradzania posesji, ale raczej do pokazania, że jest odgradzona.

Żeby przejść, trzeba było się nieco pogimnastykować.

Ktoś, kto kiedykolwiek usiłował uprawiać jogę po alkoholu, zazwyczaj zapętlął się w jakiejś nawet niezbyt skomplikowanej pozycji na godzinę czy dwie, po pigwówce babci Miłki zapętlenie mogło trwać i sześć godzin, ale kto uprawia jogę po pijaku?

Niestety, Donata spróbowała, bo pomyślała, że to pomoże jej się przedostać na drugą stronę. Głowa dziewczyny utknęła w zawijasie secesyjnego liścia, pozostawiając resztę Donaty poza ośrodkiem. Trzeba było ją wyplątać, babcia się przedarła, może dlatego że miała mniejszy biust. No i Donata obawiała się uszkodzić sobie implanty, więc wolała nie szarżować.

– Moja głowa... Implanty... o Boże! – jęknęła, utknąwszy szczerze przerażona, co nie umknęło uwadze starszej pani.

– W głowie też masz implanty? – zdziwiła się babcia. – O to bym cię nie podejrzewała.

– Bo nie mam. W głowie sobie nie będę grzebać, nie zamierzam przesadzać z inteligencją, jest przereklamowana, o cyci mi chodzi!

Babcia pomyślała, że Donata rzeczywiście nie przesadza z inteligencją. Postanowiła ją zostawić w półsiadzie z głową z jednej, odwołkiem z drugiej strony ogrodzenia i iść po pomoc. Nie wiedziała ani po jaką, ani co w ogóle w tej sytuacji by pomogło, ale wydawało jej się, że mógłby to być smalec.

Nagle obie zobaczyły, jak ktoś przedziera się przez krzaki koło budynku. Podchodzi do zabudowań, a po chwili znika z wrzaskiem, jakby zapadł się pod ziemię.

– O ja pierdole! – wrzasnęło coś basem. Potem usłyszały huk.

Z drugiej strony zobaczyły jeszcze kogoś, kto chyba szedł do drzwi wejściowych, ale nagle stanął i wrzasnął:

– Diabeł! Diabeł, diabeł!

– To musiała być Kaśka Skwarków – wyjaśniła Donata. – Ona zawsze tak. Wszędzie widzi diabły.

– Ale kim ona jest?

Donata chciała chyba wrzucić ramionami, ale jej się to nie udało, zawijas w tym przeszkodził, ale szyja wysunęła się nieco z metalowego ślimaka i Donata padła twarzą w błoto oraz w podmurówkę.

Ciemność nie pozwalała na zorientowanie się w kolorystyce okolicy, śnieg, którego resztki pozostały jeszcze po poprzednich opadach, był bury, ale w niektórych miejscach, gdzie nikt go nie zdeptał, jak na podmurówce przęśla, był trochę bardziej puszysty i biały.

Teraz zrobił się czerwony.

– O kutfa – wyseplenila Donata i wypluła ząb. – Niech pani idzie po kogoś! Tseba mnie, tfuj, ratować!

– Może po tę Kaśkę pójde? – zaproponowała babcia, nie wiedząc zupełnie, kto mógłby jej pomóc.

Trochę pijanym truchtem pobiegła w kierunku wejścia do ośrodka. Prawie od razu wpadła na kurę, poślizgnęła się na niej, upadła, wstała i pobiegła dalej. To znaczy obie pobiegły dalej, bo kura też jakoś wstała. Po chwili babcia znów wpadła na drugą leżącą na ziemi kurę. Może zresztą był to kogut. Babcia padła, kogut wstał.

– Co one, do cholery? Padły, a teraz zmartwychwstają? – jęknęła poobijana babcia, która ochoczo korzystała z tego, że jako wstawiona (żeby nie powiedzieć pijana) naprawdę padała bez większych obrażeń i choć wstawiała z trudem, to jednak była cała.

W miarę posuwania się do przodu wpadała na kolejne ciała kur. Padłych czy śpiących, a ptaki wyglądały naprawdę na padłe, ale tylko chwilowo.

Przebiegła jeszcze dwa kroki, wpadła na kurę, zaryła twarzą w blokcu, zakłęła.

– O szlag. – Podniosła się, złapała ptaka, rzuciła nim w powietrze, a ten, początkowo bezwładny, jakby się przebudził, zagadał i poleciał gdzieś w kierunku zabudowań, po czym padł znów tam tak, jak stał. – Jakies pierdolnięte te kury – westchnęła babcia. – Co one wyprawiają?!

Nieco dalej Donata nagle poczuła, że coś ciężkiego i twardego przygniata jej tyłek do ziemi.

– Aaaaaa, moje implanty! – wrzasnęła, nie spodziewając się takich atrakcji. Ciężki but stanął na jej tyłku, po czym odbił się od niego. Ktoś wylądował po drugiej stronie przęśla. Nie mogła podnieść głowy, żeby zobaczyć, kto to był.

– Ratuunkuuu – jęknęła Donata, licząc, że ten ktoś, jak już się nią tak beczelnie posłużył, to może jej też pomoże.

– Ale maszkaron! No ja pierdole, żeby kamienie wrzeszczały?! – powiedziało coś dużego i oddaliło się biegiem w kierunku zabudowań, ale nie w kierunku głównego budynku.

– Diabeł! – wrzasnęła Kaśka, widząc skuloną babcie podchodzącą do niej od strony ogrodzenia.

– Kretynka!

– Babciu?! – krzyknęła Miłka. – Co ty tu roooooo... – Nie dokończyła. Wszystko przerwał huk.

Miłka zniknęła. Nie było, co prawda, mgły, świetlistych wrót i oparów, ale wrzask był jak najbardziej. Huk, wrzask, pisk, potem okrucieństwo ciszy i całe mnóstwo jęków.

– Znowu?! – zawołała zrozpaczona Lalina. – Czy to się nigdy nie skończy?!

– Zaświaty się znów zawaliły? Ja normalnie mówiłam, żeby nie brać Kowalskiego, bo to kręt, ale pani i tak wiedziała swoje – odparowała Kaśka. – Diabeeeee! – dodała na wszelki wypadek.

W ziemi ziała dziura.

Nie była pusta, coś się w niej kotłowało. A nawet bulgotało. Jęczało.

Zaświaty otworzyły swoje (prowizoryczne i umieszczone w suficie) wrota, przez które oprócz przypadkowych ludzi wpadało do nich też blokco.

Nie były to jakieś strasznie mistyczne zaświaty. Każdy dom takie ma, każda restauracja, budynek, kuchnia.

Czasami jest to tylko szuflada, w której trzyma się wszystko, co potrzebne, choć niepotrzebne, czasami tajemne miejsca, gdzie buszują tylko karaluchy, czasami szafki z żywnością zapomnianą kilka lat temu, która to żywność już teraz wykształciła osobowość prawną i kulturę kaszosomalcologiczną.

Zazwyczaj są to kanciapy, pawlacze, strychy albo piwnice, miejsca zapomniane. Puste, bure i ponure, nawiedzane jedynie przez myszy i pająki.

Kurort też takie zaświaty posiadał, ale były niezagospodarowane i przeciekały. Kowalski obiecał je naprawić, a Lalina je zagospodarowała.

I jedno, i drugie zrobiło to źle.

Kowalski w kwestii przeciekania, Lalina w kilku innych, też ważnych, kwestiach.

*

Wrzaski z dziury za domem robiły paskudne wrażenie. To, co się działo obok dziury, było nie mniej paskudne.

Po zniknięciu Miłki i chyba kilku innych osób nad dziurą została (ale raczej chwilowo) babcia, wisząca nad przepaścią, uczepiona jakiegoś oślizłego korzenia i wrzeszcząca, żeby ją ratować.

Tomasz i Lalina, która wybiegła z domu, też tam dotarli.

– Zawaliło się – krzyknęła terapeutka. – Przejdźcie się zawaliło!

– Zaraz ja się zawalę! Ra... ra... ratunku – zipsała babcia coraz słabszym głosem, zjeżdżając wraz z blokiem coraz bardziej w dół wraz z kilkoma kurami. Leżały spokojnie, miały zamknięte oczy, od czasu do czasu podrygiwały to jedną, to drugą łapą i powoli sunęły w dół jakby uśpione, gdzieś w połowie tego spadania budziły się, zaczynały wrzeszczeć, ale ich zdolność do używania skrzydeł była bardzo ograniczona, więc po chwili lądowały na dole, na kupie żywych na szczęście ciał, które przy każdym takim lądowaniu zaczynały znów wrzeszczeć.

– Jakie przejście? – zapytał Tomasz, wyobrażając sobie jakieś wrota do innych wymiarów.

– No z domu, tam było przecież wejście, ale coś się zważyło i zablokowało drzwi, nie dostaniemy się tam od dołu, trzeba wyciągać ich górą.

Tomasz zadzwonił po strażaków. Pomóc babci nie był w stanie, bo zwisła już za bardzo, ale położył się na ziemi, żeby podać jej rękę, po czym ze ślizgiem i z obrzydliwym chlupotem razem spadli na dół. No może nie spadli, zjechali.

– O cholera! Żyje pani? – zapytał, widząc, jak babcia rozkojarzona wstaje z Miłki, niby nie powinien był pytać, ale wyglądała na tyle paskudnie, że się jej przestraszył. – A ty, Miłka?

Dziewczyna z trudem usiadła.

Była do czegoś przyklejona.

– Ja chyba tak – mruknęła, jakby wcale nie była tego pewna – ale nie wiem, co z tym tam. – Wskazała na kogoś obok siebie.

To określenie mogło dotyczyć każdego. I tak nie dało się niczego zobaczyć.

Problem w tym, że było ciemno. Oczywiście zaświaty zaopatrzone były (kiedyś) w górne światło i to światło nawet działało, ale wraz z sufitem znalazło się teraz w miejscu, gdzie mogło być już tylko światłem dolnym, o ile by świeciło.

Niestety, nie miało takich możliwości. Jakies kable złowieszczo dyndały to tu, to tam i aż strach było o nich myśleć.

W pomieszczeniu czuć było coś dziwnego, ale zapach błota i nocy jakoś mieszał się z tym innym zapachem na tyle, że nikt nie był go w stanie zidentyfikować.

Z zapachami jest trochę jak ze znajomą ze sklepu mięsnego. Zna się ją, nawet dobrze, ale jej rozpoznawalność jest często ograniczona właśnie do sklepu mięsnego i nie daj Boże zobaczyć ją w księgarni! Widać, że znajoma, widać, że chyba trzeba się uklonić, ale coś jest nie tak.

Tutaj też – pachniało jakby domem, ale też jakby klubem, kościołem, kuchnią i trupem.

I ten ostatni zapach był bardzo przytłaczający.

Tomasz go niestety znał.

Inni twierdzili, że coś śmierdzi jak z zepsutego zamrażalnika. Oczywiście mało kto wacha zepsutego zamrażalnika (z zawartością, bo bez się nie liczy) albo, powiedzmy, trupa, ale i tak każdy mniej więcej wie, czym to pachnie.

– Nie ruszajcie się, nie wstawajcie, czekamy na strażaków, oni nas wyciągną – oświadczył pewnym głosem policjant.

Wolał uniknąć ofiar. No może nie tak, on wolał uniknąć pomnażania ofiar, w końcu przecież nie wiedział, co i w jakim stanie się tam znajduje, nie wiedział, kto jest ranny, czy żyje i czy przeżyje, ale wolał nie pogarszać sprawy.

Ciemność jęczała i, co dziwne, ciamkała. Jak wielki, niekulturalny stwór żrący coś bardzo smakowicie. To znaczy dla niego smakowicie, dla innych głośno, obrzydliwie, jakby trochę obleśnie.

Przypominało to wyczyny wujka Tadka nad sałatką jarzynową przy każdym spotkaniu rodzinnym, poza tym jednym, kiedy przyjechał ze zdrutowaną szczęką i mógł tylko pić. Wtedy też jednak udzielał się akustycznie. Siorbał jak rozregulowana spłuczka sedesowa.

– Co tam się dzieje? – jęknęła babcia. – Ogarnijcie ten armagedon. Donatę trzeba ratować, bo utknęła w ogrodzeniu.

O Donacie nikt teraz nie chciał myśleć, utknęła, ale była przynajmniej na ziemi, a nie pod nią.

Straż nadjechała, tyle że samochód nie mógł podjechać zbyt blisko, bo nie było wiadomo, jak zachowa się dziura i jakie ma możliwości, a nikt nie pragnął, żeby pochłonęła też wóz strażacki.

Podchodząc z daleka, ostrożnie i posługując się wysięgnikiem, skierowano snop mocnego światła z reflektorów na dziurę, a właściwie do jej wnętrza.

Teraz wszyscy się zorientowali, że są w jakimś eleganckim, zdecydowanie zdemolowanym pomieszczeniu, które się chyba zawaliło.

Albo raczej nie, wiedzieli, że są w zawalonym pomieszczeniu, a skoro było zawalone, musiało się zawalić, to nie była żadna wiedza tajemna, zorientowali się jedynie, że pomieszczenie było eleganckie, z naciskiem na było, kiedyś na pewno, bo w tej chwili z całej elegancji zostały dziwne malunki na ścianach i kilka ładnych sprzętów, w większości połamanych albo potłuczonych.

Była tam Kaśka, która teraz usiłowała odwalać kawałki sufitu, który zwałił się, blokując wejście do korytarza, Julita, która dotychczas się nie odzywała i leżała prawie bezwładnie w wielkiej dzieży z ciastem – naprawdę, to coś wyglądało jak napęczniałe, napuchnięte purchlami ciasto drożdżowe, Miłka, która tym ciastem była oblepiona, ale tylko od tyłu, babcia cała w błocku tak, że wyglądała na czarną zjawę, i Tomasz, który ratując babcię, zjechał tak niefortunnie, że z przodu był cały upapranym błotem.

W ogóle było dziwnie. Niby nic, właściwie mogło się zdarzyć, choć to jednak rzadkość, żeby tak nagle zawalały się eleganckie zaświety, zwłaszcza w święta. Niby katastrofy lubią sobie wybierać najdziwniejsze momenty, ale było w tym coś niepokojącego. Po pierwsze było tu w tej chwili pół Leszyna, a wyglądało na to, że nie jest to jakiś specjalnie znany i uczęszczany obiekt.

Pod ścianą siedziała skulona Arleta. Nie wiadomo, czy tam weszła czy wpadła. W tym momencie nie było sensu jej o to pytać.

Dzieża z Julitą od czasu do czasu wydawała bulgot.

No i kury, było ich trzy albo cztery. Zachowywały się tak, jakby były czymś otumanione.

– Julita, co się dzieje?! – Tomasz nie wiedział, jakie pytanie ma zadać, a przecież musiał o coś zapytać, no ale pytanie „Co ty tutaj robisz?” było naprawdę bezsensowne, choć właściwie zasadne.

– Coś złapało mnie za dupę – jęknęła Julita, a jej oczy wylazły z orbit tak, jakby tym czymś było imadło.

– Co?

– No chyba nie wiem... Ręka?

– Tam ktoś jest? W środku? I jeszcze żyje? – Tomasz aż się zapowietrzył.

– Pomóż mi wyleźć, to się przekonasz, zleciałam w to. Z góry! – dodała, jakby w ogóle można było zlecieć z dołu. Albo z boku.

Jednak Julicie chyba chodziło o to, że jej upadek był bardzo gwałtowny.

– Podaj mi rękę...

Tomasz jednak tego nie zrobił. Ręce Julity były całe w cieście. I nie chodziło o obrzydzenie, ale o to, że i tak by mu się wysliznęła.

Pomogli strażacy.

Wtedy spod Julity i przyklejonego do niej ciasta wyłonił się diabeł.

Kaśka oczywiście wrzasnęła.

– O Jezus Maria, no żem mówiła, diabeł, diabeł, diabeł! – pisnęła świdrującym głosem i zaczęła biegać po pomieszczeniu jak kot usiłujący się wspinać po ścianach.

Chyba bardzo chciała uciec.

Podleciała do zawalonych drzwi, potem przebiegła do drugiej ściany, potem znów do drzwi, wrzasnęła ponownie, potknęła się o dzieżę, wleciała głową w ciasto, bulgotnęła bąblem powietrza, wyrwała się z dzieży i zwymiotowała na siedząco na własne nogi.

Nikt nie wiedział, skąd Kaśka się wzięła w tym miejscu. Tomasz pamiętał, że jeszcze chwilę temu była u góry i mówiła coś o zaświetach. Spadła? Ona też?

W świetle reflektorów i blasku księżyca, który wlewał się teraz do pomieszczenia wyjrzawszy zza chmur, zobaczyli leżącego w cieście człowieka z głową diabła.

Na pierwszy rzut oka był martwy. W każdym razie wyglądał na martwego.

O ile istnieją jakieś stopnie martwości, to on był nawet martwiejszy od poprzedniego trupa.

Martwiejszy, sińszy i bardzo, bardzo oblepiony.

– Burmistrz! – wrzasnęła po raz trzeci Kaśka. – Mówiłam, burmistrz. To on.

Diabeł bulgotnął. Bąbel powietrza wydobył się z miejsca, gdzie powinna znajdować się jego twarz.

– Może on jeszcze żyje? – nieśmiało zasugerowała babcia.

– W takim stanie i z takim smrodem? On się już chyba rozłożył. I chyba krew widać. Tak od głowy – zasugerowała Julita, zdejmując z siebie kluchy.

– I co tu robi burmistrz?

– Co robi? Co robi? Do cholery, leży – warknęła spod ściany Arleta, która najwyraźniej zdążyła się jakoś ocknąć.

Nie wyglądała na ranną, ale na koszmarnie załamana. Przygniecioną ciężarem rzeczywistości, wśród której były też odłamki sufitu.

– Ale ktoś go przecież zabił? – Babcia pokiwała głową z niedowierzaniem. – Burmistrza. I kto by chciał?

– Każdy. – Miłka się roześmiała, ale niezbyt radośnie.

– No, jeszcze nam tu polityki trzeba! – Julita zastanowiła się przelotnie, czy to może mieć jakieś znaczenie dla jej ewentualnego awansu. Polityka to nigdy nic dobrego, nawet ta lokalna. Bo to powiesz jedno, zrozumieją drugie, posądzą o trzecie i witaj, drogówko, i żegnaj, awansie, na długie lata.

Bulgot znów się powtórzył.

– Gazy? – zapytał zdziwiony Tomasz. – To ile czasu on tu już leży?

– Aaaaaa – jęknął domniemany burmistrz. – Aaaaaa – dodał zaraz jeszcze bardziej grobowym głosem. Dwa bąble powietrza wydobyły się z ciasta.

– O kurwa! – wrzasnęła Kaśka po raz nie wiadomo już który. – Ja pierdole! Ratunku! – Zaczęła znów skakać po ścianach. Robiła to tak spektakularnie i tak panicznie, że po chwili wylądowała w dzieży, bo był to jednak punkt centralny pomieszczenia, wokół którego, choć w pewnej odległości, tłoczyli się ludzie. Z góry zaczął zjeżdżać jakiś strażak.

Diabeł z dzieży usiadł.

Kaśka zemdląła.

Miłka popatrzyła na diabła.

– No ale burmistrz? Co on tu robi? – zapytała babcia.

– Nic tu nie robi, bo to nie on – powiedział ktoś z tłumku.

Nad dziurą pojawiła się pokrwawiona Donata.

– Kuffa, diabeł! – wysepleniła.

– Nie, żaden diabeł! Burmistrz – odburknęła Arleta. Nadal siedziała pod ścianą. Chyba była otumaniona, bo ścisnęła w rękę jakąś ledwie żywą kurę. – Żeby tylko jajka nie zniosła – powiedziała do siebie.

– Ona nie znosi jajek.

– No to jak je znosi, skoro ich nie znosi?

– Wcale! To kogut! Wyciągnijcie zwłoki z dzieży – pisnęła Miłka. – Trzeba zobaczyć, może burmistrz jeszcze żyje.

– Jasne, że żyje – warknął burmistrz zza zawalonych drzwi, które odrobinę się otworzyły. Strażak, który je odgryzował, pociągnął je do siebie i trochę jakby uchylił.

Siedzące w dzieży zwłoki znów puściły powietrznego bąbla. Tym razem z drugiej strony. Zemdlona Kaśka podebrała się jak po solach trzeźwiących.

I wtedy Miłka aż się zakrzuszyła z wrażenia.

– Karol? – zapytała niepewnym głosem.

– Nie chcę cię nawet pytać, po czym ty go poznałaś – mruknęła babcia. – Bo chyba po zapachu, tfu, smrodzie, ale jak on takie gazy w łóżku puszczał, to współczuję.

Bulgot ciastowatej mumii się wzmógł.

– Bolii – jęknęło spod maski diabła.

Strażak natychmiast podszedł i zdjął ją z twarzy mumii razem z kilkoma kilogramami ciasta drożdżowego.

– Karol! – potwierdziła Miłka, jakby sama sobie zaświadczała, że nie postradała zmysłów. To rzeczywiście był Karol. Oblepiony, ledwie żywy i usmarowany krwią z rozbitej głowy chłopak wodził dookoła nieprzytomnym wzrokiem, jakby nie wiedział, gdzie się znajduje.

– Co ty tu, do cholery, robisz? – zapytała go Miłka, bo uważała, że ma do tego prawo. Poza tym agresja, choć zawsze jest złym pomysłem, i tak pojawia się pierwsza.

– A wy? Co wy robicie w moim pokoju? – zapytał i padł. – Mam zwidy? Tak? – powiedział jeszcze i znów zaczął tonać w dieży pełnej ciasta. Strażacy jednak do tego nie dopuścili.

Jeden złapał za uchylone drzwi, drugi odwalił gruz, trzeci pchnął i tak uszkodzone drzwi, ładne, drewniane, na złotych kutych zawiasach; zamieniły się w stos drzazg, ale dzięki temu można było uwolnić wszystkich, włącznie z niedoszłym nieboszczykiem, który oprócz tego, że był w cieście, ranny i nieprzytomny, to dodatkowo śmierdział.

Straszliwie śmierdział.

Ktokolwiek wąchał skunksa, musiałby przyznać, że Karol cuchnął o wiele gorzej.

*

Pierwsze, pobieżne przesłuchania rozpoczęły się w salonie.

– Nie wiedziałam! Nie wiedziałam, że on tam poszedł. – Lalina się rozpląkała, widząc w swoim pięknym salonie tych dziwnych popaprańców; tym razem to określenie było dosłowne, bo każdy był utyłtany albo w blocku, albo w cieście, albo we krwi.

Albo w niezbyt subtelnych kombinacjach wszystkiego po trochu.

Żeby nie zniszczyć krzesel, położono na nich ceraty i ręczniki, ale eleganckie secesyjnie powyginane oparcia i tak się pobrudziły.

– Aż tylu ludzi tu było, że mogła pani nie zauważyć?

– No właśnie nie, ale on... jego tu dziś nie było! Był, owszem, w Wigilię, ale nie dziś!

– Ale kto?

– No burmistrz. Burmistrz, tamtego to nie wiem, nawet chyba nie znam. – Lalina nie była całkowicie pewna, ale nikogo to nie dziwiło, rzadko ktokolwiek widuje ludzi w cieście, choć Lalina miała w tym pewne doświadczenie. – No i wyszedł. Chyba wyszedł. Co ja wiem?

– Ale burmistrz?

– Merlin! – Lalina całkowicie się zamotała.

– Widziała pani, jak wychodził?

Lalina wzruszyła bezradnie ramionami.

– Nie zwracałam uwagi, ale tego o – wskazała głową w kierunku zniszczonych zaświatów – to nie widziałam tu chyba nigdy. Na wigilii było nas kilka osób, o proszę, tu są zdjęcia.

– A pani była tu cały czas?

Zamilkła i jakby skuliła się na chwilę, po czym zdecydowanie podniosła głowę i powiedziała dość stanowczym jak na okoliczności głosem:

– Tak, oczywiście, cały czas. Nigdzie się stąd nie ruszałam, przecież to była wigilia. Wielkie przyjęcie.

– Mamy świadka, który twierdzi, że widział panią w kuchni, a właściwie w chłodni w domu weselnym, wtedy jak...

Tomasz nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć. Faktem było, że wtedy prawdopodobnie przebywał tam nieboszczyk, ale ani nie było to pewne, ani w sumie istotne, bo Miłka zaświadczyła, zresztą nie tylko ona, że narzeczony Donaty, sławny wróż Merlin raczej tam nie zmarł, już prędzej zmarł w domu jej babci, ale też całkiem możliwe, że gdzieś indziej.

Nikt w tym momencie nie wiedział gdzie, ale co dziwne, w chłodni znaleziono coś, co mogło być narzędziem zbrodni, i – co jeszcze dziwniejsze – ubrania zmarłego. Upchnięte za regałami, początkowo zostały wzięte za szmaty, potem okazały się cennym znaleziskiem.

Tak jakby ktoś go tam rozebrał.

Narzędziem zbrodni najprawdopodobniej było coś, co posłużyło do jego uduszenia. Pasek, apaszka, chustka... Teraz badano wszystko. I samego denata też.

To by sugerowało, że został zamordowany właśnie tam, tylko co robił w domu babci Miłki i skąd się wziął w chłodni, skoro ona zostawiła go na ławce w parku? Był to przykład zdecydowanie ruchliwego nieboszczyka.

Miłce Tomasz wierzył. Wierzył, że przewiozła denata, wierzył, że myślała, że to jakiś wyglup, wierzył, że go nie zabiła, ale skąd on się wziął w tamtym domu?

Owszem, uważała, że zupełnie zgłupiała, gdy zamiast wezwać policję postanowiła się pozbyć nagiego faceta z domu babci.

– No to jak? Bo świadek twierdzi...

Lalina nie dała mu dokończyć.

– Pan żartuje? – zapytała bardzo zdziwionym tonem. – Niemożliwe! – dodała po chwili, ale jakoś tak niepewnie.

Wszyscy siedzieli w salonie, owinięci w jakieś przypadkowe koce, i pili herbatę. Tymczasem ktoś pozbiierał zastawę i teraz na stolikach stały szklanki z arcorocu. Widocznie Lalina zadysponowała też zastawę dla nieco mniej eleganckich gości.

– Coś ty wymyśliła, Arleta? – zwróciła się do właścicielki domu weselnego, przekonana, że to ona jest tym świadkiem. – Przecież rozmawialiśmy...

– Kiedy to nie ja! – jęknęła Arleta.

– A o czym panie rozmawiały? – podchwycił Tomasz.

– O tym, że mnie tam nie było! – warknęła i nagle zdała sobie sprawę, że się wygadała. – Oj, czego się pan czepia?! Kawioru mi zabrakło! Kawioru? Wie pan, co to jest? – rzuciła, chcąc chyba obrazić policjanta.

– Ja wiem! Ja wiem! – odpowiedziała za niego Kaśka, wyraźnie chcąc się popisać. – Takie rybne odchody! Farfocle. Obrzydliwe, że szlag, ale ony to chcieli jeść, ale ja to do ciasta wywaliłam, żeby się nie potruili. Życie żem im uratowała, normalnie.

I nagle dwie tajemnice zostały wyjaśnione: brak kawioru i trupi smród z ciasta.

– Mój kawior? Mój kawior? Do tego ciasta? Ja ci to, Kaśka, kurwa z pensji potrączę! – Nagle zdała sobie sprawę, że będzie musiała Kaśce potrącić całą pensję za jedną puszczykę tego kulinarnego cudu.

– Ale co tam robił Karol? – sapnęła zdezorientowana babcia.

– A tego to ja nie wiem. Oni to często się w tym cieście tarzali, w tych zaświatach, ale dziś to nie wiem, chyba nie powinni, bo tam taki grafik był, a dziś nikt nie był zapisany.

Wszyscy spojrzeli na Lalinę.

Westchnęła.

– To nowa terapia sensoryczna. Naukowcy wykryli, że kobiety w czasie zagniatania ciasta, i piekarze też, podnosili sobie poziom endorfin, no to można ten poziom podnieść całościowo. Nie zagniatąć ciasta, bo to dla kucharek i plebsu, ale zagniatąć się w cieście no... się pozagniatąć. Z kimś, przez kogoś, albo wytarzać, czyli sobą całym zagniatąć. Takie to przyjemne.

– Iiii... – Tomasz chciał zapytać, czy to działa, ale zrezygnował.

I tak by powiedziała, że tak. Wielu ludzi wprowadza dziwne terapie, czasami, a nawet często niesprawdzone, tylko dlatego że pochodzą z internetu albo dlatego że ktoś chce za nie płacić.

Pół biedy, kiedy są nieszkodliwe. Ta chyba była. Bo co komu może zaszkodzić seks w cieście?

– A gluten? – wtrąciła Julita, która powoli wracała do policyjnej formy i roli.

– Co gluten? Co znowu gluten?

– No, szkodzi. – Julita nie spodziewała się agresji.

– Odpieprcie się, wszyscy się odpieprcie od glutenu! Od ciasta, od wszystkiego. Ja nikogo nie zabiłam! – zawołała Lalina rozhisteryzowanym głosem.

– To kto to zrobił?

– A skąd mam wiedzieć! Skąd mam, do cholery, wiedzieć, mnie tam nie było! Nic nie wiem! Kto, gdzie, jak, nie wiem...

– Ale ten kawior, dlaczego tam? – Tomasz zdziwił się odrobinę, bo w ośrodku Laliny z pewnością były i chłodnie, i lodówki.

– Ludzie kradną! Strasznie kradną, bez przerwy kradną, to już jest po prostu masakra – odpowiedziała poruszona – a policja nic nie robi! – dodała z mściwą satysfakcją.

Tomasz jako policjant zdawał sobie sprawę, że kradzieże są dość częstym przestępstwem, ale żeby aż tak?

– Coś pani ostatnio ukradziono? Zgłasza coś pani?

Lalina zrobiła niepewną minę, jakby nagle zdała sobie sprawę, że to był zły pomysł, żeby teraz czepiać się policji, teraz kiedy przychyłność Tomasza bardzo by się jej przydała.

– Nie, no nie, ale tak ogólnie – stwierdziła z zakłopotaniem.

W tym momencie w salonie pojawił się zabandażowany, owinięty prześcieradłem Karol.

Przez chwilę widzieli też głowę burmistrza, który coś komuś tłumaczył, ale raczej nie mógł być w nic zamieszany, a właściwie na pewno nie mógł, zresztą Tomasz wiedział, że burmistrza trzeba będzie przesłuchać inaczej, na pewno nie tutaj, nie przy ludziach, i jak znał życie, pewnie u niego w gabinecie, bo to szycha i osobistość, jedna z tych, których się nie tyka.

Jego rozmyślenia przerwał głos Karola.

– Tylko ubrania mi oddajcie i portfel, mam tam ważne rzeczy! – zawołał do ludzi, którzy jeszcze przed chwilą się nim zajmowali.

Byli to policjanci pozbierani skąd się dało, bo przecież trwały święta i wezwanie posiłków nastęrczało sporo problemów.

– Nie ma tu żadnego portfela – odpowiedział mężczyzna z workiem zapapranych drożdżową masą i krwią ubrań; w drugiej ręce trzymał maskę – tylko to, co pan widział.

– Jezu, nie! Mój portfel! Ukradliście mi portfel! Nie pozwalam, oddajcie go, natychmiast. Potrzebuję go!

– No i widzicie?! Jego też ktoś okradł! – Lalina triumfowała, jakby się ucieszyła, że kogoś okradziono. Było to tym dziwniejsze, że ta kradzież miała miejsce na jej własnym terenie i mogli w niej brać udział ludzie, którzy u niej pracowali.

Milka chodziła pomiędzy siedzącymi i polewała im herbatę z dzbanka, który też był z arcorocu i na specjalnie elegancki nie wyglądał.

Tomasz naprawdę był skołowany. Najbardziej dziwił go nieboszczyk. Uprawiał marszobiegi z przeszkodami? Skąd on się wziął tam, gdzie się wziął, i gdzie, na litość, został zabity? Tego policjant nie wiedział, ale wiedział choć, kim ten nieboszczyk był. Natomiast drugi nieboszczyk, ten niedoszły, był w masce, którą wcześniej nosił burmistrz, ta podkuchenna Kaśka mówiła, że miał rogi i jęzor, więc może... Oczywiście mogła się pomylić co do osoby i co do dnia oraz w ogóle sobie to wymyślić, ale maska istniała. Nawet bardzo istniała na twarzy poturbowanego Karola.

W cieście.

Karol nie należał do towarzystwa bywającego w kurorcie. W tej chwili jeszcze nie, bo oczywiście mógł chcieć należeć, był snobem, a po swojej wygranej mógł próbować jak najszybciej się dostać do tej miasteczkowej elity, ale wlaźby tak od razu do ciasta? W ubraniu?

– Pamięta pan, co się stało? – policjant zwrócił się do Karola bez specjalnej nadziei na pozytywną odpowiedź.

– Ja? Nie? W życiu! Niczego nie pamiętam! – Ta odpowiedź była dziwna, jakby Karol kogoś zapewniał, że nie ma zamiaru go wsypać. Pamiętał, co się stało? Jeżeli tak, to głupio robił, ukrywając to, ale wielu jest tego typu szemranych biznesmenów, którzy po czymś takim decydują się na szantaż, a dostają tylko powtórkę z rozrywki i miejsce na cmentarzu.

– Ale przyszedł pan tutaj? – indagował go dalej.

– Wydaje mi się, że tak, przecież nie przyleciałem, do cholery! Chodziło o moją matkę – wydukał Karol.

– To ona też tu jest? – Milka chciała już lecieć do dzieży i sprawdzać, czy gdzieś tam nie leży jej niedoszła wredna teściowa. Milka była dobrym człowiekiem. Nawet teściowej nie zawsze życzyła źle.

– Nie, tu jej nie ma, ale jest podejrzana, tak? Więc chciałem się zorientować, co tu się dzieje. Zobaczyć, o co chodzi. Ratować matkę, czy to takie dziwne?

Owszem, dziwne było ratowanie kogoś w miejscu, w którym go nie ma i nigdy chyba nie było, ale jest taki mit, że jak ktoś powie „chciałem ratować matkę” – nieważne: swoją czy cudzą, to od razu dostaje status bohatera i nikt się go nie czepia, bo to patriarchalny typ makiawelizmu, cel uświęca środki, a jeżeli matka jest celem, to właściwie nawet posiekane zwłoki da się wybaczyć, choć są od tego wyjątki – kotów, psków i jeży zabijać nie wolno nawet dla ratowania matek.

Wszyscy wiedzieli, że Karol kłamie. Nie tylko dlatego że się spocił, poczerwieniał i zaczął patrzeć w sufit, ale też dlatego że choć jego matka rzeczywiście była podejrzana, to dotychczas nikt nie łączył ani jej, ani zbrodni z kurorcem, a jeśli nawet, to rozmów o takich powiązaniach nie prowadzono przecież przy nim.

Skąd mu takie powiązanie przyszło do głowy?

Tomasz popatrzył na Julitę (w tym momencie jednak wołał unikać wzroku Milki) i oboje zaczęli się zastanawiać, po co, do cholery, Karol się tu zjawił.

Wszystko się komplikowało. Ktoś chciał zabić Karola? Na pewno Karola? A może burmistrza?

– Kiedy włożył pan tę maskę? – zapytał policjant, chcąc ustalić pewne niepokojące go szczegóły; paradowanie w masce diabła w Halloween jeszcze by przeszło, ale w święta? I gdzie on się w niej taczał? Po mieście czy tylko tu, po kurorcie, a jeżeli tu, to też należałoby się dowiedzieć gdzie tu? Po posesji? Po podjeździe, po salonie?

To zmieniało postać rzeczy, bo od tego zależała liczba podejrzanych.

– Wcale jej nie wkładałem – obruszył się Karol, rozwiewając tym samym dylematy policjanta. – No co pan? Nie jestem idiotą.

– To uważa pan, że burmistrz jest idiotą? – Julita natychmiast dołożyła swoje trzy grosze, ale ona była specyficzna, polityki się bała, dlatego była skrajnie poprawna politycznie, wiadomo, żeby nikt niczego nie mógł jej zarzucić. Udawała, że nie ma poglądów. Wcale. A burmistrz podobno w tej masce czasami się pokazywał nawet w ratuszu.

Tu jednak wtrąciła się Lalina.

– Ta maska to tylko akcja promocyjna. On promuje miasto.

– W taki sposób? – No cóż, robienie z siebie kretyna przyciąga tłumy, ale rzadko te pożądane.

– Każdy dobry, ale ten szczególnie. Leszyn należy do lepszego, czyli diabła, no, mniej więcej, a burmistrz nazywa się Leszek Leszyński, czyli jest jakby diabłem, więc chodzi czasami w tej masce, żeby ludzie się dziwili. Pytali. Sprawdzali. Szukali powiązań, żeby legenda żyła.

– Leszy to władca lasu. To co to ma wspólnego...

– Z lasem nic, broń Boże, z lasem nic – dodała pospiesznie – ale z miastem dużo i z diabłem.

– No dobra, ale jeżeli ktoś założył mu tę maskę po śmierci... – Babcia się zająknęła.

– Przecież ja żyję! – wrzasnął Karol, jakby sam nie był pewny, czy rzeczywiście to, co mówi, jest prawdą, i żądał potwierdzenia.

– Jasne, niestety, nie omieszkalam zauważyć! – Babcia popatrzyła na niego z pogardą.

– No dobra, wiemy, o co chodzi – Miłka знаła wielką „miłość” babci do Karola – ale co to może znaczyć? Chciał powiedzieć, że burmistrza też zabije? Pomylił się i myśli, że zabił? Chciał zabić Karola, a teraz miesza nam w głowach?

– I co ten Karol ma wspólnego z moim Merlinem? Znalście się? – Donata była blada, miała rozciętą wargę, sine odciski na szyi i wyraźny brak w uzębieniu, a jednak siedziała wraz ze wszystkimi, bo tylko tu wszyscy jakoś byli razem. Oczywiście mogli się porozchodzić do swoich domów, w każdy inny dzień byłoby to naturalne, ale nie w święta.

W święta ludzie pragną towarzystwa chociażby powierzchownego, rodziny, nawet znienawidzonej albo całkowicie obojętnej, dlatego wokół pojawiają się ciotki z Chin, wujkowie z więzienia, kuzynki z Wrocławia, aby nad talerzem sałatki śledziowej marudzić i się wyklócać tak, że na cały rok wystarczy. Na cały rok każdy nasiąka grozą spotkań rodzinnych, Kevina samego w domu, chrzaniu z octem, karpia z mulem, uszek z woskowiłą i pytaniami o wszystko, o co nie wypada pytać, jak choćby o to, gdzie, do cholery, są moje pieniądze i czy te krągłości to pierogi czy ciąży. Po takim spotkaniu, odejździe policji i pogotowia można przez cały rok spokojnie udawać, że nie ma się rodziny ani żadnych krewnych, no chyba że trafi się do więzienia (bo na przykład teściowa miała słabą głowę), to wtedy dłużej.

Tutaj sytuacja była nieco inna, rodzinę zebrani ogarnęli w Wigilię, a morderstwo wymusiło pewną integrację z obcymi dotąd ludźmi, zresztą wszyscy czuli się tu razem jak jedna wielka patologiczna rodzina.

Donata i Karol byli posiniaczeni, Tomasz i babcia upapranani jak świnię w błocie, Arleta miała minę seryjnego zabójcy, Miłka patrzyła na Karola bazyliżkowym wzrokiem, bo właściwie to wszystko była jego wina, Julita miała ochotę wyeliminować Tomasza, Lalina wzdrygała się, patrząc na to nieeleganckie towarzystwo w jej eleganckim przybytku, wszyscy śmierdziali zacierem i trupem, który jednak okazał się kawiorem. Zepsutym, ale jak zawsze kwintnym.

Kaśka przebywała tam jako podkuchenna (co było nie do zniesienia) i jednak jako uczestniczka kataklizmu, co trochę ją usprawiedliwiało, ale i tak była z nich najgłośniejsza i klęła najbardziej.

Miotła się podobnie jak w zaświatach.

– Pani Katarzyno? – zagadnął ją Tomasz, chcąc ją jakoś uspokoić, usadzić na miejscu, żeby coś sprawdzić.

Popatrzyła na niego wzrokiem ogłupiałego indyka, który nawet o niedzieli nie myślał, a i tak nie doczekał Dnia Niepodległości, bo o Dniu Dziękczynienia nienawidził myśleć.

– Że niby? Co? Ja? Katarzyna? A, no tak, ja – wydyszała zmęczona sytuacją – no? O co chodzi z tą Katarzyną? Bo ja to tak mam, że jak coś ja winna, to wszyscy Katarzyna, a jak mnie winni, to Kaśka. To co ja panu winna jestem?

– Chciałem się tylko dowiedzieć, jak pani weszła do tych zaświatów. Bo nie wiem, drzwi były zawalone, z góry jaś ktoś nie widziałem, żeby pani spadła, więc jak?

– Nie widział pan? Ano przez szafkę. Z jajkami. Tam jest taki tył, to się wczółgałam, ale potem to też się zawaliło.

Lalina wrzasnęła.

– Jajka mi rozwalifaś?

– Się pani czepia jajek? Ludzie ważne nie jaja.

Lalina w tym momencie nie miała siły przebicia. Tomasz nie pozwolił jej kontynuować jajecznego dochodzenia.

– I w ogóle, co to jest za miejsce? I dlaczego, do cholery, zaświaty?

Tu nastąpiła zawiła opowieść o składziku na szczotki przerobionym na miejsce do masażu produktami żywnościowymi w celu dostarczenia ciała pożywki duchowej. Jakkolwiek zawiłe to brzmiało, Tomasz się zdenerwował.

– Chodziło pani o masaż bigosem?

– Ciastem drożdżowym – warknęła Lalina, po czym chciała dodać: – tłu...

Każdy by przysięgł, że na końcu to słowo powinno zabrzmieć jako „tłumoku”, ale Lalina szybko się zmytygowała. No bo ostatecznie Tomasz nie był jedną z jej podkuchennych, tylko jak najbardziej policjantem. Więc dokończyła je elegancko:

– Tłumacząc... Drożdżowym. Ciastem. Masaż erotyczno-mistyczny, więc potrzebowałam odpowiedniego miejsca, bo ciasto musi być w cieple, ale nie może się psuć i ono ma specyficzny zapach, więc potrzebowałam pomieszczenia mrocznego, takiego bez okien dla atmosfery, ciepłego, ale nie za bardzo, no ten schowek był okej.

– Schowek na szczotki? W życiu nie widziałem takiego wielkiego schowka na szczotki! – zdziwił się niepomierne.

– Bo ja go powiększyłam, to znaczy Kowalski, ale spieprzył strop i efekt jak widać.

Rozwiązawszy, choć trochę pozornie, bo nie we wszystko uwierzył, sprawę zaświatów, Tomasz wrócił do Kaśki i jej jajecznego przejścia podziemnego.

– Ale po co? Po co pani tam wzięła?

– Ludzi ratować chciałam – powiedziała niewinnie, ale ta jej mina wcale nie była aż taka niewinna.

Karol jakby się nagle obudził z jakiegoś powypadkowego letargu albo to, co usłyszał, go zaskoczyło.

– Oddaj mój portfel! To na pewno ty! – wrzasnął. – On tam był, w kieszeni! Ratować ludzi? Okradać poszłaś! Albo... – zawahał się – albo to ona mnie walnęła!

Wyglądało na to, że Karol rzeczywiście nie wiedział, co się stało w zaświatach, albo tylko dobrze udawał.

– A może portfel jest w ciebie? – zasugerowała Miłka. – Czy to takie ważne? Teraz?! Mogłeś się tam udusić! Zresztą, milionów w nim nie miałeś, ciesz się, że żyjesz!

– Miałem!

– Jak to miałeś? Miałeś się cieszyć?

– Miałem tam coś ważnego!

– Los? Ten los? – Miłka aż podskoczyła. Noszenie losu na milion w portfelu jest głupie, ale może dla Karola było normalne, bo on sam coraz mniej normalny jej się wydawał.

– Nie interesuj się – warknęła zupełnie nieadekwatnie do sytuacji, ale mogła to zrozumieć, w końcu to była kupa forsy i przez tę kupę forsy się poróżnili, tyle że w tej chwili nawet się z tego cieszyła. Zdawała sobie sprawę, że z Karola znała tylko pozłacane okładki, a to, co się stało po jego wygranej, było kwintesencją jego natury; dobrze, że wylazło teraz, a nie po ślubie.

Kobiety, w tym oczywiście ona sama, lubią idealizować swoich facetów. I to naprawdę bezsensownie. Dziurawe skarpetki uważają za przejaw oszczędności, a nie za niechlujstwo, przypalenie jajek na twardo za romantyczne rozmarzenie, a nie za gapiostwo, bałaganiarstwo zaś za uroczy przejaw roztargnienia.

Oczywiście to wszystko potem wylazi „w praniu”. Jej przynajmniej udało się tego uniknąć.

– Nie kradłam! Niczego nie kradłam – oburzyła się Kaśka. – A poza tym jak wzięłam, to on już leżał w tym drożdżowym barłogu! I tfu – skrzywiła się z obrzydzeniem – tam się tyle ludzi gziło, że aż strach. On to czegoś od tego dostanie – zawyrokowała, a na pytające spojrzenia wszystkich wyjaśniła z godnością: – parchów albo niepalności konara.

Karol aż się skulił.

Niepalność konara była poważną sprawą.

Tomasz postanowił przerwać tę awanturę.

– No dobra, panie Karolu, ale jak pan chciał ratować tę matkę? Co? Bo ja tego jakoś nie widzę.

Karol westchnął zrezygnowany.

– Chciałem z kimś porozmawiać, bo Merlin tu bywał, to chciałem się dowiedzieć. No bo tak: ona została w tej chłodni zamknięta przez kogoś, prawda? Sama się od środka zamknąć nie mogła, ona twierdzi, że ktoś zamknął ją przypadkiem, ale ja to myślę, że może celowo? A jeżeli celowo, to mogła to zrobić tylko ta właścicielka tego psychicznego kurortu, za którą ona polazła, Lalina, albo twoja matka! – wykrzyknął na koniec, wskazując oskarżycielskim paluchem Miłkę, która aż się zakrztusiła herbatą.

– Moja mama? Ale co do tego ma moja mama?!

Nagle wszyscy się zainteresowali sprawą. Nikt dotychczas nie brał pod uwagę takiej możliwości. Babcia Miłki skrzywiła się z niesmakiem.

– Ty jej tak nie broń! Mogła! – stwierdziła, budząc ogólne zdziwienie. Owszem. Babcia matki Miłki nie lubiła, bo ta rozwiodła się z jej synem, ale żeby aż tak? Niestety, status teściowej zobowiązuje. Istnieją podobno dobre teściowe, mówią tak czasami ich synowe, ale często są to zeznania wymuszone albo podszyte strachem o życie. Większość teściowych zachowuje się jednak jak należy. Czyli przyczynia się do powstawania dowcipów, z przyzwyczajeniami trudno walczyć.

– Dlaczego miałyby to zrobić? – zdziwiła się Miłka.

– No tego to ja nie wiem, ale jeżeli zabiła tego Merlina?

– Jakim cudem miała zabić Merlina? Babciu?!

– A powiedz mi, dlaczego on się znalazł u mnie w domu? Martwy? No? Kto i dlaczego to wymyślił? Kto i dlaczego skierował podejrzenie na mnie?

– Na nas?

– Matka nie musiała wiedzieć, że jesteś u mnie, no dobra, nawet na nas, ale jednak.

Tomasz uważał, że w śledztwie nie ma przypadków, że wszystko ma jakieś znaczenie, problemem było odkrycie go i dopasowanie do całości. Bo owszem, dom babci Miłki mógł być wyborem przypadkowym. Dziwnym, ale przypadkowym, tyle że nawet wtedy też coś oznaczał, chociażby to, że był blisko miejsca zbrodni. A może jako jedyny miał odpowiednio duży podjazd, by zaparkować na nim jakiś jeden konkretny czołgopodobny model samochodu? Gdyby odkryć takie powiązanie, też by coś to dało, a na dodatek Tomasz wierzył, że nie był to jednak przypadek.

Bezsens siedzenia w salonie Laliny nagle zaczął do wszystkich docierać ze zwielokrotnioną siłą. Nie było to miejsce przyjazne, nie podawano alkoholu, nikt ich tu nie hołubił.

No i jakoś nieświętecznie wypadały te święta.

– Czyli poszła pani po kawior, który miała pani Arleta? I chciała pani pożyczyć?

– Nie, bo był mój, zrobiliśmy taki mały myk, był mój. Poszłam, zajrzałam, nie zobaczyłam. Nie wiedziałam dokładnie, gdzie to jest. Nikogo nie zamykałam. I nawet nie przyniosłam kawioru.

Usłyszeli, jak odjeżdża policja.

– Ja przepraszam... – W drzwiach pojawiła się twarz jednej z kucharek.

– No proszę, proszę. – Lalina wstała od stołu. – O co chodzi? Nie będziemy jeszcze podawać kolacji. – Pokręciła głową.

Kucharka się zawahała.

– Aleeee – sapnęła, chyba nie wiedząc, co powiedzieć – bo ja, coś... Jakby...

– No tak, oczywiście, znowu coś pani przypaliła, tak?

– Nie.

– No to co się stało?

– Chyba kogoś otrułam – jęknęła – nalewką, ale niechący – dodała na swoje usprawiedliwienie.

Wszyscy w panice zakrztusili się herbatą. Zaczęli płuć i charczeć, herbata została wcale nie dyskretnie wypluta na posadzkę. Bo skoro mogła nalewką, to dlaczego nie herbatą, zwłaszcza że niechący?

Karol złapał się za gardło i zaczął wymuszać wymioty.

Arleta zaczęła mierzyć sobie puls.

Donata zawyla i zerwała się od stolika.

– Ale gdzie? I kogo? – Lalina знаła możliwości swojej kucharki i nie wyglądała na specjalnie spanikowaną.

– A tam leży, w kuchni.

Bieg w tamtą stronę rozpoczął Tomasz, za nim biegła Julita, co chwila przepychając się z Lalina. Walczyły o to, która pierwsza dobiegnie na miejsce.

Kiedy tam wbiegły, stanęły jak wryte, widząc leżące na podłodze ciało.

Zaraz za Lalina wpadła kucharka. Też stanęła, wyciągnęła rękę i wskazała na zwłoki.

– O, widzi pani? Otruty! Leży. Dałam mu nalewki, a zaraz potem to...

Na podłodze leżał burmistrz. Zwiżał się, charczał, trzymał za gardło.

– No to mamy przejebane! – rozplakała się Arleta. – Przecież to jakaś masakra. Ludzie kitują...

– Wykitowują się mówi – Donata miała swoje językowe przemyślenia.

– Wszystko jedno, padają jak szlag! Trzecie zwłoki?! Przecież to niewiarygodne, trzecie zwłoki!

– Ale ja jeszcze żyję – mruknął Karol.

– On też, ale widzę, że już niedługo, co mu dałaś, do jasnej cholery?

Kucharka wskazała na wielką półkę z nalewkami wiszącą na ścianie nad blatem roboczym.

– No jednej z tych, sam kazał – wybuchnęła płaczem.

– Nie rycz, która to była?

Nalewki w pięknych butelkach pyszniły się cudnymi kolorami – od czerwonych, po bursztynowe przez niebieskie i zielonkawe, a nawet całkowicie zielone.

– Chciał tej – pokazała nalewkę na pigwie – tak mówił, że ma być trzecia po lewej.

– No i tylko to? Przecież nie jest trująca.

Dywagacje Laliny nad wciąż żywymi zwłokami burmistrza bardzo zdziwiły Tomasza.

– Pogotowie wzywać?

– Eeeee – wycharczał domniemany nieboszczyk, wybałuszony oczy, co wzięto za odmowę – współpracy, pomocy, czegokolwiek.

– On światowy, nie chce, żeby go na podłodze widzieli, połóżmy go na kuchence – zaproponowała Donata.

Nikt nie zareagował. Lalina podeszła do kucharki i trzasnęła ją w twarz.

– No? Gadaj! Pigwówka tak nie działa! Co mu dałaś?

– O tę – wskazała na inną, jadowicie żółtozieloną, i rozplakała się jeszcze bardziej. – Lewo mi się pomyliło!

– O Matko Boska! – Lalina wyglądała na wstrząśniętą. – Ile on tego wypił?

– Setkę chlapnął. Naraz!

– No to będzie wył tak ze dwa dni! – ucieszyła się Kaśka. – Próbowалаm brać do nacierania, bo mówili, że na rany dobra, posrałam się. Normalnie jak nic on też się posra.

– Ale co w niej jest, cyjanek? – dopytywała się Donata.

– Od cyjanku to by tak nie charczał. To musi być coś mocniejszego.

– I jest. To nalewka na ostrej papryce, ale takiej superostrej scotch bonnet.

– Przeżyje?

– Powinien, ale przez tydzień będzie się bał iść do toalety. To jest nalewka lecznicza, kretynko!

– Ale burmistrz...

– Co burmistrz?

– On sam: dolewaj więcej i dolewaj więcej i dolewaj... Co miałam? Toż to panisko, nie powiem mu nie.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Burmistrz teraz już siedział na podłodze i charczał. Z oczu płynęły mu łzy, z nosa głuty, trzymał się za gardło, jęczał, ale żył.

– No to przecież nie wezwiemy do niego pogotowia – mruknęła Arleta – bo to i nie ma do czego. A już myślałam, że mamy trzecie zwłoki.

– No szlag mnie zaraz trafi! – Karol znów się uniosł wściekłością. – Ja żyję! Czy wy tego nie zauważyliście, do cholery?!

– Zauważyliśmy, ale nie przyzwyczajaj się pan, może już niedługo! Tak sobie myślę, że to jakiś zamach terrorystyczny był z tymi zaświatami i on się nie udał, to teraz ktoś wszystkich wykończy tak, o, po kolei, to i pana dokończy. Wiadomo.

Błądź Karola nikogo nie dziwiła, ale jego dygot już tak.

Stał i trząsał się, jakby dostał drgawek.

– A, aaa, aaa – powtarzał, trzymając się kuchenki, jednej z tych dużych – aaa.

Jego dygot i wrzask w mieszały się w charkot burmistrza. Razem było to dość kakofoniczne i przeszywało grozą.

– Co pan? Wstyd, że szlag! – powiedziała Kaśka i trzasnęła Karola w plecy, przez chwilę i ona wrzeszczała, a potem zaczęła podrygiwać.

– Aaa – jęknęła i padła na podłogę. – No zapomniałam – dorzuciła – a miałam pani powiedzieć, przebicie na elektryce mamy. – Wstała, rozcierając sobie rękę, którą walnęła Karola.

Wszyscy odskoczyli od sprzętów kuchennych.

Arleta potknęła się o podmurówkę pieca i walnęła głową w drzwiczki piekarnika.

Burmistrz ucichł na tyle, że zaczęli mu się przyglądać podejrzliwie, ale żył. Wstał, a właściwie usiłował wstać, złapał się za galkę metalowej rury obramowującej dookoła kuchnię. Widocznie podrygi i informacja o przebicciu na elektryce do niego nie dotarły. Że nie widział, to było możliwe, potoki łez nie ułatwiają widzenia, ale że nie słyszał?

Telepnęło nim zdecydowanie i posłało go w objęcia podłogi, na szczęście upadek sprawił, że ręka mu się z rury żelaznej mimo skurczu mięśni, więc drugiego wstrząsu nie doznał, ale nosem przywalił tak mocno, że na podłodze pojawiła się plama krwi.

– Nie, wiecie co? To jest jakaś świąteczna masakra! – oświadczyła Arleta. – Ja naprawdę nie wiem, co o tym myśleć. Problem w tym, że nikt nie wiedział.

– No bo jakby policzyć to przebicie, to my mogliśmy mieć kilka zwłok więcej – wyjaśniła zadowolona Kaśka, jakby bardziej identyfikowała się ze zbrodnią niż ze swoim miejscem pracy, choć co do tego ostatniego to nikt się jej nie dziwił. – Ktoś chce panią zamordować – powiedziała do Laliny – albo co?

– Mnie? – Kobieta wzruszyła ramionami. – Ale kto? I po co? Nawet nie jestem facetem!

Seksizm mordercy w tym momencie wszystkich zastanowił, bo obecne były, poza Karolem i jednak nie liczącym się Tomaszem, same kobiety. Burmistrz też się nie liczył, bo był na wpeł żywy.

Nagle do wszystkich dotarło, że ten ktoś morduje jedynie facetów.

– Pieprzony seksista – westchnęło się Julicie.

– Tradycjonalista! – odburknęła babcia.

– Pieprzenie kotka za pomocą młotka, niech morduje, kogo chce, ale niech mi odda portfel! Baby nie baby, o kant dupy roztrzaskał, mój portfel jest ważny.

I tak po raz kolejny Miłka zyskała pewność, że los jednak nie jest dla niej aż tak wredny, jak początkowo sądziła. Usłyszawszy, że Karolowi wszystko jedno, kto zostanie zamordowany, bo ważniejszy jest portfel, zrozumiała, że jest to debil, ale i potworny cham, przecież to dotyczyło także i jej.

– Zgubiłeś los? – zapytała z dziką satysfakcją.

– Chciałabyś. – Uśmiechnął się przebiegle. – Pewnie byśmy się pobrali tak myk, myk bez intercyzy, a zaraz potem los by się znalazł? Nie! Wiem, jaka jesteś na mnie zachłanna! Twoja miłość jest chora! Nie dam ci się zdominować!

Dał, Miłka potrafiła wyprowadzić całkiem niezły prawy prawie sierpowy.

*

Stragany z jedzeniem stojące w rynku były przeznaczone dla bezdomnych i serwowały dania, które może nie grzeszyły specjalnie wykwintnością, za to były ciepłe i darmowe.

Zazwyczaj takie stragany stawały w rynku w Wigilię, ale w tym roku postanowiono inaczej, sprawiło to stwierdzenie prostego faktu: wiele instytucji robiło to samo w tym samym czasie, toteż w Wigilię było wszystkiego dużo, a nawet za dużo, a w święta niestety nie było niczego.

Teraz nastąpiła zmiana, dzięki której kilka osób w rynku mogło się pożywić i ogrzać za darmo.

Diabły znają pojęcie pieniądza, ale za bardzo sobie go nie cenią, toteż stragan, który wydawał jedzenie, skusił Lucjana. Był dość głodny.

Lucjan, nie stragan.

Wziął plastikową miseczkę z bigosem i zaszył się w cieniu arkad, żeby sobie spokojnie zjeść. Plastikę nie znał, ale kiedy spróbował, stwierdził, że nawet mu smakuje, w odróżnieniu od kwaśnej, tłustej i nieco wczorajszej kapusty. No i miska była chrupiąca, a diable wnętrzości naprawdę wytrzymałe.

Podszedł jeszcze raz, wziął dwadzieścia miseczek i zjadł je na sucho z kromką chleba.

– Doobre! – powiedział, chrupiąc wszystkie miski naraz, na oczach obsługi.

– Ki diabeł?! – zapytała wpatrzona w niego babka, która wydawała ciasto drożdżowe.

– Ano – odpowiedział, pochrupując – jestem diabeł. Szukam żony!

Kobieta, która wydawała ciasto drożdżowe, zamarła. Była w takim wieku, że na małżeństwo raczej nie liczyła, po siedemdziesiątce trudno, a jednak wzięła sobie to oświadczenie do serca.

Ludzie łatwo się obrażają, a kobiety są w tym mistrzyniami.

Kiedyś, żeby kobieta poczuła się obrażona, należało powiedzieć, że jest niegospodarna, niechlujna albo pazerna, teraz wystarczy wspomnieć o zmarszczkach czy cellulicie.

Albo o małżeństwie.

Z diabłem.

– O ty, chuju! – wrzasnęła obrażona. – O mnie mówisz? Ja? Ja miałabym? Mnie? Do diabła posyłasz? Wynocha mi stąd!

Diabeł chwycił wiązki widelczyków. Odgryzł im ze smakiem zębate końcówki i uciekł.

Jedno, do czego doszedł, to to, że o szukaniu żony mówić nikomu nie powinien, bo zaraz robi się z tego awantura. Ciekawe, czy powinien mówić to ewentualnej żonie?

Bo jeżeli nie, to co?

Przechodząc pod jakimś oknem, usłyszał rozmowę.

– A bo ja wiem? Diabli ją porwali i tyle – powiedziała jakaś kobieta, a jako że wszystko kojarzyło mu się z żoną, pomyślał, że porwanie nie byłoby takie złe.

*

– To boli – powiedziała Miłka, kręcąc głową. Rzeczywiście zachowanie Karola było paskudne.

– No cóż, rozstania bolą – skrzywiła się babcia, ale z wyraźnym zadowoleniem na twarzy.

– Miałam na myśli rękę, chyba ją zwichnęłam – odpowiedziała Miłka, patrząc, jak Karol rozciera szczękę.

*

Wieczór zakończył się u babci Miłki, gdzie postanowili się nieco znieczulić wraz z Donatą i Julitą.

Cała reszta, zbliżona kręgami do kurortu, domu weselnego i znokautowanego Karola, rozeszła się jakoś do swoich domów.

Burmistrz się nie rozszedł, bo ledwie chodził. Dostał rozwolnienia, co jeszcze bardziej pogłębiło jego ognistą traumę; było to tak straszne, że nie był w stanie się stamtąd ruszyć. Stamtąd, czyli z łazienki.

Tomasz i Julita, mimo pewnej oczywistej, służbowej przynależności, także pozwolili sobie na kropelkę pigwówki, potem wyszło, że była to spora kropelka, ale i tak trwały święta, a policjant też człowiek, oczywiście tylko w ściśle określonych okolicznościach.

– Po co nosić maskę diabła? – zapytała Donata, przykładając łód do spuchniętej wargi. – Ja teraz to bym mogła, boby nie było mi ryja widać. Cy moje implanty to wytsymają? – wysepleniła.

Nikt jej nie odpowiedział, żadna z tu obecnych kobiet implantów nie miała i raczej nie zamierzała mieć, a Tomasz zupełnie to nie obchodziło, jednak pytanie wydało mu się ciekawe.

Bo tak naprawdę po co nosić tę głupią maskę, w której burmistrza widywano regularnie na różnych imprezach, niby w żartach, niby dla reklamy, ale i często, i zdecydowanie w miejscach publicznych ją prezentował.

– Po co w ogóle nosić maski?

– No, ludzie to noszą, żeby się ukryć.

– To odpada, on ją pokazywał na sobie często i publicznie, to nie to.

– Dla reklamy to podobno robił – stwierdziła Julita, wygrzebawszy kilka zdjęć z internetu na telefonie.

– Ale że diabeł?

– No, całościowo i przeważnie lepszego kojarzą z diabłem, ale to nie jest diabeł. – Babcia przyniosła kolejne dania.

Na stole wylądowało wszystko to, co kojarzy się ze świętami, ale że ostatnio wszystko się jakoś pomieszało, to właściwie trudno było określić z którymi, owszem wigilia była jak należy, ale reszta zdecydowanie ogólnie polskośćwiąteczna: bigos, jajka w majonezie, szynka, pasztet.

– Dasz radę jeść czy przynieść ci barszczu? – zapytała babcia Donatę, ale ta była już otępiała.

– Pigwówki zjem – oświadczyła – byle dużo! Strasznie dziwnie być nazeconą, wdową i panną naraz – westchnęła.

– Właśnie, naraz – powiedziała Julita.

– No, a jak nie naraz, jak naraz?

– Ale mnie chodzi o diabła! Bo patrzcie: diabeł jest straszny, ale nie zawsze, czasem robi przecież reklamę i tak jakby spojrzeć, to ta maska tak dla obcych to rzeczywiście reklamowała miasto, ale dla tutejszych?

– Diabeł to trochę tak: obcych przyciąga, swoich odstrasza, nie? No bo przecież straszy też, u nas do lasu to ludzie boją się chodzić – stwierdziła Miłka.

– Norma, jak turysta ma gdzieś pojechać, to woli tam gdzieś, gdzie coś się dzieje, jakieś morderstwa, porwania, wulkany, ale jak chce gdzieś mieszkać, to woli bez.

– Białe?

– Jakikolwiek, biały, czarny, fioletowy, byle bez mordów.

– Czyli można powiedzieć, że burmistrz turystów przekonywał, że diabeł jest, a swoich diabłem straszyl?

Takie stwierdzenie być może nie udowodnione, ale uzasadnione – turysta zje w knajpie, prześpi się w hotelu i tyle, no może połączy po rynku czy tam innych obiektach jak toalety publiczne, a taki mieszkaniec? On to chciałby

natury, lasu...

– No straszyl.

W tej chwili zadzwonił babciny telefon stacjonarny, tym swoim przedpotopowym, ale nostalgicznie brzmiącym dzwonkiem i znów wzbudził zdziwienie u Donaty.

– No przecież już dzwoniliście! – zdenerwowała się babcia, wysłuchawszy jakiejś tyrady. – Mówiłam, że w budzie, w lesie... Jak to zgubili? No to już nie moja sprawa, dajcie ludziom poświętować, co?

Z zapalem rzuciła słuchawką. To jedna z zalet telefonów stacjonarnych. Można rzucić słuchawką, komórki się w tej materii nie sprawdzają, ktokolwiek próbował, wie, jak trudno potem wymienić wyświetlacz albo wydłubać baterię spod biblioteczki.

– Znowu te debile z firmy przewozowej – wyjaśniła wszystkim. Większość ludzi, kiedy odbiera telefon przy innych, czuje się jakoś w obowiązku powiedzieć, kto dzwonił, bo ciut tak głupio to wygląda, że jakieś tajemnice czy coś.

Oczywiście nikt nie za bardzo chce zdradzać swoje tajemnice mimo pewnej takiej nieokreślonej kulturowej treści. Ludzie zazwyczaj przecież nikomu nie powiedzą, że dzwonił komornik albo że przyszły już wyniki badania na HIV, bo to by wzbudziło spory popłoch w zebranych, więc mówią cokolwiek, ale i na to trzeba uważać.

– A co to za firma?

– A bo ja wiem? Nie wiem. To jakaś pomyłka, ale to są debile, wiecie, ile razy im tłumaczyłam, że nic mi nie wiadomo na temat towaru, zwalania, lasu, niczego? Tysiące, i po co? Po to, żeby za jakiś czas zadzwonili znowu z dokładnym takim samym tekstem, to miałam dosyć, chcę zwalać, niech zwalają.

– Ale co?

– Czy ja wiem? Co się zwala? Drewno? Węgiel? Nie mam pojęcia.

– Ale to w naszym lesie?

– Nie, zaraz, a skąd ja mam to wiedzieć? To jest stacjonarny, numeru nie wyświetla, oni nie mówią, kim są, ja nie pytam, możliwe, że u nas, możliwe, że na Pomorzu. Co ja tam wiem?

– U nas! – Tomasz roześmiał się. – Kierunkowy nasz, to znaczy u nas, ale nie tak jakoś tu zaraz, choć też, kierunkowe są chyba województwami czy miastami, więc gdzieś tu, bo żeby zadzwonić na stacjonarny, trzeba dodać kierunek.

– Może dacie sobie z tym spokój, co? – utemperowała ich Julita. – Co nas to obchodzi? Lepiej się zastanowić, kto i dlaczego zabił.

I to było zadanie nad wyraz wdzięczne i niewdzięczne zarazem.

– Mamy trzy ofiary.

– Ocipiałaś? – Tomasz popatrzył na policjantkę dość w sumie wrogo. – Jak trzy? Karol żyje, czego nie omieszkał nam podkreślić, a burmistrz to tylko ofiara zachłanności i babskiego rozróżniania stron świata.

Julita pigwówką się wzmocniła nad wyraz, więc nie pozostała mu dłużna.

– To ty ocipiałaś! Karol został zamordowany, to znaczy nie został, ale miał zostać, i to mogło dotyczyć jego samego, jak i burmistrza, czyli z nalewką czy bez, atak na Karola mógł być atakiem na Leszyńskiego.

– No to mamy cztery ofiary – zachichotała Miłka.

– Jakim cudem?

– Bo może ktoś chciał zabić diabła? Czyli tak: Merlin, Karol, diabeł i burmistrz, sami faceci, wszyscy związani z kurortem. Wszyscy znani w okolicy i wszyscy... dziwni?

– Strasznie mi się to wsyko miesa – jęknęła Donata.

– To przestań chlać!

– Kiedy nie mogę, ryjek mnie boli, a do dentysty to nie wiem, kiedy pójde, forsy nie mam, wsyko na ślub posło.

Donata spuchła i wygląda paskudnie. Była jednak jedną z tych kobiet, dla których piękno jest najważniejsze, więc potrafią z marnej rzeczywistości wyluskać każdy jego nawet najmarniejszy ułamek. Stosowała wdzięczność w stylu facebookizmu coachingowego. Gdyby ktoś zapytał, co mogą mieć wspólnego opuchlizna, piękno oraz wdzięczność, to odpowiedziałyby, naturalnie sepleniąc: zmarscki! Opuchnięte kobiety nie mają zmarszczek – chwilowo, bo chwilowo, ale i za to należy być wdzięcznym.

W ogóle to facebookowe propagowanie wdzięczności (która niewątpliwie jest przydatną cechą, ale tylko wtedy, kiedy się ją czuje) doszło do granic absurdu, ale w sieci absurd to właściwie normalność.

Jedna z koleżanek Donaty była wdzięczna na przykład za to, że kochanek zaraził ją rzeżuchą, a to taka ładna roślina.

Oczywiście w końcu się dowiedziała, dalszych jej losów niestety nie poznano, bo prawie zatłukła chłopaka na śmierć i wylądowała w więzieniu, podobno jest wdzięczna, bo ma dach nad głową i ustabilizowane życie towarzyskie.

– Coś w tym jednak może być. – Babcia naląła znów po kieliszeczkę, jej szafy i kredensy zawierały nieprzebrane zapasy pigwówki. – Bo wiecie, to jest bez sensu, co może łączyć burmistrza z Merlinem?

– Znali się. – Donata wzruszyła ramionami. – Interesy jakieś razem robili.

– A Karol?

– Karol? Nie, nie wiem, może się znali, ale jakoś nic o tym nie słyszałam, zrestą ja o nim wcale nie słyszałam nigdy, chyba go też nie widziałam za bardzo w knajpach czy gdzieś. On nie był z towarzystwa.

– Srystwa. – Babcia aż splunęła. – Co ty opowiadasz? Do jakiego towarzystwa ty mogłaś należeć? Co? Ty grosza przy dupie nie masz!

– Ale w dupie mam! – Roześmiała się. – Implanciki jak ta lala. To wystarczy.

I właściwie przy takiej ilości alkoholu powinni byli paść. I padli, ale najpierw Tomasz odwiózł Donatę i Julitę do domu. Taksówką, a potem zamierzał pojechać do siebie. Był zmęczony, w taksówce o mało nie zasnął, postanowił wysiąść i się przejść.

Miasto było dosyć, na swój świąteczny sposób, ponure i rynkowe ozdoby niewiele pomagały. Plastikowa choinka, świecąca jak zmutowana tęcza, biały bałwan wielkości budynku, stajenkę, o tej porze jeszcze otwartą, choć ludzi w rynku już za bardzo nie było, wypełniali smętni przedstawiciele fauny, czyli przebywały tam dwa żywe cielaki, osiołek o nawet sympatycznym pysku, laciata krowa wypożyczona od rolnika z okolic, coś, co wyglądało na konia, ale stało w nieoświetlonej części i tyłem, więc mogło być czymś innym, oraz dwie kozy i owca.

Obok stajenki znajdował się kolejny plastikowy koszmarek w postaci mikołaja z saniami, worka oraz wielkiej bombki, która świeciła na niebiesko.

Ta miejska moda Tomaszowi się nie podobała, bo plastik był naprawdę paskudny, ozdoby tak tandetne, że aż oczy bolały, i nie dość, że to wszystko było nieekologiczne, to jeszcze żarło prąd.

I miało tę niedogodność, że uświadamiało każdemu boleśnie, że to miasteczko jest nijakie, że z pewnością Paryż to to nie jest, i nawet gdyby im tu ktoś plastikową wieżę Eiffla zainstalował, to też wzbudziłaby jedynie lży wstydu, a nie radości.

Stajenka też trochę nie bardzo mu się podobała. Była pancerna i ogrodzona, bo rok wcześniej jakiś idiota zakradł się do tego przybytku, by wymalować zwierzaki sprayem na tęczowe kolory i na drugi dzień wybuchła awantura, że miasto promuje LGBT, a to tylko jakaś jedenastolatka zanadto wzięła do siebie bajkę o tęczowych kucykach.

Zmarzył. Przez chwilę zastanawiał się, jak dojść do domu – czy krótszą, ale leśną drogą po obrzeżu, czy z drugiej strony, dalszą drogą, ale miastem.

Nie umiał się zdecydować.

Już odchodził od stajenki, która wzbudziła w nim tyle refleksji, kiedy spojrzał na coś leżącego pod kopytami osła.

Portfel?

Wszedł do zagrody, co nie było trudne nawet dla trzylatka, podniósł portfel.

– Iaaa? – zapytał go zwierzak, po czym chwycił jego czapkę, na szczęście nie policyjną, i natychmiast obżarł jej pompon.

– Oddaj! – jęknął Tomasz nieco podpitym głosem. Bez rezultatu.

– Iaaaa – odpowiedział mu osioł i ugryzł go w przyrodzenie, na szczęście kurtka, spodnie i refleks uchroniły go od amputacji.

Zrezygnował z czapki i wyskoczył z zagrody. Pompon na czapce był dla niego o wiele mniej cenny, a osioł wyglądał na złośliwego. Zajrzał do portfela. Na szczęście miał rękawiczki. Na odciski palców nieszczęśliwie liczył, ale to, że był to portfel Karola Maciążka, wydało mu się interesujące.

To było aż za proste.

Ktoś chciał, żeby został odnaleziony?

Z pewnością nie przez niego, bo nie zamierzał tam iść, ale w przypadku nie wierzył.

W portfelu były tylko dokumenty, co też było dziwne. Wręcz fascynujące! Że też nikt ich nie ukradł, choćby dla PESEL-u i lewego kredytu?

Ktoś go zostawił w miejscu, gdzie dość łatwo było go znaleźć, trochę trudniej ukraść, szczególnie przy ludziach odwiedzających zwierzaki, a więc wiązało się to niejako z oddaniem portfela.

Ciekawe, czy znajdowały się w nim jakieś pieniądze?

Ponieważ zabalaganiał przy stajence, a bardzo chciało mu się spać, postanowił iść przez las.

W tej części miasta las właściwie nie był lasem, jeszcze nie był, należało wyjść jakby dalej za miasto, żeby znaleźć się w prawdziwym, może nie dzikim, ale nie jakoś specjalnie udomowionym ideał parku lesie.

Tomasz był ciekaw, kto podrzucił portfel. Na monitoring niestety nie mógł liczyć, bo go zlikwidowano z powodu rozpasanych zachowań seksualnych. Zwierzaki podobno nocą wyprawiały tam cuda. Obawiano się, że ludzie sprawdzający monitoring są narażeni na bombardowanie seksem i zoofilią, to znaczy zwierzęcą zoofilią, bo przecież jak zwierzak ze zwierzakiem, to co to jest, jak nie zoo? A więc ustalono, że jednak nie wolno nikogo narażać, a jak ktoś zechce ukraść osła, to i tak go odda, bo wredny.

A może Karol sam go podrzucił?

Ten pomysł był tak głupi, że aż wydał mu się możliwy. Nie umiał tylko wymyślić po co. Może to miało jakiś związek z Miłką? I intercyzą? Z losem, zgubionym czy też nie? Z milionem, który wygrał?

Miał już dzwonić do Miłki, żeby ją powiadomić o znalezisku, kiedy zobaczył przed sobą Karola.

„Przed sobą” nie znaczyło tuż przed sobą, a całkiem nawet daleko, i to z przodu, tak więc widział chłopaka od tyłu, ale rozpoznał opatrunek na głowie. W święta mało kto się czymś takim chwali, więc to musiał – albo, powiedzmy, mógł być – Karol.

Szedł pospiesznie, jakby się gdzieś spieszył, i co jakiś czas pojawiał się w świetle ulicznych latarni, a potem znikał w dzielących je ciemnościach, bo jako że były to już obrzeża miasta, latarni nie stawiano, jak mawiała Julita, „jak narstał”, ale z rzadka, tylko po to, żeby nikt nie twierdził, że ich nie ma.

Śnieg skrzył się, srebrzył i padał tylko w reklamach. Tu było buro, śnieg nie padał, choć nie można powiedzieć, że nie padało nic. Bo Karol padał, co jakiś czas. Był chyba albo mocno pijany, albo słaby, albo oślepl i wciąż się o coś potykał.

Tomasz nie bardzo wiedział, co robić, śledzić Karola nie miał zamiaru, ale jednak musiał, jego stan sprawiał wrażenie niestabilnego nawet z tej odległości, a nie miał ochoty rano się dowiedzieć, że znaleziono w lesie jakieś zwłoki. Albo nawet te jedne, konkretne, nie jakieś, tylko jego, Karola.

W ogóle zwłoki wyraźnie przedawkował w te święta.

Święta nawet dla policjanta to jakaś namiastka spokoju, rodzinności i bajki. Tym razem się przekonał, że nie istnieją bajki dla grzecznych policjantów.

Nie był w stanie zrozumieć, co wspólnego mają Merlin, Karol i burmistrz. Byli z innych światów, innych sfer i innych kręgów. Nic ich nie łączyło. I dlaczego nagle ktoś postanowił ich zamordować? Dlaczego wszystkich trzech?

Oczywiście, jak to się mówi, każda potwora... czyli jakiś potencjalny morderca istnieje dla każdego. Na przykład Merlina zabiła matka Karola, Zenobia Maciążek, za co? Nie ma co dociekać, Karola zabiła (albo chciała zabić) Miłka, tu już wiadomo za co, za intercyzę, a burmistrza na przykład kucharka, bo jej odbiło, ale to zbyt duże zagęszczenie morderców na kilometr kwadratowy Leszyna, tu nawet karaluchów tylu nie ma.

Czyli logiczniejszy byłby jeden konkretny morderca, który łączyłby te trzy sprawy.

Kto?

Zenobia nie, bo chyba nie mordowała własnego syna, a jeżeli, to mogła go spokojnie otruć w domu. Miłka? Nie, bo kiedy kucharka truła burmistrza, ona była z nim razem w salonie.

Kucharka też nie pasowała do wszystkich i nawet gdyby zastosować precudnej urody motyw w stylu „odbiło jej i już”, to i tak nie pasowała.

Czyli musiał to być ktoś inny.

Popatrzył w niebo, popatrzył przed siebie. Popatrzył na podnoszącego się znów Karola i ruszył za nim. Dyskretnie, ale jednak ruszył.

Po chwili kontynuował wyliczenia.

Julita? Była dla niego zagadką, zresztą nie pracowali jeszcze znowu aż tak długo razem, bywała dziwna, jak każdy, mogła mordować, ale dlaczego? Może Merlin jej obiecał małżeństwo? Karol... Padający po raz piąty Karol zawył, ale Julita odpadła. Wpadła na dół do dziury na już poturbowanego Karola. Niby nie wiadomo, jak długo tam leżał, ale pomysł, żeby iść dołem, utłuc go, a potem wpaść górą? Bez sensu. Tyle że...

Uświadomił sobie, że pewne rzeczy są bezwiedne. Wpadanie na pewno do nich należy, i to nie tylko w sprawach damsko-męskich.

Karol wstał, otrzepał się i znów ruszył dalej. Było ślisko, coraz ciemniej, bo latarnie były ustawiane coraz rzadziej, las gęstniał. Tak w tym pochodzie za niedoszłą ofiarą wypełniony przemyśleniami Tomasz zadał sobie sprawę, że weszli w las i że ten las robi się coraz bardziej gęsty, a Karol właśnie skręcił w ścieżkę prowadzącą do jeziora.

Jeziorko właściwie powinno się nazywać bagniorkiem, skoro było zawałone śmieciami, które latem cuchnęły, bo gnily, ale zimą częściowo były zatopione w często zamrożonym akwenu (mówi się, że akwen wodny to masło maślane, ale to nie jest prawda, bo są i inne akwenty, nie wodne i ten właśnie do nich należał). Był to akwen, po zapachu sądząc, moczowy lub moczowo-biegunkowy.

Oczywiście tylko po zapachu sądząc, bo nikt składu nie sprawdzał. Kilku turystów, którzy w pijanym widzie zarykowali kąpiel, gorzko jej pożałowało.

Najpierw o mało się nie potopili, bo pochodzenie tego, pożał się Boże, akwenu nie było naturalne, a poza tym że był naprawdę głęboki, to zatopiono w nim sporo sprzętu posiadającego rury, dziury, druty i inne pułapki.

Jeden dostał egzemy, drugiemu tatuaze się jakoś z wodą pożyły i wyrosła mu na plecach narośl, która świeciła nocą, a jeden stracił zęby.

Nie, wody nie pił, aż takich kozaków to tu nie widziano, po prostu skoczył na główkę i wałnął paszczą w podwodny, ewentualnie podmoczowy korzeń. Ewentualnie pralkę.

Tomasz znał to miejsce, bo czasami mieli tu jakieś interwencje, kiedy dzieciaki coś podpaliły albo sataniści chcieli złożyć ofiarę i ukradli kota z sąsiedniej posesji. Kot na szczęście okazał się potworem i trzeba było ratować satanistów. Z wody i z kocich pazurów.

O ile więc miejsce znał, to lasu nie znał. Nigdy jakoś nie miał okazji tu prywatnie spacerować. A jednak prywatnie postrzeganie różni się od policyjnego.

Gdyby poszedł na grzyby jako on, Tomasz Zatorek, znając siebie, znalazłby kilka muchomorów i kilka kurek, może kozaka czy dwa, ale gdyby poszedł jako policjant, to znalazłby zwłoki, niewypał i minę przeciwczołgową.

Teraz był w stanie połowicznym, ale jednak z powodu Karola bardziej policyjnym.

Nasłuchiwał, sprawdzał, nawet usiłował robić czasami zdjęcia, żałował, że nie zabrał sprzętu do noktowizji ani broni, no ale jako że był pod wpływem, nie bardzo czuł się policjantem. Policja na służbie nie powinna być pijana.

Karol szedł teraz może wolniej, ale lepiej, bo trzymał się drzew.

Nagle przystanął.

Schowany za drzewem Tomasz już liczył na jakieś rewelacje, ale to był niestety tylko mocz.

Po chwili Karol się ogarnął i wyjął komórkę.

– Idę, idę, się ogarnij, co?

Co logiczne, Tomasz nie słyszał odpowiedzi. Mimo wszystko jednak słuchał z zainteresowaniem. I to rosnącym.

– No bo kluczę. Coś mnie śledzi. No dobra, nie świruję, ale śledzi. Naprawdę.

Karol rozejrzał się trwożnie dookoła.

– Nie, policja nie. To coś bardziej makabrycznego.

*

Diabeł usłyszał rozmowę i rozejrzał się dookoła. Nie uważał się za makabrycznego. Co to, to nie! Był przecież przystojnym diabłem. Parsknął wściekle. Parsknięcie, głośne jak bek wieloryba, odbiło się echem po lesie.

– I jeszcze jakaś, kurwa, burza – jęknął Karol do siebie, niepomny, że burze w grudniu zdarzają się nader rzadko.

*

Tomasz, co prawda, nie za bardzo się ukrywał, ale i tak zdziwił się, że został zauważony, toteż informacja, że Karola nie śledzi policja, bardzo go ucieszyła.

Chłopak przez chwilę wsłuchiwał się chyba w jakieś instrukcje.

– Żadna paranoja! – krzyknął do telefonu po chwili. – Żadna, mówię ci! Coś chce mnie dopaść!

Tomasz nawet się ucieszył, bo przecież „coś” to coś innego niż „ktoś”, czyli najzwyczajniej Karol jednak miał paranoję. I ktoś inny też go o nią podejrzewał, a to znaczyło, że Tomasz nie jest w swojej diagnozie odosobniony.

A jednak rzeczywiście coś poruszyło się w krzakach, a że były zeschnięte, przemarznięte i bezlistne, to coś zakrzypiało złowieszczo.

Karol się rozłączył i schował telefon do rozporka.

Był wyraźnie przerażony.

Parę sekund później chciał go wyjąć, ale ten zjechał mu nogawką w dół, chłopak rozejrzał się trwożnie, schylił, wyjął telefon dołem nogawki i wpakował go do kieszeni kurtki.

W oddali, nie całkiem dalekiej, ale jednak trudnej do określenia w sensie odległości, coś łupnęło.

Po tym łupnięciu i telefonie Tomasz stanął przed poważnym dylematem. Nie wiedział, co robić. Śledzenie przestępcy po pijanemu bez wsparcia nie jest dobrym pomysłem.

O ile Karol był przestępcą.

Tyle że jeżeli ktoś wspomina cokolwiek o śledzeniu i policji, to czym ma być, jeżeli nie przestępcą?

Paranoicznym mordercą? To w sumie wcale nie lepiej.

Tomasz przerostu fantazji nie miał, książek nie pisał, ale potrafił połączyć ze sobą kropki rzeczywistości. Po tym połączeniu wyszło mu, że Karol kluczy, bo chce zgubić jakiś mistyczno-paranoiczny ogon, idąc do miejsca, w którym ma się spotkać z jakimś współnikiem w działalności przestępczej.

Wziąwszy pod uwagę ostatnie wydarzenia, musiał to być morderca. Karol, zważywszy na ton wypowiedzi, wyrósł więc niejako na zleceniodawcę albo choć współnika.

I to sprawiło, że Tomasz postanowił nie odpuszczać.

*

– Donata? – Telefon wyrwał z łóżka i tak ledwie żywą dziewczynę, która dopiero co się położyła i miała zamiar spać, tyle że ból twarzy nie pozwalał jej zasnąć, pigwówka przestawała działać, zostawiając pole do popisu kacowi, a tabletka przeciwbólowa jeszcze działać nie zaczęła.

– Słucham? – ziewnęła niezbyt zachęcająco. – Julita?

– No – odpowiedziała dzwoniąca. – Co byś powiedziała na małą akcję?

Julitę z łóżka wyrwała ambicja, całkiem chora ambicja, bo te zdrowe jakoś tak zazwyczaj działają za dnia, a chore przeciskają się do umysłu nocą i robią ludziom krzywdę.

I ta właśnie chora ambicja (zdaje się nawet, że miała podwyższoną temperaturę i dreszcze) stwierdziła, że to jest doskonała okazja, żeby się wykazać.

Jest noc, Tomasz pójdzie spać.

Coś będzie się działo.

I ona, ambicja, i jej Julita na tym skorzystają. Zazwyczaj mówi się oczywiście odwrotnie, Julita i jej ambicja, ale tym razem po prostu to ambicja była ważniejsza. Przerosła właścicielkę. Czuli, że ma pole do popisu.

Skąd jej to przyszło do głowy?

Otóż Julita była przekonana, że coś się stanie. Gdzieś. Albo w kurorcie, albo w domu weselnym, albo w lesie, ale się stanie, a nawet jeżeli się nie stanie, to przynajmniej jej chora ambicja zostanie choć trochę zaspokojona.

Są takie momenty, gdy człowiek nie może sobie znaleźć miejsca, coś go goni po domu, coś każe mu przewidywać katastrofy i czekać na najgorsze. Skręca go w środku i nie daje mu spokoju. Czasami to oczywiście jest sraczka, czasami właśnie chora ambicja.

Julita musiała jednak znaleźć sobie towarzystwo, żeby ta pieprzona ambicja nie narobiła jej kłopotów. Potrzebowała kogoś, kto by ją nieco mitygował.

I ją, i jej ambicję.

Wybór Donaty nie był przypadkowy. Do Tomasz dzwonić nie zamierzała. Z Miłką nie nadawały na tych samych falach, zresztą ona za dobrze znała się z Tomaszem, a więc gdyby coś, to pewnie by mu wygadała wszystko. Donata była bezpieczna. Gdyby coś, to nie miałyby ochoty przywłaszczyć sobie jej sukcesów i była zdecydowanie głupsza od Julity.

Kobiety zawsze wybierają na kumpele albo brzydsze, albo głupsze koleżanki. Jeżeli trafi się pakiet: głupsza i brzydsza, to lepsze niż wygrana w lotto, bo stanowi doskonale tło i potwierdzenie własnej wartości.

– No dobra, to gdzie się spotkamy? – Donata ziewnęła. Nie miała ochoty na żadne akcje, ale nie miała też ochoty siedzieć w domu, w święta, w momencie gdy jej życie legło w gruzach i świat, tak starannie układany, zawałił się z hukiem.

– Przy domu weselnym – rozkazała Julita. – Ile ci zajmie dojście? Dasz radę w dziesięć minut?

Dała radę w sześć.

*

– Babciu, czy ty serio mówiłaś, o tym, że mama... No wiesz, mogła? – Miłka nie podejrzewała własnej matki o morderstwo, choć zdawała sobie sprawę z jej wad i zalet.

– Oczywiście, że serio. Idź spać.

– Ale dlaczego?
– Bo jesteś zmęczona?
– Nie kręć, nie to miałam na myśli.
– Ona chce, żebyś wyszła za tego idiotę, tak? A to znaczy, że albo ma nie po kolei w głowie, albo chce się ciebie pozbyć. Nie widzisz tego?

– No, ale Karol przecież...

– Nie jest idiotą? O to ci chodzi?

– Nie, no jest, chodzi mi o to, że dopiero teraz jakby się okazało, że jest.

Babcia mimo zmęczenia też jakoś nie miała ochoty kłaść się spać.

– Wiesz, on mi się nie podoba, ten los Karola – westchnęła rozdzierająco, co Miłka zrozumiała dość opacznie.

– Że wszystko mu się pogmatwało? Że los tak go źle potraktował?

– Nie o jego los mi chodzi, ale o los. Na loterię. Ten wygrany. Widziałaś go?

Miłka musiała przyznać, że nie, nie widziała. Słyszała od całej rodziny, słyszała od Karola, słyszała od wszystkich, kto wiedział, ale widzieć nie widziała.

– Bo patrz, facet pokroju Karola, który jest skąpy jak dwudziestu Szkotów i krakus razem wziętych, opowiada po całym mieście, że wygrał milion. Co z tego będzie miał?

– Zazdrość. To pewne.

– I milion próśb o pożyczkę, poratowanie, wsparcie. Ludzie, którzy wygrywają, najczęściej, jeżeli mogą, to się z tym ukrywają, a nie trąbią o tym po ulicach. Bo najpierw jest prośba o pożyczkę, potem zawiść, nienawiść... Jakieś porwania, kradzieże, groźby, to nie jest coś, czego pragnie zwykły zjadacz kotletów.

Miłka też o tym pomyślała. Karol nie był typem dobroczyńcy. Przecież biorąc pod uwagę proponowaną intercyzę, nawet z nią nie chciał się dzielić, a podobno ją kochał.

– Czyli co, uważasz, że nie wygrał?

– Sama nie wiem, ale coś mi w tym nie pasuje. Raczej wygrał. Bo jednak rozgłaszanie takich wieści po wygranej jest strasznie niebezpieczne i durne, ale jeszcze gorsze bez niej.

W tym momencie zadzwonił Karol. Jak na zawołanie.

– Czego? – burknęła niechętnie Miłka. – Miałeś iść do domu?

– Idę, idę, się ogarnij, co? – odpowiedział, trochę jakby dysząc.

– Twoja matka to już pewnie świra dostaje, jakim cudem idziesz tak wolno?

– No bo kluczę. Coś mnie śledzi. No dobra, nie świruję, ale śledzi. Naprawdę.

Miłka zachichotała złośliwie. Teraz kiedy w związku z pieniędzmi i morderstwem Karol nagle zaczął pokazywać swoją paranoiczną naturę, nie umiała się powstrzymać od złośliwości.

– Przestań świrować! Słyszysz?! I nie dzwoń. Mam dosyć. Rozumiesz? Może to policja? Pilnują cię, żeby ktoś ci nie zrobił krzywdy.

– Nie, policja nie. To coś bardziej makabrycznego.

*

Julita ubrana na czarno i w zwiniętej na głowie kominiarce, bo miała taką z dziurami na oczy, ale jeszcze jej nie ściągnęła na twarz, czekała na Donatę na parkingu domu weselnego.

– Czyli co robimy? – zapytała niepewnie Donata, bo chłód ją trochę otrzeźwił, ale leki nasenne zaczęły działać, więc była ciut przymulona.

– Interesuje mnie las.

– Zwariowałaś? Drzewa będziesz liczyć, te jak tam liściowe, igłowe, o to chodzi?

– Nie, wcale nie zwariowałam. Tu jest jakiś grubszy przekręt. Chcesz znaleźć mordercę Merlina? To patrz i słuchaj. Gdzie go znaleźli? U tej babki od Miłki. Niby nie one go zabiły, ale kto wie? Nie wiadomo. Tak? Mają konszachty z Tomkiem, a to mi się nie podoba.

Donata oczywiście przytaknęła, nie miała innej możliwości, to, co mówiła Julita, było prawdą.

Tylko że ostatnio życie i Facebook pokazały, że wszystko, co się odpowiednio poda, może mieć wszelkie znamiona prawdy, wcale nią nie będąc.

– I teraz... Ten przekręt. Rozumiesz?

Donata aż takich przeskoków myśli nie miała, więc żadnego przekrętu z morderstwem nie łączyła.

– Jaki przekręt? – Wybałuszyła oczy ze zdziwienia, bo wiele się działo, o wielu rzeczach słyszała, ale nie miała pojęcia o jakimkolwiek przekręcie.

– Jak to jaki? Transportowy! Rozumiesz? Pamiętasz ten telefon i co ona tam tłumaczyła? Że nie wie, że pomyłka. I dla mnie to jest jakiś przekręt, a ty? Wierzysz jej?

Donata wierzyła, choć oczywiście przyznać się do tego nie mogła.

– Jak u nich wcześniej byłam, to też ktoś dzwonił, w tej samej sprawie. Serio. Coś mówiła, że podobno trzy razy dzwonił i coś zgubili w budzie, w lesie – westchnęła – ale to mógł być inny las. Inna buda, inne wszystko. To była pomyłka.

Jednak Julita za nic w świecie nie dałaby sobie odebrać nadziei. Zresztą nadzieja nadzieją, ale wyprawa też była ważna. Zbliżał się Nowy Rok i wszelkie kolejne postanowienia, których robiła sporo, a których od lat nie realizowała, co dawało jej w kość nocami, kiedy sobie wyrzucała, że jest do niczego, że do niczego się nie nadaje, i że skończy jako krawężniczka w Dupiu. Teraz, po raz pierwszy od lat trzech, tuż, co prawda, przed kolejną falą postanowień, których nie umiała nie robić, trafiła jej się wreszcie okazja zrealizowania jakiegoś postanowienia, było to postanowienie sześćdziesiąte siódme sprzed trzech lat i brzmiało „będę odważniejsza”.

Dobre i to.

Weszłyby w kolejny rok z nieco mniejszym bagażem, dlatego rękoma i nogami broniła swojego pomysłu.

– Nie pieprz i po co by do niej dzwonił? Nie, to jest ten las i tam idziemy. Masz latarkę. – Podała dziewczynie reflektor wyciągnięty z plecaka. – Ruszamy!

Wyprawa ciemną, choć może nie późną nocą do lasu to głupota, samotna wyprawa dwóch kobiet nocą do lasu, choć jedna z tych kobiet liźnęła karate, to jednak straszna głupota. Sama wyprawa to już głupota, ale biorąc pod uwagę, że jedna z kobiet uważała, że idąc samotnie do lasu odkryje przekręt, czyli jakkolwiek by patrzeć, przestępstwo, to idiotyzm jakich mało. Bez broni, wsparcia, a nawet bez zawiadomienia przełożonych, kolegów czy kogokolwiek mogła narazić się na przeróżne kłopoty, nie tylko służbowe.

Teraz, obie w kominiarkach zwiniętych na głowie, choć Donata i tak nie byłaby w stanie swojej za bardzo naciągnąć ze względu na ból i opuchliznę, zaopatrzone we wciąż nie włączone latarki, poszły w las. Normalnie jak ogary, bo chciały coś wywęszyć, ale dla jednej, czyli Julity, była to droga do sławy i awansu, w co szczerze wierzyła, dla drugiej, czyli Donaty, była to droga do zrozumienia, kto zamordował jej narzeczonego Merlina, w co równie szczerze wierzyła, dla obu mogła to być też droga do szpitala, a konkretnie na ortopedię, ale w to nie wierzyły ani nawet tego nie wiedziały, choć mogły się przecież tego spodziewać.

Las to trochę miejsce z niestabilną rzeczywistością. Wszystko zależy od tego, kto do niego wchodzi. Jeżeli jest szczęśliwy, las będzie przyjazny, jeżeli nieszczęśliwy, las będzie smutny i przygnębiony, a jeżeli ten, kto tam gdzie, jest przerażony, las natychmiast wyciągnie po niego sękatę rękę gałęzi i zechce go zabić, no albo choć przestraszyć.

*

Diabeł obserwował dwie kobiety nadające się na żony, choć jedna z miejsc strategicznych wydzielala zapach przypominający plastik. Zapach był przyjemnie chrupiący, a żony jednak jeść nie zamierzał. Nie miał ograniczeń co do liczby, mimo to na początek chciał wziąć jedną.

*

Teraz las poczuł się nieco zdezorientowany pomiędzy ekscytacją Julity i przerażeniem Donaty.

Julita chciała właściwie tego samego co Donata, ale to samo nie znaczy zawsze i dla każdego to samo. Julita nie pragnęła sprawiedliwości, ona chciała mordercę złapać z powodu awansu, sprawiedliwości możliwe, że też, ale trochę innej, ona chciała sprawiedliwie dokopać Tomaszowi, pokazując, że jest od niego lepsza. No i oczywiście tak! Morderca powinien zostać osadzony. Donacie awans Julity, możliwy czy też nie, koło implantów pośladowych zwiślał i naprawdę nic jej nie obchodził, ba, nawet o nim nie miała pojęcia, a gdyby miała, też by był jej obojętny, ona chciała tylko dopaść tego, kto zmarnował jej życie i szczęście, i nadzieję na zasobnego męża też, ale trochę się bała. Ona wierzyła w diabła.

Wiara w leszyńskiego diabła, jak każda wiara tego typu, wahała się u ludzi od wzruszenia ramion po chowanie głów w ramiona ze strachu, ale jakoś każdy wierzył. Zjawiska nadprzyrodzone, udokumentowane przez Wikipedię (i podlane YouTube'em) są powszechnie znane i cenione oraz dostarczają pożądanego dreszczyku emocji. Część ludzi jednak wierzy w nie bez zastrzeżeń. Starsi ze względu na słowo pisane, bo skoro o czymś piszą, to musi być to prawdą, młodszy ze względu na modny ostatnio powrót do korzeni, czyli guseł w postaci zaprzeczania wszelkim au-

torytetom w stylu „lekarze mówią, żeby jeść jeżyny, a ludzie zaczynają jeść odchody jeży”. I wszystko jest niby tak, a niby nie tak.

Niektórzy płacą za to życiem, ale najczęściej jest to jednak biegunka.

Z diabłem i Donatą było to samo.

Pewien stan poplątania. Bo skoro mówią, że diabeł jest, to oczywiście go nie ma, ale po coś to mówią i przecież nie po to, żeby ludziom powiedzieć prawdę, no co to, to nie, więc mówią, że jest, żeby myśleli, że nie ma, ale oni wiedzą, że jest, to wierutne kłamstwo, obliczone na jakieś korzyści, więc wiedzą, że jest, ba, jest nawet bardziej i nawet jest groźny, bo gdyby mówili, że nie ma, to od razu byłoby wiadomo, że jest, ale jakiś taki niemrawy, a tak...

Donata się bała. Kombinacja diabła i lasu sprawiła, że zaczęła się trząść, doszło do tego zimno i kac, który powoli wylewał się z każdej trzęźwiejącej komórki ciała, oraz leki przeciwbólowe, które, jak było napisane w ulotce, miały mieć efekty uboczne i coś tam powodować, ale nie przeczytała co.

W sumie miała szczęście. W efektach ubocznych zapisano, że może powodować śmierć.

Niby w prawie każdej ulotce o tym piszą, ale to podobno tylko dlatego, żeby ludzie nie łkali tego jak cukierki, bo to może naprawdę coś leczyć, a jak wyleczy, to apteki splajtują, a tego przecież by nie chciały.

Apteki są po to, żeby leki sprzedawać, bo na nich zarabiają, a ludzie leki kupują, żeby się leczyć. Jeżeli się wyleczą, przestają kupować. I w tym problem. Tak więc leki nie mogą leczyć prawdziwych chorób, bo to by było samobójstwo dla aptek (i firm farmaceutycznych), muszą jednak coś leczyć. Wymyśla się więc specjalne choroby, żeby je leczyć, ale prawdziwych nie leczy się za bardzo (szkoda porządnych biegunek czy krost, są zbyt cenne) i tak toczy się zaczarowany krąg zysków...

– Słuchaj, ale czy my musimy tam iść? – zapytała rozsądnie po zaledwie kilku krokach. Poczuli, że dostaje zespołu bardzo spokojnych nóg, w ogóle nie chciały się ruszyć ani nigdzie iść.

– Nie, nie musimy – odburknęła złośliwie Julita.

– Czyli co?

– Czyli nic! Nie musimy, ale chcemy! Obie. Jak najbardziej chcemy, ty sobie może wyobrażasz, że to jest zły pomysł, że może lepiej, żeby rano, albo żeby policja, albo żeby zaczekać, ale to zawsze tak działa. Rano już nikogo, albo nawet niczego, tam nie będzie, a policja? Wiesz, jak działa policja? Ja wiem, bo sama tam pracuję, będzie tak: zadzwonisz, powiesz, że coś tam, a oni, że mała szkodliwość czynu, sama słyszałam, jak Zatorek tak mówił, a jak zaczekasz, to coś się może stać.

– Ale co?

– A bo ja wiem? Coś, coś dziwnego, niebezpiecznego?

– Jakiś wybuch?

No i oczywiście zła godzina z pewnością się przysłuchiwała konwersacji, albo ktoś inny, ale z pewnością też zły, bo w tej chwili lasem wstrząsnął huk i w niebo wybuchł słup ognia.

Ogień był niebieski, ale nie niebiański.

*

Lucjan usłyszał huk, niemalże go zobaczył, diabeł oczy są o wiele bardziej funkcjonalne niż ludzkie, nawet się ucieszył, że coś miłego się dzieje.

Może tata przybywa?

Oby tylko nie w sprawie żony.

*

Jeden wielki, krótkotrwały, ale bardzo jasny słup ognia i huk taki, że aż echo zaczęło klaskać, a wiadomo, o echo w lesie trudno.

– Szybko! Biegniemy – rozkazała Julita.

*

– Co to za cholerstwo?! – jęknął Karol chyba sam do siebie albo ewentualnie do tego czegoś, co go śledziło.

Przez chwilę się wahał, co ma robić. Wyglądał na zagubionego.

Jako przedstawiciel tej części ludzkości, która lasy szanowała, a nawet kochała, ale wyłącznie na tapetach w telefonie ewentualnie laptopie, bo od nich nie można było złapać kleszczy, jedynie trojana, lasu nie znał.

Teraz kiedy objawił mu się na moment upiornie oświetlony słupem niebieskiego ognia, Karol zrozumiał, że jest w lesie. Tylko to zrozumiał. Niestety, wiedział też tylko tyle. Szedł, klucząc raz w tę, raz w inną stronę i to kluczenie wyraźnie zmyliło nie tylko tego, kto go śledził, a może nawet inaczej: jego zmyliło całkowicie, tamci śledzili go nadal. Było ich teraz kilku, albo kilkoro, widział przez chwilę ich postacie, czarne i groźne.

Nie wiedział, co zrobić, co gorsza, nie wiedział, dokąd iść. Postanowił iść w kierunku ognia.

*

– No ja pierdole! – jęknął policjant. – Fajerwerki? W środku lasu? Przecież oni zaraz coś tam podpalą, trzeba ich natychmiast zapuszkować. Odebrać im niebezpieczne przedmioty palne i wsadzić ich do izby wytrzeźwień, bo bez dwóch zadań są narąbani, nikt takich rzeczy nie robi, nie w lesie, a to było wyraźnie widać, bo na dodatek jezioro bagienne, tam przecież mógł się wytworzyć jakiś gaz.

To mogło wybuchnąć!

Policyjna natura Tomasza załatwiła sprawę po swojemu. Nie, jeszcze nikogo nie wezwał, najpierw chciał sprawdzić sam, co to za idioci odpalają fajerwerki w lesie.

Równocześnie przestał się przejmować Karolem.

*

– Słuchaj, czy my musimy... – Donata usiłowała negocjować swój udział w akcji. Poziom jej asertywności wyraźnie sięgał dna. – Bo widzisz, tam może być ten diabeł.

– Nie może – odparła zdecydowanie Julita.

– Może – odpowiedział domniemany diabeł i przebiegł obok nich.

Donata wyrąbała głową w pień sosny. Odbiła się, usiadła w błocku i zamilkła tak bardzo, że nawet Julita się przestraszyła.

– Diabeł – powiedziała w końcu.

Każdy, nawet najpiękniejszy i najlepszy człowiek wydałby im się w tym momencie diabłem.

*

Zapach plastiku, smakowity i tak dla niego nowy sprawił, że Lucjan podszedł od tyłu do kobiety, tej właśnie rozsiewającej wokół siebie ten cudny kulinarny, diabelsko kulinarny aromat.

Owszem, widelce mu smakowały, ale też wiedział, że nie wszystko, co z plastiku, będzie mu smakowało.

Nie tak dawno temu nadgryzł niebieską plastikową bombkę w rynku i najpierw zaczęło nim rzucać tak, że przeleciał przed oknami drugiego piętra jakiejś kamienicy i wałnął w wieżę ratusza, potem coś wywaliło światło w dwóch dzielnicach miasta, a na koniec dostał pypcia na języku. Pypeć był wielkości orzecha włoskiego i naprawdę mu przeszkadzał.

Dlatego teraz postanowił być ostrożny. Nie był pewien, czy ta pachnąca kobieta jest jadalna.

Kiedy więc wstała, przytrzymując się sosny, podbiegł i ugryzł ją w tyłek.

Donata zawyla.

Nie posmakowała mu.

*

Karol parł do przodu zadziwiająco szybko, wpatrzony w poświatę. Słup ognia już zniknął, ale poświata została, częściowo została też w oczach Karola, co jest częste po nagłym oślepieniu światłem w mroku.

Przebił się przez gałęzie drzew, przedzierał przez nagie krzaki i bezlistne zarośla. Coś mu majaczyło. Najbardziej to, że tam, gdzie ten ogień, będzie też ktoś, kto mu powie, jak wrócić do domu.

Nieważne kto.

Znów wyciągnął telefon.

– Miłka, Miłka ratunku! – wrzasnął. – Coś chce mnie pożreć.

Zaraz za nim kotłowały się dwie czarne postacie.

– Nic cię nie może pożreć – warknęła Miłka, niemiła, bo znów ją obudził. – Diabeł też nie może! Nie jest pieprzonym ludożercą.

– Może! – zawołał i wzbudził popłoch wśród goniących go postaci, coś walnęło, a on wysforował się do przodu, wydarł z kleszczy krzaczastych gałęzi i zleciał do jeziora z wrzaskiem i hukiem.

*

Julita szarpnęła Donatę i zdecydowanie, aczkolwiek niecenzuralnie, zachęciła ją do dalszej drogi.

– Rusz te swoje implanty w odwłoku, to zaraz za tymi krzakami. Widzę coś.

Donata ze swojej teraz już leżącej pozycji widziała niewiele poza pniami drzew i resztkami blocka. Tylek nadgryziony przez diabła bolał ją bardzo, ale ona nawet nie wiedziała, że coś ją ugryzło. Po prostu pomyślała, że jej się implant przesunął albo wybuchł, albo pękł... No ale w lesie nieszczególnie miała ochotę o tym mówić.

– Krowa – burknęła wściekle do Julity. – Idź sobie gdzie chcesz, nawet do piekła! Ja tu zostaję.

Julita rzeczywiście odbiegła.

Donata po chwili usłyszała wrzask tak straszny i huk, że ścierpła.

Niechętnie wstała i powoli, rozcierając obolałe mięśnie i czoło, wyszła z zagajnika. Na polanie rzeczywiście stała jakaś buda. Coś się przy niej hajcowało, nie było to ognisko, były to jakieś pudła, o ile mogła zobaczyć i ocenić to, co z nich zostało.

Włączyła latarkę, która pogłębiła jeszcze ciemność wokół niej, choć punktowo oświetlała całkiem dobrze te miejsca, na które skierowany został snop światła.

To z kolei pogłębiło jeszcze grozę.

Ktoś biegł, ktoś wrzeszczał, ktoś tupał.

– Kto tu jest? – zapytała niepewnym głosem, ale błyskawicznie się zorientowała, że naprawdę nie chce niczego wiedzieć. Niczego, absolutnie niczegośienko.

Jakiś, możliwe, że nieznanym jej głosem odpowiedział grobowo na jej pytanie.

– Ja!

Była to klasyka głupoty, bo każdy „ja” jest „ja”, co wcale nie rozjaśnia sprawy, ale też pokazuje, że jednak ktoś jest i ten ktoś żyje, a więc może być niebezpieczny.

No i to dotyczyło też diabła.

*

Tomasz zdecydowanie nie mógł pozwolić Karolowi się utopić, czego serdecznie żałował.

Snop światła i resztki ognia kusily, by poszedł w tamtą stronę, krzyki Karola i niepewność co do stanu jeziora ciągnęły go w drugą. Bycie policjantem niestety często nie popłaca.

Jeżeli jezioro zamarzło, to Karol powinien sobie poradzić, jeżeli nie zamarzło albo lód był na tyle cienki, że tafla pękła, powinien się utopić i w tym tkwił problem.

Ruszył ewentualnemu topielcowi na pomoc.

Karol znajdował się właściwie przy samym brzegu i był przytomny, ale nic nie zwiastowało łatwego i miłego zakończenia kąpieli. Jezioro było pokopalniane, albo coś w tym rodzaju, a brzeg brzegiem, ale zaraz metr dalej zaczynała się głębia tak imponująca, jakby tu był jakiś lokalny Rów Mariański.

Nie licząc tego, co w tym rowie rezydowało.

Tomasz wezwał strażaków.

Zmarnował cały wieczór. Niczego nie wymyślił, niczego nie załatwił. Do niczego nie doszedł, a teraz jeszcze musiał niańczyć prawie topielca.

*

Sygnal przedzierającej się przez las, jakimiś ledwie zaznaczonymi drózkami, straży pożarnej sprawił, że koło budy zrobiło się najpierw głośno, potem nadzwyczaj cicho.

Donata siedziała w krzakach ze zgaszoną latarką i główkowała, co tam się będzie działo, ale wyjący wóz zatrzymał się gdzieś po drodze.

Co ciekawe, zobaczyła Julitę.

Zresztą nie tylko ją. Do budy wszedł ktoś jeszcze.

Donata wyszła z krzaków. Ruszyła do budy. Już pierwszy krok okazał się bardzo niebezpieczny, zamrażnięte błocko, lekko nadtopione ciepłem niedawnego wybuchu sprawił, że jej noga pojechała jak po mokrej ślizgawce. Ledwie

dostawiła drugą, ale to nie pomogło jej utrzymać równowagi.

– Aaaaaa – wrzasnęła bezwiednie, choć nie chciała wywoływać diabła z lasu ani tym bardziej z budy. Przejechała, wrzeszcząc, metr czy dwa, potknęła się na korzeniu, zrobiła klasyczny młynka rękami.

Nie spodobało się to latarce, którą trzymała. Wywijanie nią nie było proste, ale wkrótce została uwolniona. Donata od latarki, sama latarka też.

Nabrała pędu jak młot, ten do rzutu młotem, ale w wersji pionowej i poleciała ze świstem w okno budy.

I choć buda okno miała, to na szczęście nie było ono oszklone, więc wleciała tylko ze świstem, ale za to bez brzęku.

– Aaaa – wrzasnął ktoś w środku i Donata usłyszała odgłos padającego wora kartofli. Zatrzymała się chwilowo, po czym znów ślizgiem, i to naprawdę nie celowym, podjechała do budy.

Wybuch i płomień musiały być ciepłe, bo dookoła wszystko otoczone było mokrym lodem.

Idealny sposób na złamanie karku albo podstawy czaszki.

Poślizg pod okno budy dał jej ogląd na pewne sprawy.

Julita była lesbijką.

Ona leżała, a jakaś baba pochylała się nad nią i całowała ją w usta!

– A więc o to chodziło! – jęknęła jej dusza, szukając wszelkich możliwych wyjaśnień, bo, co oczywiste, te najprostsze nie przysły jej do głowy. W pierwszej wersji Julita chciała ją sprzedać do babskiego haremu (trudno się dziwić, tak piękne kobiety jak Donata zawsze mają wzięcie), w drugiej była w niej na tyle zakochana, że zamordowała Merlina, żeby ją zdobyć.

Seriale romantyczne często zmieniają ogląd świata u tych, którzy je zbyt długo i często oglądają, czasami trwale szkodzą na mózg.

Donata, wściekła na swoją głupotę i na to, jak dała się podejść i zmanipulować, odczołgała się od budy i ruszyła łasem do siebie.

Całą drogę wyklinała na praktyki seksualne w policji.

Na Julitę i w ogóle na świat.

O ratowaniu ludzi metodą usta–usta nie pomyślała ani razu.

Powrót zajął jej ze trzy godziny. Gonila ją Julita, jakieś trzy inne baby i diabeł, ktoś nawet kilka razy podstawił jej nogę, coś ją ugryzło i gonili ją wściekle dobermany, ale w końcu ostatekiem sił doczołgała się do drzwi domu weselnego i z radości zaczęła płakać.

Potem powlokła się do własnego domu.

*

Pierwszy poranek po świętach wszyscy odczuli nie jako przebudzenie czy nawet kaca giganta, ale jako próbę powstania z martwych.

Byli ledwie żywi. Miłka bombardowana telefonami przez Karola spała bardzo źle, Karol ledwie przeżył kąpiel w lodowatym bagnisku i odwieziony rano do domu matki telepał się złożony gorączką, obawiając się, czy nie odmroził sobie tego i owego, choć cieszył się, że jednak ciepła kurtka jakoś tak się w lodzie zaklinowała, że wpadł tylko do polowy.

Donata, która do domu wróciła nad ranem, była wycieńczona i wykończona oraz przerażona kwestiami dentyścymi, na które (w pewnym sensie na szczęście) nie miała pieniędzy.

Była dentofobiczką, wolała sześć operacji nosa i dwie cycków niż jednego dentystę.

Tomasz pojawił się na posterunku nawet z pewnymi oznakami rzeźkości, bo kaca nie miał, ale i wściekłości, bo Julita znów się spóźniła, a on chciał z nią przedyskutować niektóre dręczące go tematy.

Postanowił wpaść do Miłki, a po powrocie zająć się Julitą i jej spóźnieniem. Był służbistą, jednak w tym wypadku pomyślał, że po prostu zabalowała, więc odpuścił jej te piętnaście, dwadzieścia minut, a gdyby spóźniła się więcej, opieprzył ją, ale polubownie. W końcu okres świąteczny łagodzi obyczaje.

*

– Kawy – jęknęła Miłka, pojawiając się w salonie, gdzie babcia już usadziła Tomasza. – Debil mnie katował przez całą noc durnymi telefonami.

– Mniej więcej znam sprawę, o mało się nie utopił w jeziorku.

– Skąd się tam wziął? Miał iść do domu.

– No zgubił się, jakim cudem wylądował w lesie, nie pytaj. Nie wiem, ale wylądował. Może był nawalony, a może to uderzenie w głowę go tak zaćmiło. No ale współczuję. Jakiś strasznie nieogarnięty jak na faceta, żeby po nocy dzwonić do swojej dziewczyny, żeby go z lasu ratowała? No... Przerąbane.

– Nie jestem jego dziewczyną – westchnęła Miłka bez żalu, co bardzo ucieszyło Tomasza. – W sumie nie jestem od niedawna, ale już nie będę. Ten numer z intercyzą trochę mi dał do myślenia, a to wczorajsze jeszcze bardziej, on potrzebuje niańki, ewentualnie matki zastępczej, a nie żony czy partnerki. Niech sobie zeżre tego miliona sam.

– No ja właśnie rano przemordowałem pół internetu i nigdzie nie odnotowałem ostatnio takiej wygranej w okolicy, ale fakt faktem, nie wszystko jest w sieci, a jeżeli nawet jest, może źle szukałem. To był lotek? Jakaś zdrapka?

Nikt tego nie wiedział.

– Ale dlaczego tego szukałeś? – zdziwiła się Miłka.

– Właściwie sam nie wiem. Na kursach mówiono nam, że przypadki nie istnieją, że wszystko trzeba sprawdzać i że czasami najdrobniejszy szczegół, włókno, paproch, cokolwiek może mieć znaczenie.

– Czekał, przecież ty go nie podejrzewałeś? Prawda? – Miłka łyknęła odrobinę kawy i aż się skrzywiła. Była za gorąca.

– Nie, no oczywiście, że nie – odpowiedział – ale trochę tak – dorzucił po chwili – no bo to jakoś wszystko się miesza. Wszystko. Dom weselny i wasz salon, wasza rodzinna wigilia i ten park. Ta jego wygrana też. Ten Merlin, z którym na pewno jakoś się znali. A ta jego matka? A potem ta wyprawa do kurortu? Co on tam robił?

– Podobno chciał ratować matkę.

– Której tam nie było. Dziwne. Mógł kłamać. Muszę zadzwonić do Julity, miała przejrzeć filmiki wróżebne Merlina – dodał, przypomniawszy sobie, że trochę jakby zapomnieli o denacie.

Julita nie odbierała ani prywatnego, ani służbowego telefonu. Na posterunku powiedziano mu, że się jeszcze nie zjawiała.

– Do filmików to ci Julita nie jest potrzebna, sama wczoraj z babcią przejrzałam ze trzydzieści, o tu masz. – Podeknęła mu przyniesiony naprędce laptop pod nos.

– I co? Jakieś wnioski?

– Ja tam to nie wiem – tym razem odezwała się babcia – nie jestem za bardzo zorientowana, ale to dla idiotów. Takie pieprzenie o dopływie energii, o czekającej na kogoś gotówce, o miłości mało, ale też.

Puścili sobie pierwszy lepszy filmik.

Merlin w jakimś egzotycznym stroju, wypacykowany na egzotycznego guru, czytał pytania z laptopa, a potem na nie odpowiadał.

Pani Zofio, proszę się nie martwić, mąż się znajdzie w odpowiednim momencie i przeprosi – powiedział jakiejś „pani Zofii”, przekładając karty. Po chwili na dole ekranu pojawił się wpis chyba tej samej kobiety, że owszem, ale ona pytała nie o męża, tylko o testament, który zaginął.

Pani Zofio, proszę się nie martwić, znajdzie się w odpowiednim momencie – powtórzył wróż i zablokował panią Zofię.

Przyływ energii czeka na was dziś w nocy – powiedział po chwili – wszyscy, którzy pragną, będą zadowoleni.

Pani Katarzyna powinna zmienić pracę. Karty mówią, że najwyższa pora zadbać o siebie.

Stan gotowości dla osób pragnących wielkiej gotówki. Dziś jest ten dzień.

Pan Kazimierz pyta, jakie liczby skreślić.

Nieważne, ale trzeba spróbować.

– To jest bez sensu – stwierdziła Miłka.

– Jest – zawtórował jej Tomasz. – I on za ten bełkot coś zarabiał?

– To chyba tylko Donata może wiedzieć. To znaczy inni pewnie też, ale w okresie świątecznym niewiele się dowiemy oficjalnymi kanałami, co ktoś ważniejszy, to bierze urlop, tylko tacy jak ja siedzą w pracy – zauważył Tomasz. Zadzwonili do Donaty. Była w rozsypce – fizycznej i psychicznej.

– Dziś nigdzie nie wychodzę, ale jak chcecie, to przyjeździe. Jestem tak opuchnięta, że wolę się na ulicy nie pokazywać.

*

Mieszkanie Donaty było zaprzeczeniem jej samej. O ile ona, jej kształty i ciuchy były znaczne, bogate i obfite, o tyle mieszkanie, poza jedną ścianą i łazienką, nie było umeblowane prawie zupełnie.

Zaraz od wejścia postawiła ich pod ścianą i zrobiła im zdjęcie.

Ściana była czysta, piękna, pomalowana, z lustrem w złoconej ramie z aniołkami przyklejonymi gdziegdzie, z gwiazdkami, a także z girlandami sztucznych kwiatów. Obok stał stojak, na którym kwitło kilka także sztucznych roślinek. Z drugiej strony wisiała półka na bibeloty.

Reszta mieszkania była bura. Była jaka. Meble ze sklejk, dywanik z resztek, łóżko ciut barłogopodobne. Niezasłane.

Dwa krzesła i stolik szybko wylądowały pod reprezentacyjną ścianą, tam ich usadziła i znów zrobiła kilka zdjęć.

– Na insta, tylko dodam świąteczny filtr i trochę czerni, bo żałoba, nie?

– Nie, proszę skasować. Jestem policjantem i nie będę się tarzał po instagramach. Mowy nie ma! Poza tym przyszliśmy zapytać o zarobki pani narzeczonego. Miał jakieś?

Okazało się, że zarabiał, i to sporo, choć Donata nie wiedziała dokładnie w jaki sposób.

– Tym wróżeniem?

– Nie wiem, nie pytałam. Czy to istotne? Po prostu miał i już, to było widać. On nie tylko ciuchy miał ekstra, ale nawet slipy bez dziur! – oświadczyła, jakby to była jakaś wykładnia zamożności.

Slipy bez dziur wydawały się Tomaszowi czymś naturalnym, ale delikatnie zwrócił na to uwagę.

– Ja też mam bez dziur, i co z tego? Też jestem bogaty?

– Nie no, to inny układ. Zupełnie. Nie ma co porównywać. Tak jak Julita, ona niby w porządku, ale nawet ust sobie nie robiła, to widać od razu. No ale może dlatego, że ona jest nie teges. Znaczy...

– Jak to nie teges?

– Żebyście widzieli to, co ja wczoraj w nocy, tobyście osłupieli! – zawołała. – Jak ona się w tej budzie z jakąś babą całowała, to aż się przestraszyłam!

– W jakiej budzie? – zapytał Tomasz niepewnie.

– No tam w lesie, jak poszliśmy, co wybuchło. I potem, jak zobaczyłam, to sobie poszłam.

– A ona tam została?

– No! Nie do uwierzenia! Wyciągnęła mnie na to zadupie, a potem musiałam wracać sama! Sama samiuteńka, bo o mnie całkiem zapomniała, i jeszcze się całowała. Okropne, nie?

Tomasz wybiegł z mieszkania, jakby go ktoś gonił.

*

Julita obudziła się i nie wiedziała, gdzie się znajduje. Było ciemno. Zimno i śmierzdząco. Nie za bardzo pamiętała, gdzie w ogóle może się znajdować, ostatnie wspomnienie, które przyszło jej do głowy, to kurort i dzieża z ciastem.

Przez chwilę usiłowała poruszać rękami i nogami, ale nie dała rady.

Pamiętała, że ktoś powiedział, że wróci. Nie była pewna, czy powinna się z tego cieszyć.

*

Tomasz wraz z Miłką podeszli, a właściwie nawet podbiegli, na posterunek.

Mimo wielkiej nadziei nie zobaczyli tam Julity.

Wsiedli do radiowożu. Potrzebowali też kierowcy, bo Tomasz nie wiedział, czy może już prowadzić, a kłopotów nie chciał.

Oczywiście nikt by go nie zatrzymał i nie poddał badaniu alkomatem, ale wołał nie ryzykować, czasami lepiej dmuchać na zimne, a poza tym potrzebny mu był jeszcze ktoś. Przeszukanie budy mogło być niebezpieczne.

*

Do budy w lesie dało się dojechać, ale było to utrudnione.

Wysiedli więc tam, gdzie poprzedniego dnia zatrzymała się straż pożarna ratująca Karola, i stamtąd poszli pieszo.

Milce kazano czekać przy samochodzie, bo jej obecność w miejscu, gdzie mogło być niebezpiecznie, nie była Tomaszowi potrzebna, w ogóle Miłka akurat teraz do niczego nie była mu potrzebna, bo posterunkowy Pastusiak, który służył im za kierowcę, zaczął się niepokojąco czerwienić na jej widok, jąkać, dukać i gadać głupoty.

A Tomasz w stosunku do Miłki miał pewne osobiste plany i nie chciał, żeby Pastusiak mu bruździł. Problem był poważny, bo o ile Tomasz, jak to mówią, nie wypadł sroce spod ogona, to jednak Pastusiak był naprawdę przystojny.

Był przystojny bardzo, aż za bardzo, i do tego jeszcze inteligentny, a to się mogło skończyć źle.

Milka nie miała w tym momencie zamiaru interesować się facetami, bo jednak dopiero chwilę temu straciła na zawsze długoletniego partnera, a jego utrata bardzo poważnie nadszarpnęła jej wiarę we własne zdrowe zmysły i inteligencję, ale na wdzięki męskie obojętna nie była. Szczególnie te w mundurach.

Nie mając co robić, zadzwoniła do Donaty.

– A co wyście tu w ogóle robiły w nocy? – zapytała, chcąc się zorientować, po co przyszły, bo w lesbijską randkę Julita nie wierzyła.

Owszem, Julita mogła być zainteresowana kobietami, w końcu to żaden problem, ale skoro tak, to po co na randkę zabierała Donatę? Dlaczego randka miała mieć miejsce w rozwalonej budzie, w lesie, zimą?

– W co była ubrana? – dorzuciła z ciekawości, gwoli sprawdzenia randkowego charakteru wyprawy.

– W kominiarkę – oświadczyła Donata.

– I w kominiarce szła na randkę? – Milka roześmiała się.

– A czemu nie? Mogła... I jeszcze coś mówiła o przekręcie takim transportowym.

Przekręty transportowe wymagają kilometrów, a więc dalekich tras. Kierowcy mogą oszukiwać na różnych rzeczach, ale żadnej z tych rzeczy nie można było znaleźć w lesie. Nie tutaj. Paliwo? Odpadało, autostrady, wiadomo, więc co to za przekręt? I jakim cudem transportowy, skoro tam nawet porządnego dojazdu za bardzo nie ma?

– I to miało coś wspólnego z morderstwem? – upewniła się na wszelki wypadek.

– Jakby tak i jakby nie, to znaczy raczej tak, ale nie wiem. Ona to chyba tak myślała, ale ja to nie wiem. Naprawdę.

– Czy wyście się kochali? – wypaliła nagle ni z tego, ni z owego, bo przyglądając się od samego początku zachowaniu Donaty, nie była w stanie tego wyczuć. Zastanawiała się, jak to się miało do niej i do Karola, czy oni się kochali?

– No oczywiście – odpowiedziała pospiesznie Donata. – To była wielka miłość, ja nawet byłam o niego zazdrosna. Raz to zrobiłam mu awanturę, jak poszedł do lasu z kimś, no z taką jakąś babą. Do tej budy poszli, ale Merlin się takimi budami nie interesował, to od razu się przestraszyłam, że zainteresował się babą, ale powiedział, że to interesy i żebym się przejmowała.

Milka zakończyła rozmowę i poczuła się całkowicie upoważniona do ruszenia śladem policjantów. Merlin tam był. Musiała im o tym donieść. Nie mogła zadzwonić, bo w trakcie akcji telefon może przeszkadzać, przynajmniej tak to sobie tłumaczyła.

Na to, że ona też może przeszkadzać, nie wpadła.

*

Buda była pusta. W momencie kiedy Milka podeszła do okna, zobaczyła tylko Tomasza i tego drugiego policjanta, jak rozglądali się po kątach.

Nic tam nie było.

Buda nie miała drzwi, tylko otwór, omalże gębowy, bo wyglądał jak wielka, otwarta, nieco niekształtna gęba.

– Donata ma nie po kolei w głowie – stwierdziła Milka i weszła do budy. – Julita miała tu mieć randkę? Przecież tu jest pusto – dodała, rozglądając się, jakby chciała samej sobie uzmysłowić bezsens tego pomysłu, a potem nastąpiła na deskę podłogi.

Oczywiście cały czas stała na deskach podłogi, ale teraz nastąpiła dokładnie na jedną konkretną, która się ugięła, świsnęła, oderwała od reszty desek z drugiej strony i rąbnęła Tomasza w plecy.

– O ja pierdołę – jęknął. – Przestań, zabijesz mnie! – Odskoczył. – Miałas czekać przy samochodzie! Nie powinno cię tu być! W ogóle! Gdybyś tu nie weszła, nie byłbym cały poobijany!

Zamilkł. Milka też milczała, ale ona nie odzywała się, bo usiłowała wyciągnąć nogę z dziury.

– O ja pierdołę – powtórzył Tomasz, ale już z zupełnie innego powodu.

Oderwana deska odsłoniła ciemną, pustą przestrzeń pod podłogą.

Buchnęło stęchliźnie, a światło latarki wyluskało w dziurze jakiś ciemny kształt.

Los bywa zaskakujący. Wielu ludzi odbiera go właśnie tak: gdyby coś, to coś. Gdybym kupił los, tobym wygrał, albo gdybym nie wszedł do tej kawiarni dwadzieścia pięć lat temu, nie poznałbym swojej przyszłej żony i byłbym bardzo szczęśliwym człowiekiem, ale to tak nie działa. Cokolwiek los zaplanuje, to zrealizuje, a człowiek nie ma na to żadnego wpływu.

Obaj policjanci łazili po tej podłodze i tak samo mogli odkryć dziurę.

Tyle że ich buty były o wiele za duże na to, by przypadkiem stąpnęli na tę jedną jedyną deskę w odpowiednim miejscu tak, żeby nie zawadzić o inne i sprawić, żeby się podniosła.

Teraz obaj policjanci zrywali kolejne deski, żeby zobaczyć, co dokładnie tam się znajduje. Nie była to duża przestrzeń, ale istniała. Można powiedzieć, że była o wiele bardziej dopracowana niż cała buda.

To tak jakby do rozpadającej się rudery dodać elegancką piwniczkę. Ta elegancka może nie była, duża też nie, ale za to bardzo porządnie zabezpieczona.

*

Kobiety rzadko leżą ot tak w miejscach publicznych, albo nawet niepublicznych, ale jeżeli już leżą, to trzeba się im chociaż przyjrzeć.

Diabeł zrobił to z wielką przyjemnością, tym bardziej że ta akurat nie pachniała plastikiem.

Była duża. Była kobietą dorodną, rozłożystą, biuściastą i dupiastą, ale właściwie nie była gruba, była piękna, miękka i kobieca jak diabli, a nawet wszyscy diabli i diablice.

Diabeł pomyślał, że jest urodziwa, taka, która na pewno coś mu urodzi. Jeżeli nie dzieci, to choć diablęta, bo do ludzkich dzieci miał ostatnio spory uraz.

Zakochał się bez pamięci. Natychmiast, choć to ona była nieprzytomna, to on zakochał się bezprzytomnie.

Momentalnie ją podniósł i zataszczył do swojego przytulnego bunkra, który od budy oddalony był ledwie o kilka metrów.

Nawet nie musiał jej związywać, ktoś to załatwił za niego. Ułożył ją na zasłanej starym mchem podłodze i obiecał, że przyniesie jej coś pysznego na kolację. Dobrze, że była nieprzytomna, bo wizja pieczonego szczura wyrwałaby z niej wszystkie wnętrzności.

*

I wtedy właśnie usłyszeli jęki dochodzące z bunkra.

Bunkier nie wiadomo czym dokładnie był, bo może nawet nie był bunkrem, ale jakąś piwnicą, czymś, co pozostało po starych budynkach, tego nikt nie wiedział.

Jęki były sugestywne.

Bunkier, odległy zaledwie o kilka metrów, choć ciemny zazwyczaj i cichy, służył raczej za szalnię niż za cokolwiek innego, ale że mało kto tu docierał, to i kup nie było aż tak wiele.

Podbiegli tam, porzuciwszy poprzednie interesujące, choć puste znalezisko.

Weszli w ciemność otworu, który jakoś wyląził z ziemi, i omietli latarką kłębowisko pajęczyn, zdecydowanie trochę porwanych i jakby poniszczonych.

Na kupie szmat i papierów leżała Julita.

Miała związane ręce i nogi, oraz trochę zabezpieczone usta, była zziębnięta i ledwie żywa, ale żywa. Dygotała.

Julita, związana i na wpół żywa była naprawdę ucieszona, ponieważ udało im się ją odnaleźć.

Kto i dlaczego ją tam przyniósł? Kto ją związał?? Czy była to niedoróbka, czy zostawiono ją celowo? Żeby zamazła, czy żeby ją stąd gdzieś zabrać? Ale dlaczego w bunkrze, a nie w budzie?

A może miała tu po prostu umrzeć?

Całkiem możliwe, że było to morderstwo, takie odroczone, ale morderstwo. Tylko za co, ktokolwiek miałby zabijać Julitę?

*

Wieczorna narada w domu Miłki była podyktowana koniecznością zjedzenia kolacji, a ani Tomasz, ani Miłka nie mieli głowy, żeby samemu się teraz zajmować czymś tak prozaicznym jak gotowanie, za to babcia Miłki wiedziała, że pokusy (i rozkosze) stołu czasami dobrze wpływają na wszystko inne.

Julita została wyłączona, bo przebywała w szpitalu i to sprawiło, że Tomasz niejako zagnieżdził się w domu babci Miłki na stałe. No prawie.

Nie miał nawet jak Julity przesłuchać, bo tabun lekarzy i pielęgniarek zabronił mu dostępu do poszkodowanej.

Miała coś z głową, i to nie w tym popularnym sensie, ale w prawdziwym, jakieś rany, a może i coś gorszego, a to wymagało natychmiastowego sprawdzenia.

Ona też nie chciała mówić, bo najpierw musiała uzgodnić zeznania (ze sobą samą), czyli zastanowić się, dlaczego, po co i jakim cudem tam polazła nocą, oraz trochę się służbowo wybielić, bo jej akcja nie była czysta jak łąza.

Owszem, jako policjantka była też kobietą, a nawet człowiekiem, więc miała prawo chodzić gdzie jej się podoba i kiedy ma na to ochotę, poza oczywiście służbą, ale poszła w miejsce tak niebezpieczne i chyba w jakiś sposób związane ze śledztwem, a to wymagało wyjaśnień.

Zwyczajnych: „poszłam, bo co środę tam chodzę” albo „miałam tam spotkanie z dilerem od szminek”, albo „wiodło mnie światło czarnej kiecy, tfu, świecy”. Cokolwiek, ale to cokolwiek musiała wymyślić.

Gdyby chociaż wiedziała, co się stało z Donatą, wtedy mogłaby jakoś to sobie poukładać, bo jeżeli krowa powie wszystko jak na spowiedzi, to będzie kłopot.

Karol w tym czasie dostał polecenie, by się wyprowadzić z mieszkania Miłki, ale odmawiał współpracy, twierdząc, że wyrzucanie rannego i zmuszanie go do takiej harówki to objaw bezsercowatości.

Jego matka oczywiście nie miała zamiaru go wyprowadzać, bo liczyła na powrót dawnych dobrych czasów, tylko w nieco zmienionej formie, a Miłka miała to gdzieś.

Babcia też chciała być w centrum akcji, więc zapowiedziała kolację poświąteczną z wszelkiej maści świątecznych resztek, niestety sezon na „zjedz, bo się zmarnuje” już się czał za rogiem, bo chwila moment i po sylwestrze trzeba będzie jakoś te wszystkie frykasy wyjeść. No bo przecież nie wyrzucić, a frykasy nieco za długo przetrzymane w lodówce dostają pewnej obrzydliwej ślizgowatości i mają wiele wspólnego ze starym serem i komnatą biegunkowych tajemnic.

Salatki podchodzą wodą, pierogi pleśnieją, bigosy kisną, a mięsa, nawet te pieczone, zaczynają przypominać podszwę buta, który wdepnął w coś już raz przeżutego.

Chcąc tego uniknąć, rzuciła się do kuchennego maratonu i z wielkim oddaniem biegała tak z obciążeniem w postaci półmisków na trasie kuchnia-salon.

– Czyli kogo mamy? – zapytała, stawiając na stole pieczeń i inicjując bieg ku lodówce po chrzan.

– Mamy zamordowanego Merlina, który wędruje pośmiertnie i z przeszkodami. Już wiadomo, że po tym, jak go zostawiłyście w parku, trzech idiotów zanosło go do kuchni, a jakaś kucharka, myśląc, że się nawalił, kazała go

przesunąć z przejścia, więc wsadzili go do chłodni. Przyznali się, sami przyszli. Myśleli, że się napił, ktoś mu żart zrobił z tymi dziwnymi ciuchami i chcieli go od wstydu ratować. Taka męska solidarność. Byli napruci, bo pasterkę zamiast w kościele spędzili w krzakach.

– A co znaleźliście w chłodni?

– Chłodnia ukazała nam się jako istne miejsce pielgrzymek. Dosłownie. Wszyscy tam chyba byli, bo odcisków całe multum, ale odciski nie mają daty produkcji. Nie można powiedzieć, poza nielicznymi wyjątkami, kiedy powstały, choć czasami, jak się nakładają, można ustalić, które były pierwsze, ale nic więcej. Dodatkowo Merlin był na wpół żywy.

– Nie, no martwy. Martwy był, przecież sam mówiłeś?

– Martwy to potem, ale najpierw się nawalił, nażarł się jakiegoś dopalacza czy co? W każdym razie, jak go duszono, to nie mógł się bronić. Pewnie nawet krzyczeć nie mógł.

– Uduśzono go gdzie?

– I w tym kłopot, że wszystko wskazuje na chłodnię.

Taki scenariusz do niczego nie pasował. Skoro u Miłki był martwy, a nawet w parku był martwy, to jak to się stało, że ożył w chłodni tylko po to, żeby ktoś go tam udusił?

Może było tak, że nie żył, ale jakoś zaczął się z tego niezycia budzić, ocknął się, a ktoś, widząc wstającego trupa, szybko go udusił ze strachu, że się zzombifikuje?

Można by powiedzieć, że niska zdecydowanie temperatura mogła jakoś go otrzeźwić, ale to nie był lipiec, na dworze też było zimno, pomysł ze „świętecznym cudem” również wykluczili. Nie że nie lubili hollywoodzkich rozwiązań, uwielbiali je, w filmach się sprawdzały, ale niestety tylko w filmach.

Babcia usiłowała sobie wszystko poukładać pomiędzy jednym transportem dóbr jadalnych, jeszcze (choć już tylko chwilowo) jadalnych.

– Czyli u nas ciągle żył! My go tam zataszczyliśmy i dałyśmy mordercy jak na tacy? O to chodzi?

– No właśnie nie, ślady po waszej saneczkarsko-samochodowej działalności są pośmiertne, więc u was był już martwy.

– I nagi?

– Jezu, ale dlaczego?

Tomasz w tym momencie wzruszył ramionami z pewną dozą dezynwoltury.

– Żeby śladów nie było? Mógł mieć jakieś na ubraniu.

Nagość nie jest stanem naturalnym, choć jest jak najbardziej właśnie stanem naturalnym, ale nie w przestrzeni publicznej, nie na ulicach, w szkołach, nie w pracy, w domach też raczej już nie, bo jednak dzieci patrzą, no chyba że we własnym łóżku. Żadnego łóżka w chłodni nie znaleziono.

– Ale ubranie zostało w chłodni? – drażyła babcia. – To w takim razie co ze śladami? Przecież zostały, tak więc na nim czy pod regalem, wszystko jedno.

– No właśnie.

– Może to była kwestia czasu? Ktoś coś kombinował na szybko? Z drugiej strony... Może miał być znaleziony u was, więc chłodnia nie miałaby z nim nic wspólnego i byłaby doskonałym miejscem na szmaty.

– To nie były szmaty. On był bogaty, ciuchy pewnie drogie? I tak to dziwne. Ktoś by znalazł pod szafą markowe, prawie nowe dzinsy i co? Przecież by komuś pokazał, a od tego do identyfikacji właściciela mogło być całkiem blisko.

– A w ogóle skąd on się wziął? W sensie, w tej chłodni, kuchni, w ogóle w tym domu weselnym?

Tego nikt nie wiedział. Wiadomo było, że od kilku dni przebywał w kurorcie i tam szykował się do ślubu. Nie miał rodziny, więc na ślub zaprosił tylko znajomych i kilka osób z miasta, w tym burmistrza i Lalinę, ale nic więcej nie wiadomo.

– W kurorcie miał jakieś zabiegi upiększające i te sesje z ciastem i z Donatą, to wynika z grafiku. Nikt nic więcej tam nie wie. Co prawda, Lalina twierdziła, że wynajmował u niej pokój, ale ostatnio nie, ale potem stwierdziła, że teraz to nie wynajmował, tylko był jako jej prywatny znajomy, i to ledwie trzy dni do ślubu.

Babcia, teraz już po maratonie salonowo-kuchennym, robiła „bączki” dookoła stołu, krążyła po salonie, podtykając Tomaszowi co lepsze kąski i poszeptując coś z Miłką.

Była wychowana tak, że nie umiała usiedzieć. Nie wyobrażała sobie, że siedzi, a goście zabrakło soli albo szamponu przeciwłupieżowego. Czegokolwiek. Ona musiała temu zapobiec. Temu brakowi, nadmiar był dopuszczalny, a nawet ze wszech miar pożądany.

Lepiej, żeby gość rzygał z przejedzenia niż z głodu.

– No przecież on miał prawo tam być, w tym domu weselnym, pozał się Boże, bo to taka trochę hołobla po markecie, ale miał prawo – powiedziała w końcu. – Następnego dnia miał być tam jego ślub, może chciał zobaczyć, jak to się tam odbywa? Mógł się umówić z Donatą. Choć jak na gusta... No nie wiem, kto to wybierał, bo są o wiele lepsze i bardziej eleganckie przybytki, więc albo bogaty, ale skąpy, albo idiota.

Do Miłki wypowiedź babci dotarła połowicznie, bo trochę też świadczyła o stosunku do jej własnej matki, która to miejsce wybrała na przyjęcie wigilijne dla rodziny.

– Nie, babciu, nie powinien tam przychodzić, po co? Po co w trakcie obcej imprezy? Mógł w dzień – odpowiedziała, pomijając ostatnie zastrzeżenie.

– Mógł, ale nie chciał, pewnie sprawdzał akustykę, światło, atmosferę? Tego by nie zobaczył w dzień, takie rzeczy widać tylko w czasie imprezy, a poza tym w dzień tam jest zamknięte. Tyle że na trzy dni przed ślubem? Nawet dwa? Czy to sprawdzanie nie było ciut musztardopobiednie? Musieli już chyba wszystko pozalać i zapłacić spory za datki.

– Rzeczywiście. Mógł się umówić z Donatą.

– I Donata mogła go zabić. O! – stwierdziła babcia.

Tomasz z zadowoleniem nałożył sobie kolejną porcję pieczeni.

– No, mogła, fakt, tylko po co? Nie przed ślubem. Nie zabija się kury znoszącej złote jaja!

– Były sobie kurki trzy i gęsiego sobie szły – mruknęła babcia ze złośliwą miną.

– Że jak? – Miłka aż się zakrztusiła kawałkiem pieczeni z chrzanem, który, zrobiony według najlepszych receptur, był tak ostry, że teraz usiłował jej wyrzeć krtań i wewnątrz nosa oraz zagnieździć się w zatokach czołowych.

– Przecież Merlin nawet owszem, był bogaty, był w jej zasięgu, ale może pojawił się ktoś bogatszy? – Babcia zaczęła snuć swoją baśń o zachłannym kopciuszką, który zatłukł pantofelkiem niewłaściwego księcia.

– Kto? – rzucili wszyscy jednym pytaniem, czekając zachłannie na odpowiedź.

– Karol? – dorzuciła staruszka nawet odrobinę złośliwie.

– Nie no, babciu, wiem, jest do dupy, ale żeby wszystko, co złe, to zaraz on? No nie świrujmy!

Miłka z Karola już się wyleczyła, poszło błyskawicznie, nie dlatego że z kwiatka na kwiatek, czy łatwo zmieniała obiekty uczuć, co to to nie, ale była wrażliwa na punkcie swojej własnej inteligencji, a zachowanie Karola sprawiło, że poczuła się idiotką do kwadratu, sześciopaku i księżycą.

Hołubiła kogoś przez lata, dzieliła się wszystkim, żyli jak stare i (chwilami) dobre małżeństwo, korzystał ze wszystkiego, a nagle zażądał intercyzy? Bo nie mają ślubu?

– Przecież nie twierdzą, że on ją, a ona jego – uściśliła babcia – zresztą chodzi o pieniądze, nie o morderstwo, rozumiesz? Zobacz: Merlin coś ma. Może nawet sporo. Ile? Nikt nie wie. Karol też coś ma, prawie milion, tak? Może to się jej wydało warte zachodu? Może było tego więcej niż u Merlina?

– No nie, pani ma rację! – ucieszył się Tomasz. – To się trzyma kupy! Wszystko się trzyma kupy! Mogła go zabić!

– Nie była nawet jego żoną! Po cholere miała go zabijać? Mogła odejść.

– No, może by odeszła, ale jakiś smród by został? Karol by nie chciał się z nią wiązać? Różnie to bywa, że niby przechodzona? A tak, zabiła, a prawie wdowa to jednak prawie wdowa. A kto wie, czy Merlin czegoś na nią nie zapisał?

– Babciu, ale przecież mówiłaś, że to mama!

– Oj, ty wszystko mylisz! Mówiłam, że mogła, nie że na pewno to zrobiła.

Tomasz przez chwilę zastanawiał się nad tym, co powiedziała babcia.

– Tyle że gdyby to była Donata, to po co tłukłaby Karola? Nie powiecie, że to przypadek, bo w życiu nie uwierzę.

– Pomyłka? – Miłka powoli przyzwyczajala się do wizji Donaty za kratami.

– W jakim sensie? – Babcia też usiłowała nagiąć wszystko do swojej teorii.

Obie podobne były teraz do twórców teorii spiskowych, którzy potrafią idealnie dopasować wszystko do wszystkiego, nawet jeżeli nic nie pasuje.

Na poczekaniu tworzą prawa kosmosu, które z fizyką nie mają nic wspólnego, potem dodają czarne dziury przemalowane na różowo, a Trójkąt Bermudzki podłączają do mgły covidowej i wydaje im się, że jest OK, a jak dla kogoś nie jest, to się nie zna.

Kiedyś, podczas przeglądania internetu Miłka trafiła na pewną teorię, według której Ziemia jest wklęsła. Nie okrągła, kulista, ani nawet płaska, ale właśnie wklęsła. Internet pełen był na to dowodów. Zwolennicy tej teorii twierdzili, że jesteśmy oszukiwani przez NASA w tej kwestii i że naprawdę żyjemy wewnątrz planety, niejako w „ziemnym” słoiku po kosmicznych ogórkach.

Dlatego teraz pracowały, żeby przypasować teorię morderczej Donaty do faktów.

– No maska. Zobaczyła maskę i myślała, że to burmistrz.

– Tak, ale jej tam nie było – westchnęła babcia.

– I dlatego właśnie mogła być! – odpowiedziała Miłka, zasilając grono wielu sławnych ludzi propagujących tego typu cuda.

– No ale po co miałyby atakować burmistrza?

Tu sprawa nie była pewna. Bo burmistrz był niejako wielowarstwowy. Taka Donata czy ktokolwiek inny mógł go nie lubić, mógł też atakować go z powodów politycznych, mógł wreszcie z powodów prywatnych.

– A czy ona nie jest przypadkiem weganą? – poddała babcia pełnym grozy głosem. – Bo wiecie, że oni potrafią mordować, no a burmistrz ostatnio jadł w knajpie jakiegoś burgera w rynku i ten burger nie był sojowy i wszyscy się na niego rzucili, że propaguje kulturę zabijania i że jako przedstawiciel władzy i elit miasta powinien swoją postawą pokazywać prawidłowe zachowania.

– Czyli jeść gównem – zawyrokował Tomasz.

– I nie uniewinnił świętecznego karpia, tylko go zżarł – dodała Miłka – ale nie. Nie jest weganą – dziewczyna, wykorzystując chwilowe zatrącenie się w teoriach i Tomasz, i babci, napisała wiadomość do Donaty – odpisała mi, że nie jest.

– Ty naiwna jesteś! Bo teraz ci się przyzna? – Babcia wzruszyła ramionami z niechęcią. – Ale mniejsza z weganizmem, może ona go chciała stuknąć dlatego, że to kumpel Merlina? Oni chyba jakieś interesy mieli ze sobą? I takie... No i on też bogaty, to może odwrotnie? Chciała wyjść za burmistrza, a stuknęła Karola za interesy?

Burmistrz jednak był odrobinę poza zasięgiem implantów Donaty, bo choć nie był może tuzem intelektu, to jednak wyraźnie było widać, że kobiety w jego otoczeniu kładą nacisk na nieco inne i gdzie indziej usytuowane sprawy, co nie znaczy oczywiście, że robiły sobie implanty cycków na tyłku, one po prostu robiły kariery i studia, a Donata wyglądała raczej na kogoś, kto ma aspiracje, i to wielkie, w kierunku „leżę i pachnę” albo idzie na kurs „zostań zakupolikiem w dwa dni i trzy sekundy, błękitne drinki gratis”.

– No a Julita? Ona ją załatwiła?

I tu był spory problem, bo w tak małej miejscowości kilku morderców naraz to jednak za dużo. I można powiedzieć, że jeden też wcale nikomu nie jest potrzebny, ale takie nagłe pojawienie się kilku morderców, i to pracujących mniej więcej w tym samym czasie i środowisku jest niemożliwe, o ile nie jest to objaw jakiejś świętecznej traumy. Czegoś zadawnionego, jakiegoś bolesnego wydarzenia związanego ze świętami, które nagle wypelza na wierzch z podświadomości i każe łapać za szpadel albo siekiere.

Jakiś mikołaj nie przyniósł wymarzonego prezentu, jakaś choinka podpałiła dom albo chomik wybrał wolność?

No ale prawda była też taka, że morderstwo popełniono jedno, a atak na Julitę mógł się z nim zupełnie nie wiązać. Poszła, gdzie nie powinna, dostała w łeb, sprawa załatwiona.

– Dlaczego dostała w łeb?

– Włazła na jakiś grupenseks i ktoś się przestraszył?

– Tam? Na tych pieprzonych drzazgonośnych dechach? Grupenseks? Oszalałeś? – Miłka zgasiła zapał Tomasz. Po chwili jednak zastanowiła się i przyznała: – Ale mogła tam wleźć na jakąś parkę, nielegalną, ktoś się przestraszył, że żona, albo że doniesie żonie? Choć lepiej, żeby to była Donata.

Myślenie życzeniowe ma się dobrze w naszym społeczeństwie, nie tylko zresztą w naszym, tak więc wszyscy bardzo zapragnęli właśnie tego. To by sprawę załatwiło.

Przez chwilę kombinowali dlaczego. No bo Merlina w porządku, Karola jako tako, ale po co Julitę?

– Bo ona ją widziała – oświadczyła Miłka.

– Nie widziała jej. Nie mogła. Julita nie była tam w tym czasie, jeżeli chodzi o zgon Merlina, nie było jej tutaj, nie należy do rodziny. Nawet w pobliżu domu weselnego jej nie było.

– To może kombinowała z Karolem? I Donata była zazdrosna?

– E, wiecie co? Ta Donata to normalnie o dupę roztrzaskać! – stwierdziła Miłka i zaraz bardzo się zdziwiła.

– Ale dlaczego? Co wy macie do mojej dupy?

Babcia wprowadziła Donatę do salonu.

– A nic, kombinowałam po prostu, dlaczego walnęła Julitę w łeb. – Miłka postawiła na szczerość, ale jak wiadomo szczerość bywa przereklamowana, i to nie tylko w przypadku mężów, żon i spraw wagi lazienkowej.

Miłka powiedziała to bez podtekstów, choć mogła ująć to inaczej, bo nawet jeszcze nie zdecydowała, czy Donata to zrobiła. Szukała jedynie powodu.

Donata jednak zaskoczyła wszystkich.

– A, to? Przypadkiem. Naprawdę przypadkiem! Nawet nie wiedziałam, czy zauważyła...

– Chyba nie miała wyjścia. – Babcia skrzywiła się złośliwie. – Takie rzeczy nie są wcale trudne do zauważenia. Wiesz, ból, krew i coś w tym rodzaju.

Donata się napuszyła.

– Przecież wiem, zauważyła, że została walnięta, miałam na myśli siebie, nie wiem, czy zauważyła, że to ja. Tylko tyle i niech pani nie będzie wredna!

Babcia roześmiała się gorzko, może nawet nieco okrutnie.

– Moja droga, ja nie mogę nie być wredna! Taka jestem! Taka będę i, co ważne, chcę być, lubię to! I nie podskakuj, lepiej mów, dlaczego chciałaś ją zabić i dlaczego ją związałaś i pogrzebałaś żywcem w tej pieprzonej komórce!

Tomasz oczywiście nie powiedziałby tego w ten sposób, a nawet nie wiadomo, czy w ogóle by powiedział, mógł więcej wyciągnąć z jej pozornej, może udawanej niewiedzy, ale przepadło. Babcia puściła tekst na żywioł i sprawa się ryła koncertowo.

– Ja? Ja nie chciałam jej zabić, co pani? I jaka komórka? I że związałam? Niemożliwe, to musiała być ta lesbijka, co ją całowała!

Grom z jasnego nieba nie zrobiłby więcej huku niż zdziwienie, które na wszystkich spadło.

– Tam ktoś jeszcze był?

Donata zaczęła przestępować z nogi na nogę, w końcu została zaproszona do stołu. Usiadła ciężko i wydukała:

– Nie ktoś tam jeszcze był – wyraźnie podkreśliła słowo „jeszcze” – tylko ktoś tam był.

– A co to za wygibasy językowe?

– No bo mnie tam nie było!

Niemożliwość tego stwierdzenia jakoś wszystkich zatkała. Dziewczyna przyznała się, że walnęła Julitę, ale równocześnie twierdziła, że jej tam nie było, tak durnego pomysłu dawno nie słyszeli. Donata jednak dalej ciągnęła swoje:

– No nie było mnie, bo ja ją tak jakby przez okno walnęłam.

– Jak przez okno?

– Zwyczajnie, latarka mi wyleciała i poleciała, jak piruety na lodzie odpierdalałam.

Niby było to dziwne, a zrozumieć jednak się dało.

– I że ta latarka, tak w nią?

– Pewnie gdybym celowała, to wylądowałaby na dachu, ale że nie zamierzałam tego robić, to się trafiło. Takie psie szczęście.

– No i że z dwóch osób akurat ją?

– Z jakich dwóch? Tam była tylko ona. Przecież widziałam!

– To z kim się całowała? Z diabłem?

– A nie, to potem, jak już padła, to ktoś się zjawił i zaczął ją całować i pomyślałam, że to jakby dwie lesbijki.

– Dlaczego?

– No bo tamta...

– Albo tamten?

– Pieprzę, tamten? Tamta? Wszystko jedno, ale miał kręcone włosy.

– Karol też ma – odgryzła się Miłka. – Zresztą... Przecież to wszystko jedno, nie? – Miłka miała poczucie pewnej sprawiedliwości i starała się nie zaglądać ludziom do łóżek. Nie plotkować o upodobaniach seksualnych, a jak już się takich plotek nasłuchiwała, tylko się złościła. Jej było całkowicie wszystko jedno, kto z kim i dlaczego.

– No nie. Oczywiście, że nie – odburknęła Donata, a po chwili, widząc, że nie została zrozumiana, dorzuciła: – No bo mi to powiedziała, że będziemy badać przekręt, a potem to mi wyszło, że chciała mnie porwać i zgwałcić, a może nawet sprzedać na części. Albo na implanty!

Julita jako międzynarodowa sprzedawczyni części zamiennych do żeńskiego modelu homo sapiens nie za bardzo przypasowała Tomaszowi. Nie lubili się, nie przepadali za sobą, było między nimi sporo rywalizacji, i to całkiem zbytecznej, ale nigdy nie wpadłby na tak durny pomysł.

– Jaki przekręt? – zapytał, uciszając siedzące dookoła stołu kobiety z biegającą dookoła niego babcią dostawczą na czele.

Donata nie była pewna, o jaki przekręt mogło chodzić. Coś jej świtało, ale nie do końca.

– Coś z tym transportem.

– Ale jakim?

– No, od tego telefonu, co ta pomyłka była. Co im pani kazała zwalić coś w lesie...

Pewnie by powiedziała coś jeszcze, gdyby nie nagły bezruch Tomasza i jego mina.

– Wiem! Wiem, to był jednak Karol!

*

Diabeł powrócił do świeżo znalezionej żony, którą starannie ułożył na śmieciach i łachach. Przyniósł całkiem tłustego szczura upieczonego nad własnym piekielnym ogniem i zamierzał ją oczarować tym smakołykiem, kiedy odkrył, że zniknęła.

A on nieopatrznie zdążył już się pochwalić ojcu zdobyczą. Zawył ze zgrozy.

*

Konieczność znalezienia winnego spowodowała dość swobodne skakanie po podejrzanych od jednego do drugiego, byleby ktoś pasował.

– Przecież się topił?

– Topił się potem, ale może przedtem tam był, w tej budzie i zobaczył ranną Julitę, usiłował ją ratować usta–usta, a potem stwierdził... – Miłka miała realny plan.

– A potem się w niej zakochał, bał się, że ona nie i dlatego ją związał i schował do bunkra, żeby ona poczekała, bo jak on wróci, to ona go pokocha?

Bajki w wydaniu Donaty były urocze, choć makabryczne.

– Liczył na syndrom sztokholmski?

– Nie, nie, no nie. – Tomasz pokręcił głową. – No nie. Prawie cały czas za nim lałem, niezbyt blisko, ale jednak go słyszałem, choć to nie musiał być on... nawet raczej nie mógł.

– Burmistrz! – wypaliła Donata, zupełnie nie wiadomo dlaczego.

– Co znowu burmistrz?!

– On ją tam schował, bo jest diabłem i chciał się nią pożywić, ale myśmy mu przeszkodzili.

– Diabły jedzą ludzi? – Babcia nie była całkiem pewna. Upodobania kulinarne diabłów nie są jakoś szeroko znane. Donata na szybko rzuciła się do Wikipedii.

– Mam! Patrzcie – oświadczyła i przeczytała: – „Polują na zdobycz osiągającą rozmiary małego kangura”. No, ona była większa, ale mniej włochata. „Chętnie zjadają padlinę”. No już była prawie padliną. – Wszyscy zbledli. – „Pożerają” – ciągnęła dalej – „zwierzęta domowe (nawet owce), ptaki, ryby, owoce, biomasę, owady, kijanki, płazy bezogonowe i gady”. Nie wiem, co to jest biomasa, ale chyba kupy...

– Fujjj! Choć te gady mogłyby pasować – stwierdziła złośliwie babcia.

Zaszokowana możliwością znalezienia zwyczajów żywieniowych księcia ciemności na Wikipedii, Miłka wydarła Donacie telefon.

– Tasmański, chodzi o diabła tasmańskiego – westchnęła nieco zawiedziona.

– Leszyński, tasmański, jeden pies! I to diabeł, i to diabeł! – oświadczyła Donata.

Obraz burmistrza upapranego posoką i pożerającego wybebeszoną Julitę za pomocą tylko swojej paszczy (szablony wyposażonej, choć nóż i widelec też nie za dobrze by wyglądały) należał do tych, które trudno sobie odwyobrazić.

Burmistrz wyląził im niechący z każdego kąta.

– A gdyby to jednak był burmistrz? – zapytała babcia. – W tym sensie, że promocja lokalnych tych, no... jakby zwyczajów czy jak to zwał?

– Czyli twierdzisz, że naszym lokalnym zwyczajem jest mordowanie i ewentualne jedzenie ludzi? Na żywcą?!

Ten pomysł nie spodobał się nikomu, ale do burmistrza pasował. Promocja miasta i wszystko, co było z nią związane, bardzo go interesowały, sam przecież nosił maskę diabła. Takie jakieś makabryczne morderstwo, o którym pisałyby portale internetowe wielkimi literami i wytluszczonym tekstem, obwieszczając, że w Leszynie diabeł pożarł policjantkę, według niego na pewno mogłoby się bardzo przysłużyć reklamie.

Ludzie kochają makabrę.

Mogłoby to nieco rozruszać lokalną gastronomię i tchnąć w turystykę trochę życia.

– Pytanie, czy mordowałby osobiście?

– A dlaczego nie? – Babcia rzuciła się z odpowiedzią, chyba nie lubiła burmistrza. – On by pewnie ją pożarł w blasku fleszy, nie jest normalny.

Obraz fleszy błyskających przy każdym kęsie jakiejś nogi albo wątroby z Julity był bardzo sugestywny. Krew lała się z paszczy burmistrza, ręce do łokci miał w niej unurzane, bo jakoś tę wątrobę musiał wy dostać, stół zalewały potoki posoki...

– Niedobrze mi – jęknęła Donata. – Myślicie, że on by mógł?

Byli już tak przesiąknięci makabrą, że owszem, sądzili, że mógł.

– No ale o miasto dba, iluminację zrobił, bałwana postawił w rynku i te wszystkie takie... – Donata wykazała się dobrym sercem, choć porównanie iluminacji bożonarodzeniowych i krwawych zbrodni trochę nie pasowało. – A Lalina? Ona to dopiero jest wariatka, wiem, co mówię. Ja tam u niej przecież pracowałam, a jak mnie potraktowała?

– Ale, chodzi o to, że mordowała?

– Mogła, jak nic. Mogła.

Lalina jako morderczyni pojawiła się nie po raz pierwszy, bo w końcu była w domu weselnym w momencie morderstwa, albo przynajmniej w zbliżonym czasie, i szukała tam kawioru, Merlina знаła, ale po co miała mordować swojego klienta i przyjaciela?

A nawet jeżeli, to dlaczego tam? I po co zamieszanie z Karolem? Karola z burmistrem by chyba nie pomyliła mimo maski, bo znała go bardzo dobrze, ale atak we własnym obiekcie? Trochę za bardzo podejrzone.

– Mogła, jak nic. Mogła. Mówię wam! – Donata jeszcze raz zabrała głos. – Ona to nawet kawę i herbatę kazała nam sobie przynosić z domu, bo to, co u niej, jest dla gości, a nie dla plebsu, tak mówiła, jakby tego tam jej liptona było szkoda dla pracowników!

Lipton jako motyw nie wydawał się realny, a Merlin był gościem, to nawet jeżeliby wychłał, toby mu nic nie powiedziało. Czasami to, co się mówi o innych, bardziej świadczy o tym, kto to mówi, niż właśnie o tych, których dotyczy. Donata wyraźnie chętnie zatłukłaby każdą kasjerkę z marketu, która chciała być jej winna grosik, ale sama wkurzała się o to, że babka odmówiła jej sprzedaży lakieru do paznokci, bo zabrakło jej pięciu groszy.

– Ale dlaczego? Na litość boską dlaczego? – jęknęła babcia. – Owszem, Lalina jest durna, dziwna i zachłanna, ale nie miała powodu zabijać!

– Kto nam jeszcze został?

– Julita – oświadczyła babcia. – Jeżeli już tak szukamy, to ona też. Jest wredna i pokręcona. I mogła kogoś zabić, żeby potem to rozwiązać i mieć awans.

– No ale awans? – Tomasz się zdziwił. – Owszem, każdy o awansie marzy, ale żeby za to, albo dla tego, kogoś zabić?

Tomasz wyraźnie nie znał się na kobietach.

– A ten ogień? Tam w lesie? – Tu Donata przypomniała coś, co wszystkim umknęło.

*

Karol wyprowadzać się nie chciał, ale też nie bardzo mógł, bo był kontuzjowany. Miał jednak pewien kłopot, który zatruł mu święta.

Miłkę kochał. Nie żeby zaraz romantycznie, no może kiedyś, teraz kochał ją za jej zalety. Wad nie widział.

Można by powiedzieć, że jego miłość okrzepła i stała się dojrzała. Taka miłość jest o wiele więcej warta niż mrzonki rozromantyzowanych pańienek i dzieciaków myślących tylko o seksie.

On doceniał to, co ma. Doceniał Miłkę ogromnie.

Zdawał sobie sprawę, że dzięki niej miał mieszkanie za darmo. Wikt i opierunek były rzeczą mniejszą, a zatem mniej wartą docenienia, bo mama też mu to oferowała, ale i tak uważał, że kobieta, żona, matka służy do zaspokajania męskich życiowych potrzeb.

Nie, wcale nie łóżkowych, ale właśnie życiowych.

Bo jak myśleć o robieniu kariery przy obieraniu ziemniaków? No nie da się. Jak się rozwijać przy myciu naczyń? Zero szans.

Rozwój wymaga wzniosłości, spokoju i jeszcze raz wzniosłości, a nie harówki i garów, które wzniosłe nie są z żadnej strony ani perspektywy.

Nawet w książkach jak chłopak całuje dziewczynę (i wcale nie jest to żaden książę), to nie całuje jej nad zlewem pełnym garów ani nad wiadrem pomyj.

Obierki też odpadają. Socrealizm już jest passé.

Kiedyś czytał, że Agatha Christie wymyślała fabuły swoich kryminałów, myjąc naczynia, ale on uważał, że to nie znaczy, że można, to znaczy tylko, że kobiety do tego są stworzone – myje taka, sprząta, gotuje, opiera, a jeżeli czasami przy tym coś wymyśli? Chwała jej za to, ale mężczyzna musi być duchowo wolny i czysty.

Ta czystość duchowa wcale nie wymagała domostosa, wymagała aury, spokoju i duchowej wolności.

Dlatego cenił sobie życie z Miłką. Bezstresowe, bezproblemowe, dostatnie i spokojne. Takie zaopiekowane. Z kawą do łóżka, z rosółkiem na kaca, ze skarpetkami na kaloryferze i brakiem jakichkolwiek wymagań. Finansowych również.

Ona też wyglądała na szczęśliwą. Lubiała mu usługiwać. To było widać, no i miała za to całkiem dobry seks.

Można by powiedzieć, że pomysł z intercyzą, na który wpadła jego matka, trochę wszystko popsuł, ale on sam uważał, że pomysł był świetny. To pozwoliłoby mu na o wiele bardziej pogłębiony, nieskrępowany rozwój i inwestowanie w siebie. Nie zamierzał przecież inwestować w Miłkę, uważał, że to logiczne, niech sama w siebie inwestuje.

Zresztą inwestowanie w kobietę tylko ją rozpuscita, a na ciuchy i szminki sama sobie zarobi, w każdym razie powinna.

Na żarcie dla rodziny też, no przecież.

Taka jej rola, ma dbać o ognisko domowe. O kielbaski na to ognisko również.

Dlatego teraz zamierzał coś zrobić, żeby ona wreszcie zdała sobie sprawę, że może go stracić.

Że to nie bajki, podpucha czy zachęta do negocjacji, bo negocjować intercyzy nie zamierzał. Chciał, żeby zrozumiała, że to jest prawdziwe życie, żeby przejrzała na oczy, bo chwila moment i może go już nie odzyskać, dlatego poszedł do domu Miłki i postanowił coś postanowić.

Chciał dać jej do zrozumienia, że jest zdecydowany.

Że nie ma pomiluj, chwila moment i go straci na zawsze.

Mógłby na przykład symulować wyprowadzkę. Ona wchodzi, widzi to, pada mu w ramiona i ze łzami w oczach krzyczy: „Co ja głupia zrobiłam! Karolu, kocham cię! Tylko ciebie kocham na całe życie i nie opuszczę cię aż do śmierci”.

Do tej spektakularnej sceny potrzebna była spektakularna akcja i oczywiście Miłka.

Problem ze spektakularną akcją tkwił w tym, że u Miłki miał właściwie tylko ciuchy.

Postanowił wynieść szafę.

*

Wybuch w lesie był całkowicie niekontrolowanym wybuchem fajerwerków, czego Tomasz dowiedział się od techników.

W pudłach, które tam pozostały, było całkiem sporo spalonego chemicznego śmiecia.

I to by jakoś jeszcze było do zrozumienia, gdyby te pudła, a było ich trzy, wybuchły w budzie.

Ktoś je składował, coś tam zawalił, wrzucił niedopałek, coś tam się zaczęło tlić, słup ognia wałnął w niebo, buda się rozwalila.

Tak, ale kto trzyma pudła przed budą, a nawet za budą? Nie jesteśmy narodem złodziei, ale przedmioty leżące bez nadzoru w miejscu odludnym często zmieniają właścicieli, a trzy pudła fajerwerków przed sylwestrem to prawdziwa gratka.

Dlaczego to wybuchło?

Gdyby jeszcze się tam ktoś kręcił, prznosił, przepakowywał, to nawet owszem, dałoby się to wytłumaczyć, ale tam nikogo nie było, no oprócz tego kogoś, kto ucałował i związał Julitę.

No i jak to przetranszować, skoro nie było samochodu?

– Moim zdaniem ktoś to podpałił celowo – wyjaśnił Tomasz.

– Puszczanie fajerwerków w lesie? Jednym słupem? Wszystkich naraz? Nielogiczne i niebezpieczne! – stwierdziła Miłka, uśmiechając się sceptycznie.

– Bo to była taka może akcja tego niestrzelania – wymyśliła Donata. – Że się nie strzela w sylwestra. Ktoś to ukradł innym ludziom i zu... ten... tylizował?

– Zutilizował?

– No.

– Głupota. Taki ktoś ceni życie! Nie robiłby tego w lesie!

Niektórzy ludzie rzeczywiście często cenią życie psie, kocie, może nawet ludzkie (tego akurat nie wiadomo, bo to jednak często nie idzie w parze) i dlatego nie chcą strzelaniny w nocy, bo to i huk, i zanieczyszczenia, i zwierzaki do-
stają ucieczkowego szału.

– I co z tego?

– W lesie mieszkają zwierzaki!

– No te leśne to tak bardziej nikogo nie obchodzą. – Miłka się skrzywiła.

– Nie, to było coś innego, jakby ktoś chciał się tego pozbyć. A może nie tylko tego?

*

Wyniesienie szafy w pojedynkę jest trudne, albo raczej niemożliwe. Karol chciał ją jakoś staszczyć na dół, po czym zadzwonił do Miłki, żeby mu pomogła ją przewieźć. Wtedy by na pewno zrozumiała.

Superefekt zaskoczenia, który niewątpliwie by uzyskał, marzył mu się w snach.

Wynoszenie szafy w pojedynkę, w święta, budzi grozę, niechęć, a nawet agresję sąsiadów, a do tego nikt nie może za bardzo pomóc, bo wszyscy są na ogół w świątecznych ciuchach, pozostają tylko ci w nastrojach mocno podlanych alkoholem.

Tacy mogą pomóc.

Alkohol znosi bariery i włącza wszechmoc.

Karol przesunął szafę przez próg z pokoju do korytarzyka. Na dość wysokim progu utknęła.

Postanowił położyć ją na boku.

Położył. Z hukiem, na swoim boku niestety. Szafa właściwie leżała, ale też trochę oparła się o drzwi.

– O kurwa, ratunku – wyjęczał, ale nikt go nie usłyszał.

Wylazł spod szafy, ledwie precyzyjnie się pomiędzy nią a ścianą w korytarzyku.

Bandaże na głowie zaczęły nasiąkać krwią.

Był nawet zadowolony z efektu.

Krwawił z wysiłku dla Miłki, krwawił z miłości. Boże, jakie to było mocne! Jakie to było romantyczne!

Powinna była go w tej chwili widzieć! Nie wolno marnować takiego przekazu.

Postanowił ją o tym zawiadomić, właściwie było to nawet lepsze niż zniesienie szafy na sam dół, niestety nie miał przy sobie telefonu. Poszedł po niego do sypialni.

Jednak huk chyba zaalarmował sąsiadów.

Ktoś zaczął walić do drzwi.

– Panie Karolu? Panie Karolu, czy coś się stało?

Niby mieszkanie było Miłki, ale sąsiedzi już go zaakceptowali jako współwłaściciela, ponadto pytanie „pani Miłko, czy coś się stało?” sugerowało wtrącanie się w awanturę domową, i to świąteczną, a przecież nie wypada, dlatego sąsiad wybrał wersję męską, no i to tak, nawet gdyby ona go tłukła, to Karol by się nie przyznał, a w odwrotnej wersji zaraz by były kłopoty.

– Nic – odpowiedział Karol – proszę wejść, jest otwarte.

Sąsiad otworzył, wsparta o drzwi szafa zaatakowała go zniemacka, zwała się na niego, uskoczył, szafa z piskiem zaczęła zsuwać się po schodach, równocześnie złapała sąsiada drzwiami za sweter i pociągnęła w dół, Karol dopadł jej w ostatniej chwili, złapać złapał, ale nie był w stanie jej utrzymać, pojechał ciągnięty za nią aż do półpiętra i wraz z sąsiadem i szafą rypnęli w parapet pod oknem.

Szafa się rozpadła, jak przystało na szafę ze sklejki.

Monitoring kamieniczny w postaci sąsiadki zadzwonił na policję. I do Miłki.

– Ktoś się do pani włamał! Szafę wyniósł – powiedziała sąsiadka spokojnym głosem – i chyba kogoś zabił. Ja nie zamierzam się wtrącać, ale to jest porządna kamienica, niech pani z łaski swojej porozmawia z tymi włamywaczami... Bo są święta! Tak nie można!

Miłka prawie zemdląca.

Niektórzy sąsiedzi byli dość specyficzni. Jednemu przeszkadzało szczekanie psów na skwerku, i to za dnia, i wyzywał ich właścicieli, że źle te psy wychowali, drugiemu ktoś oglądający telewizję w niedzielę, bo przecież dzień święty trzeba święcić, innemu zapachy z kuchni z parteru, bo on się odchudza, to nie powinno się gotować, kiedy on nie może jeść.

Propozycja, żeby Miłka porozmawiała z włamywaczami, żeby nie okradali ludzi w święta, wpisywała się w ten ogólny złośliwy klimat, dobrosąsiedzkiego nie było.

– No i ktoś tam leży – dodała po chwili kobieta zdeglustowanym tonem.

– Ale kto?

– No chyba pan Karol – odpowiedziała sąsiadka. – Szkoda, że nie wzięliście ślubu, byłaby pani wdową, a tak przepadło.

Kolejna już od niedawna śmierć Karola wstrząsnęła Miłką do tego stopnia, że przez chwilę dziewczyna zastanawiała się, czy on przypadkiem się nie uzależnił.

Stany cywilne są ciągłym tematem rozmów sąsiedzkich, szczególnie tej starszej części sąsiedzkiego towarzystwa, bo każdy lubi plotki. Stan cywilny Miłki niby powierzchownie nie kłuł w oczy nikogo, ale podskórnie ranił i raził.

No bo co ona niby jest? Panna z chłopem? Bo żeby jeszcze z dzieckiem, to jakoś teraz raziło mniej, ale z chłopem bez dziecka, to jakoś tak nieładnie, skoro mogą się pobrać, a mogą, bo wolni, to niech już się pobierają, a nie takie coś.

– Ale pani Marchewkowa? Co się stało?! – Miłka zupełnie nie mogła zrozumieć tej sytuacji. W domu skarbów nie miała i każdy to wiedział. A choćby nie wiedział, to po włamaniu wyszedłby ze sporym zawodem na twarzy, na pewno nie z jakimkolwiek łupem, a tu wyglądało na to, że ktoś coś jednak wyniósł. Nawet najgłupszy włamywacz nie ukradnie szafy ze sklejki, to nawet do palenia w piecu nie bardzo się nada, no i święta. I Karol.

Jeżeli Karol został zabity, to z kimś walczył, a Karol się do walki ani nie garnął, ani nie nadawał zupełnie, nie zrobiłby tego, no i walka o szafę ze sklejki?

Monitoring westchnął ciężko.

– Idę niżej popatrzeć, krew się leje, chyba komuś nogę urwało, bo jakby więcej jest i w ogóle masakra. Jak ja teraz zasnę?! Koszmary będę miała! To wszystko wasza wina! Was, młodych gówniarzy, co się mordujecie, jak leci i denerwujecie porządnych obywateli.

Miłka bezbłędnie wyczytała z tej tyrady, że jest młodym gówniarzem (chyba starym gówniarzem nie da się być), morderczynią, co morduje wszystkich dookoła, oraz nieporządną obywatelką.

– Po policję pani dzwoniła? – zapytała złośliwie, wiedząc, jak ludzie podchodzą do takich telefonów.

– No dzwoniłam, ale powiedzieli, że są zajęci i przyjadą za godzinę, ta, zajęci. Pewnie chłają!

Miłka złapała Tomasza i ruszyła do drzwi, w których już tłoczyła się i babcia, i Donata. Do Miłki mieli blisko, a darmowy spektakl każdemu się należał, nie tylko Marchewkowej.

No i babcia miała nadzieję zobaczyć zwłoki Karola. Gdyby ją zapytać, to nie życzyła mu źle, ale w głębi serca chciała, żeby cierpiał. Wcale by go nie żałowała, byle cierpienie było naprawdę potężne.

*

– Po... go... to... wie – wyjąkał sąsiad spod szafy – zabiło mnie na śmierć!

Od czasu reklamy środka, który zabija komary na śmierć, nic już nie jest takie samo, bo każdy szuka alternatywy, ale chyba się zabić na życie nie da.

– Mnie też – zawył Karol spod parapetu.

Obaj żyli.

– Co pan tam robił? – sąsiad zapytał grzecznie o przyczynę armagedonu, albo szafagedonu.

Taka konwersacja w oczekiwaniu na ratunek była jak najbardziej na miejscu.

– Wyprowadzałem się – westchnął Karol i nie pokręcił głową, choć bardzo chciał.

– Wyrzuciła pana? – Ledwie ukrywany uśmiech satysfakcji przebił się przez ból i udręczenie wędrującym meblem.

– Nie, ale chciałem...

– Czyli wyrzuciła! – ucieszył się sąsiad. – No ale jak pan z takim szmelcem się do niej wprowadził, to się nie dziwię, babka z klasą. Żeby jakaś gdańska, albo choć trzydrzwiowa z lustrem, ale to? – prychnął pogardliwie. – Czegoś lepszego się po panu spodziewałem.

– Gdyby była gdańska albo trzydrzwiowa nawet bez lustra, toby nas zmasakrowała, ale nie, szafa na szczęście nie moja. Jej.

– Czyli kradnie pan? Szafę? No wie pan? To nie lepiej telewizor?

Sąsiad był wyraźnie człowiekiem pomocnym i starał się nie oceniać, w końcu nie jego życie, nie jego kradzież, ale podpowiedzieć mógł.

– Nie. Wcale nie kradnę, chciałem coś zrobić, żeby zrozumiała, jak bardzo mnie kocha!

Zapadła chwilowa cisza.

– No, wiem, o co panu chodzi! Doskonale pana rozumiem, tak, ja też chciałem. Wie pan, tak to bywa. Ja to się do tego zabrałem chyba trochę gorzej. Trzy tygodnie wyskubywałem kaktusa z ptaka.

– Znaczy z ptaka czy z ptaka? – Karol chciał dokładności, ale chyba nie był w stanie jej uzyskać, a wyrażać się nie zamierzał. Poza tym intymnie rozmowy o ptakach (tych ptakach) pod szafą źle świadczą o rozmawiających.

– Nie, no z ptaka, ptaka nie mieliśmy, zdechł.

– Po kaktusie?

– Przed, no ale też fakt, ten też po kaktusie zdechł kompletnie.

– Ale co z tym kaktusem?

– Wsadziła mi w gacie. – Sąsiad westchnął rozdzierająco.

Karol aż zamknął oczy z przerażenia, zacisnął powieki.

– I co? – zapytał.

– I przyklepała!

– Boże kochany! Za co? – Karolowi ta straszna kara wydała się piekielną torturą. – Zdrada?

– Nie, no skąd? Gdzie zdrada? Ja i zdrada? Nie! To nie była zdrada, zwykły skoczek w boczek. Nic poważnego. Baby to mają pojebane pod czaszką. I co ja teraz mam... Nie dość, że nie chce stawać, nic a nic, to jeszcze tortury przy sikaniu.

Marchewkowa zeszła kolejne kilka stopni. Dopiero teraz ją zauważyli. Nie mieli dobrego widoku na schody.

– Kiedy ktoś się tu zjawi? Pomosssyyy! – wyduził z siebie sąsiad na jej widok, nieco przesadziwszy ze skowytem, ale skoro już leżał pod szafą, mógł trochę poskowyczeć. Wiedział, że kobiety lubią mężczyzn w potrzebie.

– Pan się nie awanturuje, żonie powiem o włamaniu, to zaraz polecą do kwaciarni po kaktusy! – Marchewkowa chyba nie dała się nabrać.

Kobiety wszystko wypapłają.

– O Jezu, nie! Ruszmy się, może nam się uda? Poda mi pani rękę, pani Marchewkowa.

Jakimś cudem się zgodziła.

Nie wiadomo dłaczego, zamiast podać rękę Karolowi, który był na wierzchu, podała ją sąsiadowi. Z pełną obrzydzenia miną, ale podała.

Zaparła się o ścianę i usiłowała pomóc sąsiadowi wyleźć spod szafy.

– Trzyma się pani! – jęknął sąsiad. – Ja już, już wylażę – stęknął.

Sąsiadka się zaparła. Też stęknęła.

Po chwili usłyszeli długi odgłos, który czasami zwiastuje wysiłek i smród.

– No, kurwa, nie! – warknęła zawstydzona kobieta i zaparła się jeszcze bardziej.

W chwilę potem leżała na płask plecami na szafie, przygniatając ich obu. Stękała, wymachując nogami wysoko w oknie. Smród rozchodził się po półpiętrze bez przeszkód.

– Ratunku! – zawyła.

*

Bieg w dół po schodach wyglądał szaleńczo, ale właściwie szaleńczy był umiarkowanie, bo babcia wybiegła w kapciach i co chwila się poślizgiwała, schodków było ledwie kilka, więc w końcu wypadli na drózkę i ruszyli w kierunku bloku Miłki, który znajdował się dosłownie tuż obok. Widząc w oknie dwie gołe, zdecydowanie damskie nogi, naprawdę się zdziwili.

Nogi w ogóle rzadko powiewają w oknach, zimą tym bardziej i trudno je eksponować w taki właśnie sposób, jakby się chciało nimi w oknie pokazać znak zwycięstwa.

Kiedy dotarli na półpiętro, do kłębowiska ciała i pogruchotanej nieco szafy, pojawiła się też policja w osobie posturkowego Pastusiaka.

Tylko jego dało się tego dnia i o tej porze ściągnąć.

– Było zgłoszenie włamania – stwierdził policjant, widząc swojego przełożonego. – Szafę kradli? – Jego mina była pełna zawodu. – Ludzie to teraz naprawdę pokręceni. Włamać się w święta i kraść szafę? No świat się kończy!

Karol natychmiast się obruszył.

– Niczego nie kradłem. Wyprowadzam się – oświadczył dumnie.

Pytanie, dlaczego wyprowadza się akurat w święta, nie padło, choć zawisło w powietrzu, ale ludzie są dziwni na wiele przeróżnych sposobów i mają prawo być też dziwni w święta, z czego skrętnie korzystają.

Teraz Karol czekał tylko na reakcję Miłki. To, co sobie wymarzył, ten gest pełen miłości, to „Co ja głupia zrobiłam! Karolu, kocham cię! Tylko ciebie kocham na całe życie i nie opuszczę cię aż do śmierci”.

Niestety, to nie nastąpiło.

Miłka chyba wcale nie zamierzała reagować.

Trochę jednak zbladła. Pokręciła głową.

– No nie, ale... Nie rozumiem... Co ona tu robi? – wydukała niepewnie.

I to Karola ucieszyło. Była zazdrosna, co prawda o Marchewkową, ale zawsze, a nogi miała Marchewkowa zdecydowanie kobiece, choć może bardziej jednak babskie, no ale zazdrość, według Karola, była wyznacznikiem uczucia.

Niech będzie zazdrosna o kogokolwiek, byle go kochała.

– Jesteś zazdrosna o Marchewkową?! – zawołał rozradowany, ciesząc się, że jego demonstracyjna wyprowadzka, a bardziej właściwie demonstracja wyprowadzki, na coś się przydała.

– Miałam na myśli moją szafę. Co ona tu robi?! – warknęła dziewczyna.

– Wyprowadzam się! – burknął po raz kolejny, nie odpowiedziawszy jednak na pytanie o szafę. Był zdecydowanie zawiedziony.

– Cieszę się ogromnie – powiedziała Miłka. – Ale dlaczego z moją szafą?

Tego było Karolowi za wiele. Nie wytrzymał.

– Nic nie powiesz? Nie przeprosisz? Pozwolisz mi odejść?! – zdziwił się chłopak naprawdę szczerze, nieco nawet płaczkliwie.

Miłka znów pokręciła głową z niesmakiem. Mówi się, że dla mężczyzny czterdziestka to dziwny wiek, jeden w tym momencie zostaje dziadkiem, inny ojcem, a jeszcze innemu matka gorączkowo szuka żony. Karol nie osiągnął jeszcze tego wieku, ale i tak się w to nie wpasowywał, według tego, co o nim wiadano, nie był ojcem ani dziadkiem, ani nawet matka nie szukała mu żony, ona robiła wszystko, żeby nie dopuścić, by jakkolwiek znalazł, a gdyby nawet, to on był przede wszystkim jej synem, jej własnością, jej, żadnej innej.

Miłka była przekonana, że gdyby jednak do ślubu doszło, kimkolwiek byłaby panna młoda, matka Karola rzuciłaby się jak Rejtan przed ołtarz z okrzykiem: „Mój ci on!”.

Dlatego matka od wczesnego dzieciństwa wychowała go tak, żeby Karol by przekonany, że jest bóstwem bez skazy.

– I widzicie? Widzicie tego debila? I wy uważacie, że on mógłby kogokolwiek zamordować? Przecież to jest kretyn! – mruknęła Miłka wściekle i, co tu dużo mówić, z rozżaleniem. Mimo wszystko to ona się spodziewała chociaż minimalnych, zdawkowych przeprosin.

Nie, nie przyjęłaby go z powrotem, ale byłby to rozsądny gest z jego strony.

Karol też się zdziwił, lubił być w centrum zainteresowania, ale nie tego policyjnego.

– Że ja? Miałbym zabić Merlina? Zamordować go? Oszałeliście? Przecież on mi był potrzebny! Bez niego mój lion... Nie zabiłbym go! Już prędzej ta kretynka. – Wskazał na Donatę.

Zamilkł, ale i tak zdradził o wiele za dużo.

Za dużo, i to w dwójnasób – za dużo dla policji i za dużo dla Donaty.

– Kretynka? Ja? Kretynka? To ja im powiem, co robiliście z Merlinem! Powiem! Nie pozwolę się tak traktować!

Nagle do Tomasza dotarły interesy pomiędzy Karolem a Merlinem. To znaczy nie same interesy, bo o nich jeszcze nic nie wiedział, ale to, że jakieś istniały i miały coś wspólnego z pieniędzmi.

Choć to zdecydowanie truizm, wszystkie interesy, te legalne też, zawsze mają coś wspólnego z pieniędzmi.

No i to coś, te interesy jednak wydały mu się nielegalne, zresztą nie tylko wydały mu się, on był pewien, że były nielegalne. Nikt nie reaguje z taką grozą na takie, zdawałoby się, niewinne słowa. Bo co mieli robić? Tutaj? Mimo całego uroku miasteczka i sympatycznych w większości mieszkańców nie była to ani dolina krzemowa, ani kopalnia diamentów. Tu nic się nie działo. Nie było na czym zarabiać.

– Hmm, hmmm – chrząknęła nagle babcia. – Może byśmy tak zdjęli z nich Marchewkową, bo ten jeden to już sienie?

Tomasz i posterunkowy Pastusiak jak odczarowani rzucili się do zdejmowania warstw z szafowego tortu z ludzkim nadzieniem, zwieńczonego Marchewkową.

Z góry obserwowali ich inni sąsiedzi, którzy wywabieni zostali hałasami. Komentowali wydarzenie według swojej wiedzy, a że jej nie mieli, były to komentarze nieco chaotyczne.

– I co ja zrobię bez szafy. – Miłka się trochę rozczuliła, ale kiedy weszła do mieszkania i na podłodze, fotelach i stole znalazła jej zawartość, zawyła jak ranny dzik.

I może by się rozczuliła jeszcze bardziej, gdyby nie matka Karola, która pojawiła się na schodach, złapała w ramiona swój zakrwawiony skarb i zawołała:

– Co ona ci zrobiła, ta zimna suka?! Co ona zrobiła mojemu syneczкови?!

Ponieważ Miłka w momencie tego wybuchu matczynej miłości była poza zasięgiem wzroku, obecna na półpiętrze panie wzięły jej słowa do siebie.

– Ja, suka? – wrzasnęła Marchewkowa. – Ja, suka?!

– Nie, to ja – stwierdziła Donata – ale że ja, zimna?

– Przestańcie natychmiast – zawołała babcia, doskonale wiedząc, kto i dlaczego został wyzywany od zimnych suk, ale tak bywa, że niektórzy lubią czuć się obrażeni, bo wtedy więcej im wolno.

– A on to może taki znowu gorący pies?! – wrzasnęła Donata. – Weź se pani tego hot doga i zeżryj! Przecież to morderca! Mojego Merlina zabił albo pani kazał! Oboje żeście go zadusili, bo wam groził! Wiem, bo mi mówił! Mówił i to, i jeszcze więcej: że pieniądze chcecie od niego! Że tylko kasa i kasa...

Tomasz uciszył ten potok wrzasku.

– Panie Karolu, pan... Zresztą nie. Pani Zenobio, pani zostawi syna w spokoju, bo go pani zaraz zadusi! Chcę z nim porozmawiać!

– Ale teraz?

– Teraz, zaraz, natychmiast! Chcę wiedzieć, co to za interesy robił pan z zamordowanym. Co? I co to za sprawa z losem...

– Losu się pan czepia? – Zenobia zawyła wielkim głosem rannej mścicielki. – Ludzkiego? To ja panu powiem: jest okrutny, tak, ludzki los to jedno wielkie grzędawisko podlane łzami.

– Ludzki mnie niespecjalnie interesuje, chodzi mi o ten na loterię. I o interesy.

Karol wysupłał się z objąć mamusi. Odpowiedział niechętnie:

– Nic, żadna sprawa. Naprawdę. Nic z tych rzeczy, nie miałem z nim interesów wcale, to burmistrz miał, a mnie to Merlin tylko na los pożyczył.

Całe społeczeństwo obecne na półpiętrze, tym i nieco wyższym, i wyglądające znad barierek schodów jęknęło z dezaprobatą.

Tym razem wyzywano Miłkę. Jako żonę, choć nie żonę, bo jak tak można traktować pana domu? Jak tak można poniżyć i stosować przemoc ekonomiczną?! Toż to wstyd!

– Wstyd! – warknęła jedna z sąsiadek na widok Miłki wychodzącej z mieszkania. – Jak pani nie wstyd! Na los musiał pożyczać? Może go jeszcze pani głodziła?! To ja się wcale nie dziwię, że się biedak chciał wyprowadzić! Tak się ludzi nie traktuje!

Kobiety lubią nieszczęśników. Nie tylko lubią, nawet kochają. Wystarczy, że taki nieszczęśnik został skrzywdzony przez okrutny los, najczęściej w postaci kobiecej, a zaraz się znajdzie kilka, które chcą ten kobiecy los zastąpić i nieszczęśnikowi nieba przychylić. Nieba w seksualnej, kulinarnej i finansowej postaci.

Dlatego znany od dziesięcioleci, a może nawet od stuleci, tekst na podryw, że żona go nie rozumie, że wcale ze sobą nie śpią, nadal jest w obiegu i działa.

Żeby uniknąć dalszego wtrącania się sąsiadów w rozmowę, wszyscy weszli do mieszkania Miłki, gdzie kobiety zaczęły przenosić z salonu do sypialni leżące gdzie popadnie ciuchy, dawniej stanowiące zawartość szafy.

Mężczyźni, oczywiście bez Karola ponownie uwiecznionego w objęciach matki, wnieśli połamane kawałki szafy do salonu. Nie można było ich zostawić na półpiętrze, a wynosić do śmietnika nikomu się nie chciało.

Mieszkanie Miłki wyglądało teraz jak po pożarze, było istnym pobojuwiskiem.

– I ty się chciałeś z nią ożenić?! – zapytała Zenobia, patrząc ze zgrozą na stan mieszkania dziewczyny. – Przecież to flądra jest!

– Mamo, nie mów tak, ona mnie kocha.

– Ta, jasne, chyba ci się przywidziało – burknęła babcia.

– No, dobra, teraz jeszcze raz: co pan miał za interesy z Merlinem? I co pan robił wczoraj w lesie?

– Żadnych interesów nie miałem, ona łże – wskazał na Donatę – ale burmistrz miał.

– Co miał?

– Interesy, to oczywiste, przecież o to pan pytał!

– Jakie?

– Nie wiem jakie, ale wiem, że miał, a w lesie to ja zablądziłem! Zwyczajnie zablądziłem.
– No bez jaj! Jakim cudem ktoś, kto tu mieszka od lat, a nawet chyba od urodzenia, mógł zablądzić aż tak, żeby...
Nieprawdopodobne!
– Byłem ranny.
Potem ta odpowiedź padała z ust Karola wielokrotnie jako usprawiedliwienie oraz z ust jego matki jako wytłumaczenie wszystkiego.
I naprawdę nic się nie dało zrobić.
Tomasz postanowił zadzwonić do szpitala i dowiedzieć się, co z Julią.
Niestety wciąż spała.

*

Diabeł szczura ładnie zapakował. W szpitalu pojawił się bardzo dyskretnie. Zostawił szczura owiniętego w znalezione w lesie gazetę na szafce przy łóżku.
Nie obudził Julity.
W chwilę potem obudziła się sama.
Widok upieczonego prawie na węgielek szczura z łapkami i doskonale widocznym ogonem (oraz pyszczkiem), bo diabeł nie pokusił się o obdarcie go ze skóry, wyrwał z jej wnętrza wrzask, potem coś więcej.
Trzeba było wzywać salową z wiadrem i mopem.
– Rra... rrra... tunku! – wrzasnęła pacjentka. – Zabierzcie te zwłoki! Ktoś chce mnie zabić!

*

I może gdyby nie Donata, rozeszliby się do domów bez specjalnych problemów, ale jakoś tak wyszło, że Donata zobaczyła laptop Milki. Zdejmując z niego ciuchy, musnęła, może wcale nie przypadkiem, touchpad i zobaczyła zastopowany filmik Merlina na YouTube.

Rozplakała się tak strasznie, że nikt nie wiedział, jak ją uspokoić. Rzeczywiście to było dla niej dość traumatyczne przecież przeżycie – mąż, prawie mąż, suknia ślubna w szafie, sala weselna czeka niemal na gości, a on ginie w niewyjaśnionych okolicznościach, co jest często powtarzaną bajką w tabloidach, bo to nieprawda, to znaczy nie, nie tak, nie ginie, zostaje zamordowany w wyjaśnionych okolicznościach, ale jeszcze nie wiadomo przez kogo.

No i nagle jego twarz, jak najbardziej żywa, pojawia się na ekranie, jego głos słychać, jakby wcale nie z za grobu. Mówi tak jakby wprost do niej:

Proszę się nie martwić, przypływ energii czeka na was dziś w nocy. Wszyscy, którzy pragną, będą zadowoleni.

Stan gotowości dla osób pragnących wielkiej gotówki. Dziś jest ten dzień.

Pewien zgrzyt dla zebranych stanowił fakt, że mówił to jednak właśnie z za grobu, ale natychmiast rzucili się pociążyć Donatę.

Była naprawdę rozżalona.

– I co ja mam robić?! – załkała. – Przecież dla mnie świat się skończył!

Czy tylko udaje, czy faktycznie tak myśli, nie było pewne. Pewne było natomiast, że cierpi.

– O, wróż Merlin! – zawołała Marchewkowa, która całkowicie na doczepkę poszła za nimi, jakby udział w aferze z szafą upoważniał ją do udziału w naradzie i do wtykania nosa (o ile nie ryja) tam gdzie naprawdę nie powinna.

Marchewkowa była kobietą bardzo zwyczajną, rodzajem matrony z trwałą na „panią z mięsnego”, z garsonką na „no niby weselna, ale na święta może być”, na którą miała narzucony fartuch w grochy, bo jednak szkoda zapaprać, a pralnia kosztuje. Była spora, miała wąsy, sześć podbródków, pieprzyk Hogaty i mięsisty nos.

– Widzę, że pani też go znała? – powiedział Tomasz, żeby cokolwiek powiedzieć. Wobec szloch Donaty wszystko było dobrym pomysłem. To nie tak, że jej nie współczuł, oczywiście, że współczuł, bo był porządnym człowiekiem i rozumiał, jak straszną tragedię przeżywa, ale też był policjantem, a to sprawiało, że takie sytuacje usiłował jakoś po swojemu opanować. Przytulać nie umiał, zagadać sprawę często próbował, ale nie zawsze mu to wychodziło. W jego męskiej naturze naprawdę mało było tego osławionego kobiecego pierwiastka, którzy wszyscy teraz tak eksponują.

– No jakżeby nie? Każdy go zna! Przecież pan Merlin to był tu ostatnio częstym gościem!

Wiadomość wszystkich zaskoczyła.

– Jak to częstym gościem? Tutaj?

– No tutaj, u mnie. Nawet go swoim kumom narajałam. To porządny człowiek jest.

Czas przeszły wymieszany z czasem teraźniejszym w tej wypowiedzi wystarczył, żeby Tomaszowi zapaliła się lampka. Nie jakaś szczególnie wielka, ale rozumiał, że Merlin tu bywał i był częstym gościem (czyli już nie jest) i że jest porządnym człowiekiem, a nie „był” (czyli kobieta nie wiedziała o jego śmierci).

W świątecznym marazmie oczywiście wieści się roznosiły, ale mniej aktywnie niż zazwyczaj, sąsiedzi wiedzieli, że coś się stało, ale nikt nigdzie nie ogłaszał, że ofiarą był akurat Merlin.

Zresztą wieści nie do wszystkich dotarły, bo w święta to ludzie nie stoją w kolejkach, nie wynoszą śmieci, nie spotykają się z kumami. Od garów płynnie przechodzą do telewizora i często na te dwa dni zostają wyłączeni z plotek.

Nie całkiem, rodzinne oczywiście się pojawiają. Wiadomo, kuzyn przyniesie wieści o swojej byłej żonie, ciotka o wrastających paznokciach, a dzieciak szwagra o bójce ze szwagierką, ale to są takie wewnętrzne ploty. Nieroznaszalne, bo własne brudy pierze się w rodzinie, za to obce można pracować wszędzie, no i na wszelkie inne trzeba pocze-kać, aż otworzą warzywniak, piekarnię i mięsny.

Żeby nie dać nikomu dojść do głosu i nie zepsuć zaskoczenia, Tomasz natychmiast pociągnął wątek.

– Jak to był? Już nie przychodzi?

– A bo on był narzeczonym mojej Malwiny, ale się poprzytkali. – Marchewkowa zrobiła minę nieszczęśliwą i zadowoloną. – Głupia dziewczucha. No głupia dziewczucha. Rzuciła go. Sam pan wie, jakie są te młode...

Wiadomość walnęła w Donatę naprawdę ciężkim obuchem, bo przecież narzeczoną była ona, tylko ona, i w ogóle świata poza nią nie widział.

– Jak to narzeczonym? Kiedy?! – Donata natychmiast otrząsnęła się ze szlochu.

– A tak jakby ostatnio? – Marchewkowa albo nie chciała za bardzo określać czasu, albo nie umiała. – Mówiła, że ją zdradza z jakąś krową. Ja tam prosiłam, żeby przeczekała, bo dobry chłop, ale się obraziła.

– Czyli chodziło o mnie?! Tak? Ta krowa to ja?! – Donata rzuciła się do słownego ataku i była w nim równie dobra jak w szlochu.

– Pani Anita czy Aneta?

– Donata.

– A to nie. Tamta była Anita. Chyba. I była też jakaś Kaśka. Normalnie ślub już miał być.

– Niemożliwe! Nic mi nie mów! – Pokręciła głową.

– On swoją prywatność chroni, tak zawsze mi tłumaczy. Bo on taki bardziej tajemniczy jest. – Marchewkowa się uśmiechnęła.

– Był – powiedział Tomasz, patrząc na jej reakcję.

– Znaczy co? Że przestał być tajemniczy? – Marchewkowa aż się roześmiała. – To nie pan Merlin, on to naprawdę potrafi kręcić. Naprawdę!

– Ale on nie żyje – dopowiedział Tomasz.

– Jak to nie żyje, jeszcze w Wigilię go widziałam! Z tą Kaśką się prowadził po lesie. Po choinkę poszłam... – zmitygowała się nagle. – Znaczy po gałązki do stroika. Iglaste, choinkowe, żeby w domu pachniało, bo te sklepowe choinki to w ogóle nie pachną. W ogóle, sama chemia! Nic innego!

Nie chciała przecież się przyznać, że poszła wyrąbać sobie nielegalnie drzewko z lasu, bo jeszcze by za to dostała jakąś grzywnę, a przyznawanie się do czegoś takiego w obecności policji było prawdziwą głupotą.

Kupowanie choinki, kiedy ma się las pod domem, uważała za bezsensowne. Oczywiście las nie był jej, ale pieniądze jak najbardziej, a na straganach z choinkami, których było całkiem sporo, wołali po osiemdziesiąt za byle jaki, paskudny drapak ledwie odrosły od ziemi.

Wolała ładny i darmowy.

– W Wigilię w lesie go pani widziała?

– No, tak ciut tam koło budy. I co mu się stało? Serce? Bo tak to nie chorował, czy jakiś wypadek?

– Został zamordowany! – wrzasnęła zrozpaczona Donata ze szlochem, choć i z wściekłością na twarzy. – Z jaką Kaśką?! Z jaką Kaśką się prowadził?

Nagle poczuła, że Merlin mógł ją zdradzać. Takie wieści, choćby nawet pośmiertne, zawsze jednak boją.

– No z Kaśką Skwarków. Ona tam w tym świrowie pracuje.

– Ale że z kuchcią?! Z nią mnie zdradzał?! Przecież ona tam ledwie za podkuchenną jest?

Donata dość szybko zapomniała, kim ona sama była. Kobiety bywają okrutne wobec innych kobiet.

– Może nie zaraz zdradzał, co pani myśli, w tym lesie to nie bardzo by się nawet dało. Łaził z nią i tyle. Może mieli do pogadania?

– Ale co oni mogli mieć ze sobą do pogadania? Przecież on był kimś!

Było to pytanie istotne, tym bardziej że Kaśka była w kurorcie zatrudniona, a więc mógł z nią rozmawiać, kiedy chciał, chociażby w swoim własnym pokoju albo w kuchni, albo w korytarzu, albo w ogrodzie – wszędzie.

Wcale nie musiał chodzić z nią do lasu.

Jeżeli poszedł, to znaczy, że nie chciał być z nią widziany. To musiała być jakaś tajemnica, bo inaczej dlaczego?

– Zauważył panią?

– Nie wiem, jakiś zajęty bardzo był.

Marchewkowa wcale nie chciała być specjalnie zauważona, bo Merlin Merlinem, ale Kaśka mogła gdzieś chlapaną, że Marchewkowa ciągnie za sobą dorodnego iglaczka, a w drugim ręku ma sporą siekiere, więc właściwie można się było wszystkiego domyślić, dlatego ona sama raczej starała się być niewidoczna, Kaśka była zaaferowana, a Merlin czymś zaabsorbowany.

– Słyszałam tylko, jak mówił, że to będzie wielka impreza.

– Pewnie to było o weselu – ucieszyła się Donata. Nawet taka mała drobna sprawa, taka myśl, dawała jej pewne ukojenie.

– No nie wiem – Marchewkowa zniweczyła jej radość. – Potem jeszcze dodał, że się wszyscy posrajają...

– No to rozumiem – Donata ciągnęła swoje rozważania – pewnie z zawiści. Bo nasze wesele to miała być wielka uroczystość!

– Posrajają się, jak policja wjedzie im na chatę! Tak twierdził.

I tu Donata nie wytrzymała.

– Pani przestanie! Pani przestanie! Niech pani nie robi z niego potwora. Jak tylko pani weszła, to od razu wyszło, że był babiarzem, a teraz miał coś wspólnego z policją?!

– A co w tym złego?

– Bo Merlin nie był przestępcą! Nie był, ja to wiem! Ja to czułam całą sobą.

Donata oczywiście zaprzęga tu całą swoją intuicję, której często kobiety nie mają w stosunku do partnerów życiowych, a jeżeli są zakochane, to tym bardziej. Dlatego najczęściej wychodzą za „misiaczka”, a rozwodzą się z „knu-rem”.

– To se pani pogada z moją Malwiną – Marchewkowa aż się zagotowała – bo ona to odwrotnie, że coś jej śmierdzi, że się boi, że Merlin to kręt. Tak, o, cały czas gadała. Calutki czas!

– A córka to gdzie? – Tomasz nie omieszkiał zadać tego pytania, bo i on z Malwiną miał ochotę pogadać. Niby nie miała ze sprawą nic wspólnego, ale wiedza, którą posiadała, mogła się przecież przydać.

– W domu, dzieci niańczy – stwierdziła Marchewkowa. – Jak chcecie, to zapraszam – dodała, wskazując sufit.

Wszyscy ruszyli za nią.

Choć właściwie nie wszyscy, bo tymczasem Karol z matką jakoś zniknęli z pola widzenia i wyglądało na to, że chyba na stałe opuścili towarzystwo.

Sąsiad też poszedł do siebie, bo bał się żony.

Z jego mieszkania od czasu do czasu słychać było błagalne:

– Tylko nie kaktus, tylko nie kaktus, kochanie!

*

Lucjan nie rozumiał zachowania Julity. Szpital oczywiście kojarzył mu się paskudnie, dlatego zaniósł jej szczura.

Teraz czatował pod jej domem. Kiedyś przecież powinna wrócić.

*

Babcia zajęła się sprzątaniem w mieszkaniu Miłki. Co prawda, szafy nie było, ale wszystkie porozwalane ciuchy należało poukładać i jakoś posegregować, choćby na łóżku. Babcia wiedziała, że Miłka nie będzie przecież dziś spała u siebie, wróci do jej domu, tak więc ciuchy mogą na łóżku zostać, ale nie muszą być rozwalone, a jutro kupi się jakąś szafę.

Była naiwna, sądząc, że w okresie pomiędzy świętami a sylwestrem gdziekolwiek da się kupić szafę i jeszcze zorganizować transport, ale nikt nie wyprowadzał jej z błędu.

Między innymi dlatego, że babcia została w domu sama.

*

Marchewkowa mieszkała z córką i jej dziećmi dokładnie nad Miłką, tylko z drugiej strony klatki, toteż miała dużo większe mieszkanie.

Kiedy tam weszli, zobaczyli świąteczną jaskinię zagłady. Nie wiadomo, jakie dochody posiadała właścicielka, ale ilość świateł i światełek, mrygaczy, migaczy i ozdóbek, po części dźwięcznie, choć sztucznie wybykujących kolędy, była porażająca i już dawno powinna wywalić korki, tyle że Marchewkowa hołdowała starym, dobrym korkom watomym gwoździami, co było niebezpieczne nie tylko dla niej.

Kakofonia dźwięków i feeria barw tak bardzo ogłuszyły wszystkich, którzy weszli do domu, że Miłka potknęła się o świecącego reniferka z krzywą gębą, a Tomasz włąził na przedstawicielkę wielu choinek.

Część z nich była sztuczna. Stały wszędzie. Jedna mrugała nawet na szafie. Gdyby istniało pojęcie świątecznej przesady, to właśnie umarłoby ze wstydu i zakłopotania.

Donata szła za nimi i chyba tylko dlatego nie wpadła na sterczącego w przedpokoju mikołaja z worem.

Też był plastikowy i też świecił, nie dźwięczał jednak kolędami, ale od czasu do czasu wykrzykiwał gromkie „Ho, ho, ho!”.

W oddali, gdzieś w salonie, wrzeszczał telewizor, płakały dzieci i krzyczała ich matka.

– Jezu, wariacji dostanę z tymi gnojami – jęknęła przepraszająco Malwina, wychodząc im naprzeciw. – Proszę, proszę do salonu, zaraz przyniosę coś do picia. Kawki? Herbatki? Winka? Czy może od razu wódeczki? – zapytała grzecznie i zachęcająco.

Nikt nie odpowiedział. Ogłuszeni, wydawali się nie rozumieć pytania.

– Dawaj wszystko, potem się zdecyduje – rozkazała Marchewkowa – i śledzie przynieś, te z tą sałatką, i kielbasę. Swojska, dobra, sama robiłam, i karpia odgrzej w mikrooondzie. No już! A wy do swojego pokoju! – huknęła na troje maluchów w wieku chyba od dwóch do pięciu lat, zasmarkanych dość i biegających z wielkimi pieluchami na pupach.

– To pani? – Donata zwróciła się do Malwiny jakoś tak chyba, żeby przełamać pierwsze lody, ale jakoś jej to nie wyszło.

– Znaczy a czyje miałyby być, jak nie moje? – Malwina się natychmiast nastroszyła. – Jasne, że moje. Przedszkola nie prowadzę. Ojcom miałam je dziś podrzucić, ale wiadomo, jak jest, migają się. Popić sobie chcą, robić dzieci to by robili, i to bardzo chętnie, ale potem żeby pieluchę zmienić, to nie ma komu!

– Ojcom?

Tomasz zareagował na liczbę mnogą, bo jakoś zazwyczaj słyszał liczbę pojedynczą w tej kwestii, ale no cóż, czasy się zmieniają.

– Najmłodsze to Merlina, tyle że jemu już się nie da podrzucić, będziesz musiała o spadek dla małego się wystarać – uświadomiła córkę Marchewkowa – a tamte to wcześniejsze.

– A Merlin co? – Malwina nie za bardzo nawet się zainteresowała. – Spadek? Jak to?

– A, zabili go. Nie żyje, a bogaty był, to i małemu coś skapnie.

– No i się doigrał – stwierdziła filozoficznie Malwina i poszła do kuchni, ale zagrzeniecienie światełkami było tak wielkie, że musiała iść bardzo ostrożnie. Nie miała daleko, zaraz wróciła z talerzykami.

– To on miał dziecko? – Donata aż się zatoczyła na jedną z choinek i o mało nie padła zemdlona. – Miał dziecko?

– No, a co w tym dziwnego? A bo to jedno? Zdarza się, nie?

– Ale nic mi nie mówił – wyjąkała niedoszła żona Merlina.

– A co miał z gębą po mieście latać i chwalić się, ilu dziewczuchom pamiątkę pozostawił? No bez jaj. Po co miałby to robić?

– Ale gdzie po mieście? Ja dziś miałam, to znaczy wczoraj, za niego za mąż wyjść. – Donata uderzyła w płacz. Obraz jej ukochanego trochę się rozpadał. Jakieś purchle się na nim pojawiały i skazy.

– Dlaczego pani powiedziała, że się doigrał? – Tomasz zainteresował się tematem pobocznym, ale rozterki uczuciowe go nie interesowały. – Znaczy, że się pani w jakimś sensie spodziewała?

Uprzedzona dziwnymi minami Marchewkowej Malwina, która początkowo była nawet dość chętna do zwierzeń, spięła się nieco.

– Nie żebym się spodziewała, ale Merlin naprawdę miał swoje za uszami.

– Konkretniej poproszę. – Tomasz takich tekstów na temat uszu nienawidził najbardziej na świecie, bo nic z nich nie wynikało. Nic nie znaczyły, bo co mógł mieć za uszami? Brud? A on, jako policjant, chciał czegoś bardziej namacalnego.

Pragnął wiedzy, a nie bajek z mchu i paproci.

- Konkretniej to nie wiem, ale wiem, że miał. – Malwina wzruszyła ramionami.
- Niech pani powie coś więcej, bo on naprawdę został zabity. Szukamy mordercy.
- Ale ja go nie zabiłam! – krzyknęła przerażona.
- Przecież nikt pani nie oskarża. Proszę tylko powiedzieć, co pani wie.

Przez chwilę zastanawiał się, czy Malwina nie zacznie od tabliczki mnożenia albo od dinozaurów, ale ona westchnęła i jednak zaczęła mówić.

- No właśnie dlatego nie chciałam za niego wyjść.
- Bo?
- No, mam dzieci, nie chciałam się wiązać z kimś, kto paskudzi się w te nielegalne interesy.
- Jakże?

- Tego nie wiem, ale wiem, że je miał. Coś kombinował, coś bardzo paskudnego i faktycznie miał z tego wielką forszę, bo wie pan, on za kolumnier nie wylewał, a po pijaku ludziom zawsze się ulewa trochę prawdy. Mówił coś o tym YouTube.

- To jest legalne.
- On to jakoś tak... No mówił, że dzięki temu ma władzę i pieniądze, ja się zapytałam, czy mu chodzi o te wróżby, a on, żebym się ogarnęła, bo wróżby są dla starych bab, a domy z basenem dla niego i że on będzie się płacił w złoście, a ta kurwa pójdzie z torbami!
- O mnie chodziło? – Donata wszystko brała do siebie. – Ale ja nie ma...
- Nie, raczej nie, jesteś bogata? – Malwina zadała podstawowe chyba pytanie, pasujące do tej narracji.
- Nie. No co ty, coś tam mam, ale nie tak, żeby zaraz, nie...
- No to nie o ciebie chodziło.

- Ja to podejrzewam, że to bardziej chodziło o Arletę, bo on się wściekł, jak kupiła tę halę po markecie, bo on chciał to kupić na kasyno. Takie wyjazdowe, że nie w Warszawie, ale coś tak jakby Lalina miała dać pokoje, on załatwiał sobie zezwolenie chyba na gry hazardowe, ale chciał jeszcze to trochę podrasować, że nie wszystko... To znaczy nie wiem, ale Arleta mu stała kością w gardle.

- Ktoś jeszcze?
- Oj, zawistny to on był, o forszę bardzo, ale czy ktoś mu kością w gardle stał bardziej od Arlety? Może Lalina? Ale to czy ja wiem? Ona nie zarabia aż tyle, żeby się w forsie tarzała, owszem, bogata, nawet bardzo, ale nie aż tak jak on chciał.

- A Arleta?
- Arleta tak, ale jest też burmistrz.

Tomasz trochę dosłyszał i wszystko zrozumiał, ale coś mu się nie zgadzało.

- Tylko że burmistrz nie jest kobietą. A sama pani mówiła, że...
- No tak, ale po pierwsze on o wszystkich mówił „ta kurwa”, bo jak miał mówić, „ten kurw?” a po drugie płatał mu się język, jak wypił, no a jak jeszcze się upalił?
- Upalił?
- No co pan, niedzisiejszy? Ziolo.

To, że ludzie palą marihuanę, wie każdy, ale nikt się przecież do tego nie przyznaje, szczególnie policji, dlatego ten temat był Tomaszowi trochę obcy.

- Często używał?
- Nawet bardzo, chyba codziennie. Lubił się wyluzować. Miał za co, to się często tak wyluzowywał, czasami nawet na szmateczkę, napił się, napalił, nażarł, a potem leżał jak zdechły miś.
- No ale wróćmy do burmistrza. Jest aż taki bogaty? Niespecjalnie widać po nim.
- Bo się nie chwali, ale ma i dojszcia, i pieniądze. Przecież jego żona ten las cały od Lasów Państwowych kupiła ledwie kilka tygodni temu, cały razem z jeziorkiem, bo tam podobno jest jakieś coś, złoża czegoś czy nie wiem, albo będzie odpady radioaktywne składować. Różnie ludzie gadają, jeden taksówkarz to nawet mówił, że on tam będzie robił wysypisko śmieci, ale takich przemysłowych, radioaktywnych znaczy składowisko. Może, skoro las jest jego, to może.

- Ale ten nasz las? – Oczy Miłki zrobiły się wielkie jak spodki. – Ten tu? – Zakreśliła ręką dookoła siebie. Poważnie? Ale jak? Nie było nic ogłaszane, żadnego przetargu, zawiadomienia... Nic.

- Po cichu załatwili, żeby im się nikt nie wpakował.

Niektóre sprawy tak się właśnie załatwia, po cichu, zresztą nawet gdyby było głośno, to i tak nikt z miejscowych by przecież tego lasu nie kupił, bo nie miałby po co, a nawet nie posiadałby na to odpowiednich funduszy, ale wszyscy jakoś poczuli się oszukani, bo dotychczas las był miejski, a więc można było w nim spacerować i zbierać grzyby, można było palić ogniska, w konkretnych, co prawda, ściśle wyznaczonych miejscach, można było zbierać jagody, a wręcz uprawiać nierząd i srać, gdzie popadnie, a teraz? Prywatny las? Co burmistrz, a właściwie burmistrzowa, z nim zrobi?

Ogrodzi?

Byle tylko.

Ona go może nawet wybetonować i sprzedać na markety. Może spalić.

– To znaczy, że to będzie teren prywatny? Całe to, wszystko? – Tym razem Donata potoczyła ręką w kierunku okna obwieszonego girlandami szalejących światełek.

– To już jest teren prywatny.

– No ale nadal będzie można tam wejść?

Pytanie miało sens, bo las stanowił nie tylko miejsce spacerów, ale też tędy, jako skrótem, można się było dostać do różnych zakątków miasta...

– Zaraz, ale kurort? Jest w lesie, prawda? Czy jest już na tym terenie prywatnym?

– To Lalina! – zawołała Miłka. – Pomyliła Merlina z burmistrzem, chciała zabić Leszyńskiego. Zamordowała go jak nic!

Pomysł spodobał się wszystkim, niestety Tomasz go nie zaakceptował.

– Dusila go! Przy truciui czy waleniu w głowę mógłbym się zgodzić, ale nie przy duszeniu, musiała widzieć, kogo dusi, to znaczy morderca musiał widzieć, kogo dusi. Nie ma innego wyjścia.

– I dlatego straszy ludzi!

To stwierdzenie z ust Miłki nagle wszystkich zaskoczyło. Nikt nie pojmował, czego miało dotyczyć.

– Kto? Co? Gdzie?

– No burmistrz, straszy ludzi, żeby nie wchodzili do lasu, bo to jego las! Rozumiecie? Ta maska i w ogóle? Ha!

– A turyści?

– Pewnie będzie sprzedawał bilety! To skąpy dupek! – Malwina postawiła na stole piramidę z dań, napojów i chleba. – Proszę, częstujcie się.

Dzieci zaczęły wrzeszczeć.

– No ja z nimi zwariuję – oświadczyła Marchewkowa.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi i nie czekając, wszedł do korytarza. Zatrzymał się. Zajrzał do salonu.

– Cześć, Malwinko, wpadłem po Dżesikę, dasz mi ją? Wcześniej nie dałem rady, zatrucie miałem, mam nadzieję, że ją przygotowałaś, a nie tak jak ostatnim razem?

Wszystkich zatkalo.

– Już ją przyprowadzam. Pewnie nie usiądziesz, ale przypilnuj, żeby wieczorem umyła ząbki. I nie pozwól tej swojej krowie się na nią wydzierać. Dzieciak się stresuje, a potem mi szczy po nocach jak pompa jakaś!

Malwina zniknęła w drugim pokoju, po chwili przyprowadziła dziewczynkę. Wręczyła ojcu torbę z ciuchami.

– No to do jutra – powiedziała.

Mężczyzna z dzieckiem zniknął.

Wszystkim opadły szczęki.

– Burmistrz?

– No burmistrz, a co? Zrobił Dżesikę, niech się nią zajmuje choć od czasu do czasu.

– Ale...

Wszyscy byli w sporym szoku. Jakoś nie umieli sobie tego wyobrazić. Malwina uśmiechnęła się z wyższością.

– Tak, wiem, wiem, o co wam chodzi, ale ja naprawdę starannie wybrałam ojców dla swoich dzieci, ich przyszłość jest dla mnie bardzo ważna, trzeba o nią zadbać od samego początku. Ojciec jest ważny, można powiedzieć, że to inwestycja w przyszłość dziecka!

– Ta... Merlin i burmistrz, owszem, ale ojca dla najstarszego tak sobie wybrałaś, że teraz dzieciak tylko wstyd ma...

– No wiesz, byłam młoda i głupia. To było lata temu! W miłość uwierzyłam, dopiero potem zrozumiałam, że teraz to nie miłość, nie geny, ale pozycja i forsa robią z mężczyzny samca alfa!

– A czy mógłbym tak zapytać... – Tomasz aż się uśmiechnął złośliwie. No dobrze, nie powinien, ale się uśmiechnął, bo takie podejście skazywało go na całkowity brak potomstwa. Przynajmniej w oczach tej jednej kobiety. Z jednej strony, gdyby wszystkie tak rozumowały, to byłby ze swoją pensją i pozycją skazany na całkowite starokawalerstwo, a tego nie chciał, z drugiej strony żony z takim podejściem też nie pragnął.

Uważał się za rozsądnie przystojnego, nie był lisy, nie miał pryszczycy ani brzucha, był też wysportowany i przeczył stereotypom policjanta inteligentnego inaczej, miał też, co istotne, pracę. Kiedyś to kobietom wystarczyło, teraz już jednak nie. Teraz możesz być lisy, stary, brzuchaty, a nawet bezrobotny i głupi, bylebyś był bogaty.

– Kto jest tym trzecim szczęśliwcem?

– Pierwszym, bo synek ma już pięć lat, najstarszy mój to Norbert Maciążek.

Nazwisko zrobiło na wszystkich wrażenie, niemalże piorunujące.

– To syn Karola? – Miłka aż potrząsnęła. Zbladła, oniemiała, przez chwilę liczyła na istnienie jeszcze innego faceta o tym samym nazwisku, co nie było wykluczone.

– No tak, wiem, ale to nie moja wina. Gumka pękła, był nieplanowany.

– Ale syn Karola? Mojego – Miłka aż jęknęła – to znaczy nie mojego, ale Karola?

Malwina nie wydawała się specjalnie skrępowana.

– Blisko mieszkał, tak jakoś wyszło, ale w ogóle się nie interesował dzieckiem. Przyszedł czasem, to nawet czekolady nie przyniósł, ale kto wie? Po tej wygranej może się jakoś ogarnie? Bo to z żoną intercyzę się podpisze – uśmiechnęła się tym razem chyba przekornie – ale dzieciak to dzieciak.

Nie wydawała się zakłopotana tym, że sypiała z sąsiadem z dołu związanym z inną kobietą. To po prostu nie miało dla niej znaczenia.

W naturze często tak właśnie jest. Samice chcą zapewnić odpowiedniego ojca swojemu potomstwu, zazwyczaj chodzi o geny, ale ludzie wszystko potrafią sprowadzić do pieniędzy.

Miłka siedziała zamyślona. Jakim cudem nie zauważyła? Przecież to musiało trwać. Dzieciak miał już swoje lata. Nawet jeżeli romans umarł, to jednak... Malwina mówiła, że czasami przychodził.

No ale to trochę tak: ona pracowała. Dużo, często nie było jej w domu, jak tylko wracała, to sklep, zakupy i do garów, wieczorami chodziła niekiedy na siłownię, Karol uważał, że jemu to niepotrzebne. Całe dni spędzał w domu, może właśnie dlatego?

– Bo sama sobie sąsiadka winna! – Marchewkowa aż strzyknęła jadem jak rasowa żmija. – Przy śmietniku się poznali! Jakby sama sobie sąsiadka śmieci wynosiła, to i nieszczęścia by nie było, i Norberta, i może by się pan Merlin z Malwineczką ożenił! Malwinka to powinna panią do sądu podać! Leń śmierdzący taki z pani, że aż wstyd! I przez to lenistwo życie pani mojej córce zmarnowała! To się nadaje dla tej, jak jej tam, Jaworowicz.

Logika, gdyby ktoś dał jej dojść do głosu, odpowiedziałaby zapewne, że życie seksualne sąsiadki z drugiego piętra nie ma prawa zależeć od śmieci tej z pierwszego, ale (może) od jej własnej skłonności do cudzych mężczyzn, tylko kto teraz słucha logiki?

Ta sama logika też zadziwiłaby się temu, że osobę, która pracuje, gotuje, robi zakupy i sprząta, wyzywa się od śmierdzących leni. A ktoś z zacięciem do feminatywów zaraz sprawdziłby, czy istnieje „lenica”, a jeżeli nie, to jest dyskryminacja i należy to naprawić.

– Zaraz, zaraz, a może wie pani coś o tym wybuchu w lesie? – zapytał Tomasz, chcąc po prostu przerwać dywagacje na tematy damsko-męskie. Nie spodziewał się, że może wiedzieć cokolwiek, no ale?

– Nie, na ten temat to nie, ale on twierdził, że steruje światem za pomocą YouTube’a.

– Był nawalony? – zapytała Miłka, bo Donata już tylko siedziała i wypychała w siebie wszystko, co wpadło jej w rękę, pod rękę, albo na talerz, nie wyłączając alkoholu. – Co robisz, kretynko? – zapytała po chwili Donatę, żeby nią trochę potrząsnąć, bo była w stanie totalnego zapchania bigosem, który usiłowała zagryźć piernikiem.

– Nic, postanowiłam, że się zażrę na śmierć. Takie sobie zarte samobójstwo popelnię, żarłobójstwo. Tak się dla niego odchudzałam, tak się głodziłam, a on mi taki numer wywinął?

Nie było pewne, czy chodzi jej o zdradę, o dziecko czy o śmierć.

– No był, jasne, że był, zawsze był czymś nawalony.

– Zielskiem? – Tomasz skubał sernik i czekał na telefon ze szpitala, żeby pojechać po Julitę, ewentualnie do Julity. Nie liczył, że ją wypiszą, ale może ona sama się zdecyduje.

– Zielskiem? Może i zielskiem, ale w sumie to czym popadnie. Nawalał się na okrągło.

– No a co z tym światem? To znaczy ze sterowaniem? Wywoływał coś?

– Podobno trzęsienia ziemi! Ale się śmiał, jak to mi opowiadał, ale mnie się zdaje, że to tylko tak gadał, że to nie były prawdziwe trzęsienia ziemi, tylko jakieś inne. Gadał, że jakoś tak on coś mówi, a coś się gdzieś trzęsie.

*

Zeszli na dół do mieszkania Miłki. Zabrali laptop, a ponieważ Donata nie chciała ich opuścić, poszli razem do domu babci.

Donata zajęła łazienkę.

Dobrze, że babcia miała dwie, bo dziewczyna doznała bóleści i na dłużej zatrzasnęła się w kibelku, z którego od czasu do czasu słycać było jęki.

– Otruły ją?

– A gdzież tam. Przeżarła się! Nic jej nie będzie, dawaj te filmiki.

Postanowili obejrzeć wszystkie występy Merlina.

I raczej się nie zawiedli, a kiedy Donata trzy godziny później wyszła z łazienki ledwie żywa, zastała ich nad laptopem, właściwie dwoma, bo filmiki trwały po pół godziny każdy, a musieli przejrzeć kilkadziesiąt, jeżeli nie ponad setkę.

Zaczęli od ostatnich, choć nie byli pewni, czy to coś da.

– Jak on sterował tym światem? Coś nadawał?

– Jakies przekazy podprogowe?

– Oszaleliście? – Babcia roześmiała się szczerze. – Przecież to wszystko bzdury, ale coś w tym musiało być, trzeba założyć, że on w to wierzył, więc coś robił, coś mówił, może coś powtarzał?

I tak założyli.

*

Arleta weszła do domu weselnego, powiesiła sztuczne futerko, zdjęła buty i włożyła pantofelki na niedużym obcasie, w których zawsze chodziła w pracy, bo to i ładnie, i elegancko, ale też wygodnie. Przyszła sprawdzić stan przygotowań. W ogóle stan wszystkiego. Dziwnie się czuła w tym momencie bez swojego stanowiska pracy. Teraz kiedy naprawdę można było porządnie zarobić, ona tkwiła w marazmie i to tylko dlatego, że jakiś jeden idiota zabił drugiego idiotę, a na miejsce zbrodni wybrał sobie jej chłodnię. Kto mu na to pozwolił? Nikt, idioci z nikim się nie liczą. Na szczęście wszystko powoli (niestety) wracało do jakiejś takiej normy. Co prawda, policja jeszcze nie wydała jej pozwolenia na otwarcie obiektu, ale dała nadzieję, że nastąpi to w ciągu kilku dni.

Nie była pewna, czy zdąży przygotować kolejne wesele, ale że to akurat było dość sownie zadatkowane i niestety mogło się nie odbyć z przyczyn obiektywnych, niezależnych jednak od zadatkującego, musiała się liczyć z koniecznością zwrócenia pieniędzy, dlatego chciała sprawdzić, co się da wykorzystać, jak się da ogarnąć sprawy kuchenne, co można zrobić w ostatnim momencie i czy choć sylwestra dałoby się zorganizować na chybcika. Bo oddawanie pieniędzy za wesele było proste, ale oddawanie tych od prywatnych gości, którzy chcieli u niej spędzić noc sylwestrową, było skomplikowane i pracochłonne, tak więc liczyła, że chociaż ta impreza wypali.

Jak na razie niczego nie odwoływała.

Poszła do kuchni, zrobiła sobie herbaty i zjadła jedną z dość już wiekowych babeczek. Nie za bardzo wiedziała, dlaczego ją zjada, bo raczej nie z głodu, prędzej z przyzwyczajenia. Po prostu tak zawsze działała – herbata, kawał ciasta i do roboty.

Ludzie mają swoje przyzwyczajenia i lubią się ich trzymać.

Niekiedy ze skutkiem śmiertelnym.

Sprzątaczek nie było. Kucharek też nie wzywała, był dopiero wtorek, więc do sylwestra miała jeszcze kilka dni.

Siedziała, rozglądając się po rozbebeszonej przez techników kuchni, w której wszystko leżało na wierzchu, włączając nie ze sztukami.

Wszędzie wały się pokrywki, zapalniczki, deski do krojenia, jakies tasaki, a nawet korkociągi.

Nie rozumiała, czego technicy szukali w sztukach, skoro denat nie został dźgnięty żadnym nożem ani innym ostrym przyrządem kuchennym, ale w sumie było jej wszystko jedno.

Coraz bardziej wszystko jedno.

Piła herbatę i zastanawiała się, co najpierw zrobić. Zacząć sprzątać czy rozejrzeć się po sali i sprawdzić, co z ozdobami i wystrojem.

Kwiaty będzie musiała wywalić, nawet te sztuczne, bo były białe i się strasznie przykurzyły, ale inne zostawi.

Po awanturze z Donatą wszystko było porozwalane, ale liczyła, że może da się to jakoś choć trochę ogarnąć.

I wszystko byłoby nawet w porządku, gdyby na środku pomieszczenia, na wielkim, całkiem ładnie przystrojonym stole nie siedział smok.

*

Diabeł postanowił coś dla Julity wykombinować. Szczur się nie sprawdził, trudno, aż żałował, że go sam nie zjadł, ale postanowił znaleźć coś, co dziewczynę zachwyci. Bo...

Bo on się nią zachwycił, była diabelsko piękna.

Nie była zwiewna, anielska (o co to, to nie!), urocza, ani nawet cudna, była jak najbardziej piękna diabło, diabelnie i diabelsko.

No i jakoś się już do niej emocjonalnie dostroił.

Czuł ją z daleka, z bliska, dniem i nocą. Czuł, że ona jest tą jedyną.

*

Julita otrząsnęła się ze szczura i zadzwoniła do Tomasza, bo w tym momencie do nikogo innego nie mogła zadzwonić.

Rodzinę miała, ale dość daleko, a w święta nie chciała jej psuć humoru – i tak już dostała od matki burę za wybór zawodu oraz oczywiście za to, że ma świąteczny dyżur. Dyżur właściwie dostała trochę na własne życzenie, bo do domu nie chciało jej się jechać.

W domu wszystko kręciło się wokół pewnych tradycji i wcale nie chodziło o te zwyczajne jak choinka czy pasterka, ale o te świąteczne jak „kiedy ty wreszcie męża znajdziesz”, „zegar tyka”, „kto ci poda szklankę wody na starość” oraz „a twoja siostra to już w ciąży z czwartym dzieckiem”.

Julita była, jaka była, ale czwórki dzieci nie planowała, wyjść za męża chciała, ale nie przesadnie, zdawała się na coś w rodzaju loterii: jak znajdzie odpowiedniego faceta, to za niego wyjdzie. Jak nie, to nie.

To oczywiście nie podobało się ojcu, który ją strofował, i gdyby nie wiek, a może i zawód – jej, nie jego – bo córka w końcu była policjantką, pewnie by się do pasa rzucił albo poszedł szukać prodiża, wyposażonego w całkiem mocny kabel, którym lubił czasami pogrozić.

– Odpowiedniego? Odpowiedzialnego? W dupie ci się przewróciło od tego feminizmu, bierz jaki jest, a nie będziesz szukać. Chłop to chłop, każdy taki sam. Patrz: Józek od sąsiada, dobry chłop!

– A z której strony? – śmiała się, ale wcale jej nie było do śmiechu, bo Józek od sąsiada był po pięćdziesiątce, miał troje nieślubnych dzieci i najczęściej można go było spotkać w więzieniu.

– A Artur? Ha?

– Pijak!

– Ty porządnego chłopca od pijaków nie wyzywaj, pije, bo pije, każdy pije, ale pijak nie jest!

I o ile była w tym pewna prawda życiowa, to Julita jednak wolałaby, żeby jej mąż nie zaliczał izby wytrzeźwień pięć razy w tygodniu.

– A Maks, ten od sąsiadki z Gromadki?

– Przecież on ciągle chodzi nawalony! A właściwie to nie chodzi, tylko leży.

– Tobie to nie dogodzisz! Cud, kurwa, panienska się znalazła. Maks nawet nie pije!

– Ale bierze narkotyki!

– Niedługo będziesz miała pretensje do faceta, że schabowego zje! Co ci przeszkadzają narkotyki? Pole obrobi? Obrobi? Co w tym za problem? Za babami nie lata, spokojny jest, grzeczny.

To była prawda, Maks był nadzwyczaj spokojny, całymi dniami leżał na wersalce i gadał z sufitem, wyłącznie. Na inne, bardziej ludzkie zaczepki i zagajenia nie odpowiadał, tylko wywraçał oczami.

Co do pola to jednak problem był, bo zamiast skosić i wymłócić hektar zboża, Maks załatwił na cacy klomby przed urzędem gminy, dwa drzewka i kilkaset metrów żywopłotu, ale ojciec uważał, że nic się nie stało, bo po prostu nie miał kto nim pokierować, i tyle.

– Baby mu trzeba! – wyjaśnił ojciec. – Bierz go! – rozkazał.

– Nie jestem psem! – warknęła Julita i postanowiła odpuścić sobie święta u rodziców.

– I dajcie wy mi wszyscy spokój! Prędeż za diabła wyjdę! – oświadczyła pospiesznie.

Nie zdawała sobie sprawy, że jest ktoś, kto się bardzo ucieszył z tego stwierdzenia. Podobno jak się człowiek spieszy...

No ale to jeszcze nie wszystko.

Istniał posterunkowy Pastusiak.

Piękny posterunkowy Pastusiak czasami istniał aż za bardzo.

Do niego jednak zadzwonić nie mogła, choć oczywiście mogła, ale kobiety lubią utrudniać sobie życie, więc zadzwoniła do Tomasza.

Oderwany od filmików Merlina przyjechał prawie natychmiast.

Były z nim Miłka i Donata. Ta ostatnia ją zdenerwowała, bo istniał przecież posterunkowy Pastusiak, a Donata była naprawdę pięknie zrobiona i w tym momencie już wolna. Wolałaby, żeby się trochę mniej kręciła wokół sprawy.

Julita też przecież starała się być pięknie zrobiona, ale ona się robiła za pomocą ćwiczeń, diet i wyrzeczeń, a to wymagało czasu i nic nie dawało, Donata zaś robiła się za pomocą plastiku, co wymagało tylko pieniędzy i efekty były natychmiastowe.

Julita nie wiedziała, jak by tu Donacie dopiec, i to tak, żeby nie wyszło, że jej dopiekła prywatnie. Bo służbowo mogła, miała prawo.

*

Arleta odruchowo cofnęła się do korytarzyka, którym weszła do pomieszczenia. Po chwili wróciła do sali. Smok był tam nadal. Przetarła oczy. Nie uwierzyła im, choć bardzo wyraźnie jej pokazywały łuski, pazury, błękitny, nieco kłogi grzbiet i pysk pełen szokujących zębów. Smok siedział z nogą założoną na nogę.

Był błękitny. Palił papierosa i kłął.

– No i co ja, kurwa, teraz zrobić?! Szlag, szlag, szlag! – powiedział ewidentnie niezadowolony. Arleta zmartwiła, wyraźnie widziała smoka z papierosem, a słyszała wściekłego hydraulika.

Nie jakiegoś jednego, konkretnego czy znajomego, ale każdego, ostatnio każdy tak kłął, jak wzywała go do zaphanych kibelków.

Nie za bardzo wiedziała, dlaczego słyszy akurat hydraulika, ale ani smok, ani hydraulik nie byli jej w tym momencie do niczego potrzebni, a smok w ogóle budził w niej skrajne uczucia. Miała głębokie poczucie realności tego, co widzi, choć smok jako taki mocno ją zdziwił. Jedną część jej umysłu, możliwe, że ta rozsądniejsza, wrzeszczała głośno (w jej głowie), że smoki nie istnieją, druga, widząc poświęć bijącą od jego łusek, zastanawiała się, czym on je może polerować.

– Możliwe, że został wyhodowany na roundupie – pomyślała – na przykład z jaszczurki?

Czytała ostatnio na jakimś YouTubie, choć wiedziała, że na YouTubie raczej się nie czyta, że smoki żywią się glifosfatem albo benzoesanem sodu.

I że to jest GMO.

Kobieta pomyślała, że może powinna uciekać, ale stała i patrzyła otumaniona.

– Kurwa, kurwa, kurwa! – wrzasnął błękitny smok i strzelił niedopałkiem wprost w Arletę. Uchyliła się, niedopałek trafił w sztuczną choinkę.

Po chwili z choinki zaczęły wylatywać smużki dymu, zapłonęła.

Arleta poczuła swąd, płomienie na choince były tak samo błękitne jak smocze łuski.

– Gaz! Podłączyli mi choinkę do gazu! – krzyknęła Arleta. – Ja tego nie daruję!

Takie podłączenie wcale nie wydało jej się niemożliwe.

– Nie wrzeszcz. – Smok pufnął dymem z kolejnego papierosa, którego wyjął z paczki trzymanej w kieszeni na ognie. – No powiedz i co ja, kurwa, teraz mam zrobić?! Narzeczona mi uciekła. Kto mnie teraz pocałuje? Może ty?

Całowanie smoka było tematem, który w głowie Arlety jeszcze nigdy się nie pojawił, słyszała coś o całowaniu Kopszka, ewentualnie czarownicy, ale pewna nie była. Na coś to miało pomagać.

– O nie, nie będę się całować z jaszczurką!

– Nie jestem jaszczurką, kretyńko! Chodź, pocałuj mnie! To mi pomoże się zmienić. Jestem smokołakiem.

– Ale ty płoniesz!

– A ty pierdolisz!

– Merlin? Czy ty jesteś Merlinem? – Nagle dotarło do niej jakieś podobieństwo smoka do niezjącego człowieka znalezione w chłodni.

Smok nie odpowiedział, tylko rozejrzał się niespokojnie, wsadził odwłok w wąz z zupą, której zresztą wcale nie powinno tam być, i zaczął ją pospieszać.

– Szybko, całuj! – Ruszył ku niej, ociekając zupą, chyba była to pieczarkowa, której nie podawano w Wigilię, a od Wigilii nie podawano nie tylko pieczarkowej, ale zupełnie żadnej zupy. Zachęta ze strony smoka jej nie skusiła, Arleta za bardzo się bała, zaczęła więc uciekać. Przebiegła przez korytarzyk i znalazła się w kuchni. Było to tak głupie, że wręcz bezsensowne, bo z sali było inne, o wiele większe i lepsze wyjście, a poza tym drzwi za kuchnią były całkowicie zablokowane i otwierano je tylko, jak przyjeżdżały dostawy, a i to wyłącznie te większe. Niestety nie zdążyła zamknąć za sobą drzwi, choć nie wiadomo, czy to by pomogło.

– Hej, ty, nie uciekaj, choinka ci się pali – zawołał za nią smok – romantycznie! Chodź – zachęcił ją pazurzastą łapą – zakąsimy jakimś mózgiem czy co?

I tu Arleta wpadła w panikę, bo nie była pewna, czy smokowi chodziło o mus, czy o mózg, mówił niewyraźnie i mijał papierosem pomiędzy zębami długiego i wyszczerzonego pyska.

To spowodowało, że Arleta rzuciła się do panicznej ucieczki. Nie zdążyła zmienić obuwia ani złapać futerka z wieszaka.

Z dzikim, naprawdę rozpaczliwym wrzaskiem uciekała przed goniącym ją smokiem, który był błękitny, palił papierosa i chciał skosztować mózgu.

– Nie ma cię! Nie istniejesz! – wrzasnęła w przyplywie zdrowego rozsądku do smoka, który nie mógł sobie przez chwilę poradzić z zamkiem błyskawicznym, bo on kurtkę puchową jednak zdążył włożyć.

Włożył też puchate, ciepłe kapcie, wyglądające jak dwa wielkie misie koala. Trochę się w nich potykał o ogon.

– Kurwa, ja ci dam, nie istnieję! – Głos smoka się nieco zmienił.

Zamknęła oczy, po czym znowu je otworzyła.

– Jak nie istnieję? Istnieję jak byk! – oświadczył jakiś spory mężczyzna, który nie był smokiem.

Smok, tylną łapą uczepony gałęzi bezlistnego drzewa, wisiał łbem w dół i huśtał się zawzięcie, tworząc błękitną poświatę dookoła.

– Nie ty, on, smok! On nie istnieje, o tam stoi, to znaczy wisi, do niego mówię – wyjaśniła mu Arleta, wskazując na gada.

Mężczyzna rozchmurzył się, spojrział we wskazanym kierunku, po czym jeszcze raz spojrział na Arletę.

– Eeee – wydukał – nic nie widzę.

– Nie widzisz? Tam wisi, taki niebieski! Co ty ślepy jesteś, kretynie?

I tu Arleta trochę przeszarżowała z istnieniem i nieistnieniem smoka.

– Eeee, przecież mówisz, że on nie istnieje? – zdziwił się mężczyzna, wyraźnie poświąteczny. – To jak mam go zobaczyć? Popierdoliło cię?

Arleta zorientowała się nagle, że informacje o smoku chyba powinna zachować trochę bardziej dla siebie.

– Mózg mi chce zjeść – wyjaśniła – muszę lecieć. – Uśmiechnęła się przepaszająco, zrobiła kilka kroczków, bo pantofelki na obcasiku źle reagowały na śliskie podłoże, były to kroczki bardzo ostrożne, ale i tak nie uniknęła katastrofy, zachybotła się w tył, potem w przód, potem znów w tył. Pojechała na podeszwach długim ślizgiem przez kawałek szosy, następnie chodnika, zatrzymała się przy obmurówce trawnika, po czym zaryła twarzą w błotną zaspę czegoś, co jeszcze niedawno było błotem pośniegowym, dziś już jednak tylko błotem.

Chciała wstać pospiesznie, ale nie zdołała się podnieść, na dodatek zrobiło jej się mokro i zimno, spódnica przylgnęła do jej nóg, bluzka okleiła biust i Arleta wyglądała teraz jak otoczona w błotnej panierce pierś z kurczaka.

– To, on, on mnie tak załatwił! – wrzasnęła i wskazała palcem na smoka, ale kilka przechodzących tamtędy osób smoka jakoś przeoczyło, zauważyli jednak mężczyznę, który niepewnie rozglądał się w poszukiwaniu oskarżanego stwora.

Pewne zjawiska – nie muszą być zaraz ani pogodowe, ani nawet nadprzyrodzone – sprzyjają mordobiciom. Po pierwsze trzeba być nawalonym, bez tego trochę trudniej, ale też się da, po drugie potrzebny jest temat, żeby nie powiedzieć motyw przewodni. Pierś z kurczaka w błotnej panierce była kobietą, to wystarczyło.

Mężczyźni bardzo lubią walczyć w imię kobiet, nawet (a może szczególnie) kiedy one same wcale ich o to nie proszą.

– Tam jest smok – wrzasnęła z pozycji leżącej Arleta – błękitny!

Trzej mężczyźni, którzy byli w stanie niedopitego przepicia, ruszyli do walki ze smokiem.

– Ty gnoju! – wrzasnął jeden z nich. – Kobietę? W błoto?!

Nie zwracał się do smoka, bo jakoś go nie widział, ale był tam przecież jakiś facet i to też wystarczyło.

Zamachnął się ręką dość śmiało i choć docelowo miał to być chyba lewy sierpowy, to jednak wyszedł mu prawy sierpowy, który nie dosięgnąwszy celu, załatwił samego atakującego tak, że i on znalazł się w błocie.

Ta zniewaga oczywiście musiała zostać pomszczona i w chwilę potem czterech mężczyzn tarzało się w błocie, usiłując walczyć.

Takie walki w parterze zazwyczaj nie są krwawe, ale za to bardzo głośne i najeżone kurwami, toteż ktoś wezwał posterunkowego Pastusiaka.

W tym czasie Arleta usiadła na chodniku i przytuliła się do smoka.

– Ale mózgu mi nie zjesz? – zapytała, mocno się do niego przycisnąwszy.

Nikt nie zauważył przemiany smoka w śmietnik.

Arletę przytuloną do śmietnika zauważył Pastusiak i po pobieżnym spacyfikowaniu walczących chciał odwieźć ją do szpitala.

– On podpalił mi choinkę, na niebiesko, to może wybuchnąć. Wybuść, wybuc... Wypierdolić się w kosmos, razem z całym moim domem weselnym i osiedlem – wyjaśniła. – Podłączyli mi choinkę do gazu... I ona się pali.

Źrenice Arlety sugerowały to i owo, jej słowa dopełniały wrażenia chaosu, ale wybuch, możliwy wybuch gazu w domu weselnym nie dał posterunkowemu wyboru.

Nie darowałby sobie, gdyby tego nie sprawdził.

Już widział oczyma duszy powybuchowy armagedon, ciała w nieładzie oraz ich części walające się gdzie popadnie. Budyńki w rozsypce.

Podniósł kobietę i podtrzymując ją za łokieć, wrócił z nią do budynku.

W kuchni wszystko było w porządku, gaz nie palił się na żadnej z kuchenek.

– Chodź, mam bułkowe ciastko. – Arleta pokazała mu coś, co sama wcześniej jadła.

Pastusiak nie wiedział, jak się zachować, bo była kobietą, nie była pijana, a zachowywała się jak wariatka, dlatego traktował ją właśnie tak jak nieszkodliwą wariatkę. Przytakiwał jej, zgadzał się ze wszystkim, a tymczasem sprawdzał, co naprawdę się dzieje.

Wziął i powąchał podaną mu bułkę.

Poczuł chemię. Nie, nie tak to miało zabrzmieć, po prostu poczuł zapach jakiegoś chemicznego świństwa połączonego z czymś roślinnym.

Marihuana? Syntetyczna? – pomyślał i zapakował bułkę w woreczek foliowy, potem zadzwonił po techników. Sam wraz z Arletą, dość marnie wyglądającą w tej chwili, poszedł do sali jadalnej, w której naprawdę płonąła choinka.

Sztuczna choinka.

Płonąła dość marnie, bo już się zdążyła wypalić. Znajdowała się w takim miejscu, że pożar się nie rozprzestrzenił, bo barek, na którym stała, był marmurowy, w każdym razie marmur udawał, ale nie był łatwopalny, firanek w pobliżu nie było, dookoła poustawiano talerze, suche i czyste, a sama choinka tkwiła w stojaku ze szklanej kuli.

– Mówiłam, smok – wyjaśniła Arleta – tam siedział, o – wskazała duży stół na środku pomieszczenia – normalnie teraz go nie ma, ale obiecał, że nie zje mi mózgu.

– Dopalacze – odpowiedział jej Pastusiak, owinął ją jedną z wiszących w korytarzyku kurtek i wsadził do radiowozu, żeby zawieźć do szpitala. – To paskudztwo jest niebezpieczne! Nie powinna pani tego zażywać!

Takie gadanie wobec ludzi zażywających, pijących czy palących nigdy nic nie daje, choć każdy z tych ludzi nader chętnie przytakuje i popiera, ale Arleta aż się zatrzęsała z oburzenia. Była przekonana, że niczego nie zażyła.

Z osobami pod wpływem strasznie trudno się rozmawia i nieważne, czy to alkohol, czy to narkotyki, po prostu nie wiadomo, jak i co do kogoś takiego dociera, co rozumie, jak rozumie i co ma na myśli.

No i trzeba pilnować, a nie wierzyć na słowo. Raz taki nawalony facet, u którego w domu Pastusiak był kiedyś przypadkiem, powiedział:

– Muszę coś zjeść. – I poszedł do kuchni.

Dla każdego było logiczne, że zrobi sobie kanapkę, wysiorbie jakąś zupę z gara albo od biedy wtłoczy w siebie tabliczkę czekolady z ogórkiem kiszonym, choć to obrzydliwe.

Niczego innego nie miał.

A jednak.

Zżarł dwa liście filodendronu i trzeba było mu robić płukanie żołądka.

Teraz Arleta została położona na oddziale szpitalnym na obserwację, a Pastusiak poszedł do sali, w której leżała Julita i w której zgromadził się spory tłumek odwiedzających. W sali, nie w Julicie na szczęście.

– I co z nią? – zapytał Tomasz, mając na myśli Arletę, co było właściwie oczywiste dla wszystkich, kiedy im powiedział, co się stało, i dlaczego w ogóle się zjawił w szpitalu.

– Nażarła się jakiegoś syntetycznego świństwa. Pobieźnie rzuciliśmy okiem na to ciasto, było nafaszerowane chemikaliami i, co ciekawe, ślady w tych pudłach po fajerwerkach, co wybuchły w lesie, też były takie same.

– To ona żarła fajerwerki? – zdziwiła się Donata.

Julita się rozpromieniła. Owszem, Donata była piękna i pięknie zrobiona, ale nie była inteligentna. To Julitę bardzo ucieszyło. Głupota nikomu uroku nie dodaje.

A jednak.

– Wiecie co? To jest genialne! – zawołał nagle Tomasz, sprawiając, że świat Julity runął w przepaść. – Przecież ona ma całkowita rację! Żarła, fajerwerki? No może nie dokładnie, ale to fajerwerki żarły chemikalia... Rozumiecie?

Nikt nie zrozumiał.

– Zawołać pielęgniarkę? – Miłka popatrzyła na Tomasza z niepokojem.

– Nie, no co wy! Nie rozumiecie? W lesie wybuchły fajerwerki, przecież nie zrobiły tego same? Tak? Więc ktoś je wybuchł...

– Odpalił – sprostowała Miłka.

– No, odpalił, ale po co? W kupie, w lesie, nocą?

– Zawołam jednak pielęgniarkę, bo ty zaczynasz już rymować! – Miłka nie umiała nie zareagować na nagłe ozywienie Tomasza.

– Nie! Tam były dopalacze! Ktoś chciał się ich pozbyć! Te same, które były w cieście u Arlety, a więc ktoś się bał, że policja je znajdzie, a więc?

– Co więc?

– Burmistrz!

– Co burmistrz?

– Jego żona kupiła las! Gdyby to znaleziono, to byłoby na niego! Merlin tam węszył, więc? Z tą Kaśką tam chodził, tak? Burmistrz go zabił i spalił dowody!

Julita usiadła na łóżku. Miała dość hospitalizacji. Dość leżenia, chorowania i robienia z siebie ofiary. Bycia ofiarą też. W ogóle coraz mniej jej się to wszystko podobało.

– Mnie też on załatwił? – zapytała zaniepokojona, bo jednak burmistrz, to... Nie lubiła polityki. Burmistrz jej nie pasował.

– Możliwe.

– To dlaczego ta kretyńska twierdzi, że całowałam się z babą?! To kto nią był? Żona burmistrza? Czy burmistrz? I są jakieś ślady? Może i ona jest genialna i w ogóle, ale nie bierzecie pod uwagę jednego: dowody! Nie mamy żadnych dowodów! Zabijanie Merlina z powodu wizyty w lesie? Nie, to bzdura! Wiecie, ile osób tam polazło po choinki? Setki co najmniej! I co? Trupy leżą pokotem na ulicach?

Wybuch Julity spowodowany nagłą i oczywiście tylko domniemaną inteligencją Donaty wszystkich zaskoczył.

– I skąd niby burmistrz miał wiedzieć, że Merlin tam polazł? Śledził go? A ja? A Karol? A on sam? Przecież też nie wiadomo, co z burmistrzem, to wszystko bzdety! Ona go zabiła, Donata, a te dopalacze, czy inne gówno, nie mają z tym nic wspólnego.

– Jak to ja zabiłam? Mojego Merlina? Ja, ja bym nie mogła!

– Ha, ha! – Julita nawet się nie starała, żeby udawać śmiech. Poinformowana o wynikach wizyty sąsiedzkiej u Malwiny, ubierając się, z ledwie maskowaną satysfakcją rzucała oskarżenia.

– Co ty robisz? – Tomasz bardzo się zdziwił, widząc czynności Julity.

– Wypisuję się na własne żądanie! – warknęła. – Beze mnie nigdy tego nie rozwiążecie! A ty... Mogłaś wiedzieć o tym dzieciaku! – Żalowała swojej wyprawy z Donatą i tego, że trochę się z nią spoufaliła, ale nie miała zamiaru się tym za bardzo przejmować.

– A wiecie co? – Miłka nieśmiało wyciągnęła jeden palec, jakby bała się, że ktoś jej go odgryzie, jedna z tych dwu harpii walczących o chłopa. Bo napięcie pomiędzy Julitą a Donatą dotyczące posterunkowego było wyraźnie wyczuwalne.

– No? Co? – warknął z kolei Tomasz.

– Malwina! – Miłka rzuciła to imię i czekała na reakcję, a ta mogła należeć do gwałtownych.

– O czym ty mówisz?

– Ona mogła zabić Merlina. Ona mogła wręcz zabić ich wszystkich, albo chce ich zabić, nawet Karola.

– Jaki miałyby powód?

– Spadek, a właściwie trzy spadki, każde dla jednego dzieciaka. I Merlin by się w to wpasował, i burmistrz, i Karol też! Ona albo jej matka. O, i dlaczego mówiła coś o Merlinie, że latał z Kaśką po lesie? Szykowała sobie przestępcę za przestępczego!

– No ale wtedy to nie ma nic wspólnego z fajerwerkami i budą – wydukał Tomasz. Nie miał pojęcia, co, jak, gdzie i dlaczego, ale bardzo chciał, żeby wszystko było poskładane w jedną całość, a nie w szesnaście niespójnych strzępków.

*

Julita spała źle.

Coś łaziło pod jej oknami i krzyczało, że ją kocha. Mogło oczywiście kochać kogoś innego i tylko przez pomyłkę obwieszacza to właśnie jej, pod jej wynajętym mieszkaniem, ale mimo wszystko spać za bardzo się nie dało.

Wydawało jej się nawet, że coś zagląda jej w okna i świdruje ją swoimi błyszczącymi czerwienią oczami.

Niestety nie mogła zareagować.

Nie bała się, nie z takimi świrami miała do czynienia, ale bała się, że zwariowała.

Wypisanie się na własne żądanie sprawiło, że nie zrobiono jej kompletu koniecznych badań, więc wszystko podciągała pod zwidy, majaki i omamy. Musiały być czymś spowodowane. Miała do wyboru uraz głowy albo chorobę psychiczną.

Wybrała jednak to drugie.

*

Nazajutrz rano na posterunku we troje usiłowali rozwiązać zagadkę, jakim cudem Malwina, obarczona trójką dzieci, byłyby w stanie zabić Merlina.

Przecież nie odprowadziła dzieci do żłobka, było za późno, a poza tym Wigilia, nie wynajęła niańki, bo to by było niebezpieczne, a poza tym Wigilia. Nic nie pasowało.

– Przy jednym jakoś by dała radę, mogła go dusić udami – oznajmiła Julita, co natychmiast wywołało zadyszkę u obu policjantów, bo nie czarujmy się, nawet będąc policjantem, wyobraźnię mieć należy.

Nagle nagie, piękne, nie wiadomo jakim cudem opalone uda Malwiny i wystająca spomiędzy nich twarz Merlina pojawiły się przed ich oczami, trochę im mącąc w głowach.

I nie tylko w głowach.

– Wzięła najmłodsze, przystawiła do cyca, zassało, zawisło, drugie pod pachę, trzecie pod drugą... – kombinowała Julita, macierzyństwo w jej wydaniu miało chyba w sobie coś małpiego.

– Nie no, pięciolatek sam już chodzi – oświadczył Tomasz. – Widziałem. Latał sam.

– No to tym bardziej pod pachę. Żeby nie uciekł.

– Przecież nie jego miała dusić, to co jej przeszkadzało, czy ucieka, czy nie?

– No ale musiała go pilnować, taki pięciolatek to już nawet umie chyba mówić, mógłby matkę wydać.

– No właśnie, pięciolatka mogła zostawić matce. Dwa pieluszki przystawić do cyczków i wtedy dusić Merlina.

– Czy wyście oszaleli? – Miłka wpadła po świeże plotki. – Mogła go dusić, ale bez dzieci, bo jak by go potem przetransportowała?

– Wózkiem! Wózkiem dziecięcym go zawiozła...

– Ale dlaczego do... No tak, chciała zwalić na mnie! Chciała mnie wrobić. Bo potem i Karola chciała zabić, więc to logiczne. Dlatego zawiozła go do babci.

– To nielogiczne, lepiej było do ciebie do domu bezpośrednio. Po co mieszać w to babcię?

– Po pierwsze tam nie ma windy, po drugie Karol, tam mógł być Karol. Nie mogła ryzykować!

– Nie, bo on był na imprezie wigilijnej.

– Mogła nie wiedzieć. A potem poszła po coś do ośrodka i walnęła go, zatopiła w cieście i już.

– Jedna rzecz mi nie pasuje: burmistrz – stwierdził Tomasz, choć gdyby tak się uprzeć, to było o wiele więcej rzeczy, które mu nie pasowały.

– Znowu on?

– No bo go nie zabiła.

– Bo jeszcze nie mogła. On ma żonę. Może chodzi o to, żeby ona... No wiecie... Spadek? Najpierw zabić żonę? Potem dopiero burmistrza i dzieciak zostałby bogaczem całą gębą.

Takim sposobem nagle Malwina wyrosła im na krwiożerczą matkę, morderczynię działającą w imię dobra swoich pociech i chcąc wymordować pół osiedla. Trzeba powiedzieć, że matki bywają zagrożeniem, czasami krwiożerczym zagrożeniem, kiedy stają w obronie swoich pociech, nieważne – w słusznej czy niesłusznej sprawie, kiedy obnażają kły, aby wgrzyźć się w szyje synowych, ale rzadko są aż tak zapobiegliwe, by mordować dla spadku, i to niemalże w okresie niemowlęctwa swoich dzieci.

*

– Dzień dobry. – Na komisariacie pojawił się nagle, naprawdę nie wiadomo skąd, jakiś średnio ubrany facet o dziwnym uśmiechu i czerwonych oczach. – To dla pani. – Podszedł do Julity i wręczył jej bukiet.

W chwilę potem zaczął znikać.

– Ale kim pan jest?

– Lucjan, diabeł, znaczy diabeł Lucjan, albo...

Nikt nie wiedział, kim jest, nie było go na monitoringu.

Julita wzięłaby jego pojawienie się za kolejny z wielu objawów swojej (ewentualnej) choroby psychicznej, gdyby nie bukiet.

– Ty? Co to jest? – zapytał Pastusiak.

Bukiet wyraźnie istniał nie tylko dla Julity. Tyle że był dziwny. Duży, kształtny i przystrojony, zawierał trochę suchej trawy, zielone gałązki iglaka, jakiś czarny, wyraźnie przepalony kwiat, choć może to była ta słynna takka, ale nie to było najciekawsze, zawierał też kilkanaście kurzych łapek ze szponami, na których uwiązano czerwone wstążeczki.

– Czy to jest bukiet, czy groźba karalna? – zapytała Miłka.

Julita się obraziła.

*

– Pomyślmy – Pastusiak rzadko pozwalał sobie na takie odzywki, ale dziś jakoś mu się wysnęło – Merlina mógł zabić praktycznie każdy, nie tylko Malwina i jej matka, Karol też, burmistrz, Arleta, Lalina, nawet pani, pani Miłko, i pani babcia, a nawet ta wasza koleżanka, jak jej tam było?

– Alicja?! – Miłka aż się uderzyła w czoło. – No, zupełnie zapomniałam o Alicji, ale w sumie do czego pan zmierza?

– Do tego, że skoro każdy mógł, to w ten sposób niczego nie odkrywamy, za dużo niewiadomych, może należy sprawdzić, kto chciał?

– Albo kto miał prawdziwy motyw.

– Prawdziwy? A te to nieprawdziwe?

– Powiedz mi, ile matek zamordowało ojca swojego dziecka tylko z powodu spadku?

– Na pewno co najmniej kilka, ludzie mordują się z najdziwniejszych powodów, jedna Amerykanka zamordowała swojego chłopaka po to, żeby wyjść za własnego ojca.

– Amerykanie są dziwni – westchnęła Julita.

Na tym stanęło, bo do niczego nie doszli.

*

– A wiesz co? – Alicja oderwała się od laptopa i poszła przynieść dodatkowy kieliszek dla Miłki, bo ona sama już jeden miała i delektowała się właśnie białym winem, po chwili wróciła. – Jestem świeżo po maratonie wróża Merlina i musiałam sobie wina nalać, żeby się otrząsnąć z tego debilizmu.

Kiedy Miłka uświadomiła sobie, że od kilku dni nie rozmawiała z Alicją, osobą, która bądź co bądź przyjechała i pomogła pozbyć się zwłok bez zbędnych pytań, co świadczy o wielkiej przyjaźni i zarazem głupocie, natychmiast poszła odwiedzić koleżankę.

– Ale po co sobie zapodałaś to śmietnisko? – Miłka, choć zainteresowana sprawą, nie interesowała się ezoteryką, wróżbami i horoskopami, więc gdyby także i ona postanowiła sobie obejrzeć, pewnie nic by nie zrozumiała.

– Tak pomyślałam, że to może być... Ciekawe?

– Zgłupiałaś?

– Nie. To mogło być ciekawe...

– Ale nie było?

– Przestań mi przerywać, było! Oczywiście, że było!

Może nawet zdążyłaby powiedzieć dlaczego, gdyby nie wrzaski pod oknem.

Miłka była przyzwyczajona do bloku, gdzie dzieciaki ciągle czegoś chciały od swoich matek i wykrzykiwały teksty w stylu „mamo, rzuć picie”, co, jakkolwiek to brzmi, mogło dotyczyć i dziecięcego picia, i maminego też.

Matki również wrzeszczały z okien, żeby dzieci przyszły na coś tam, ojcowie oznajmiali, że ich żony się puszczają, żony obwieszczały rozmiary penisów swoich mężów, ogólnie trawnik przed blokiem był czymś w rodzaju Facebooka i nawet teraz, w zimie, działał.

Miłka nauczyła się ignorować takie wrzaski.

Alicja jednak wyraźnie zainteresowała się tymi, które właśnie do niej dotarły z dołu spod balkonu mimo wysokości i zamkniętych okien, bo mieszkała na drugim piętrze.

– Zmarcha, złaż! No migiem! – zawołał ktoś głosem przepitego palacza.

– I dych weź, kilku! – dodał ktoś inny głosem przepitej palaczki.

– Już leć! – zawołała Alicja, a widząc zdziwione spojrzenie Miłki, dodała: – No, ubieraj się. Mamy cynk!

– Zmarcha to ty?

– Tak mnie nazywają, a co mi tam? Mnie to nie przeszkadza.

– Nie masz przecież... – Miłka chciała pocieszyć przyjaciółkę, w końcu takie przezwisko nie jest miłe.

– Ale to od tej jednej, takiej, co mi się robi pionowo między brwiami, kiedy się wkurzę...

– Rozumiem, że ci tam na dole często cię widują wkurzoną?

– Nie, ale owszem, trochę tak. Po prostu czasami dla mnie coś robią, a to lenie, więc robią co mogą, żeby się nie narobić, ale chcą, żebym im płaciła, wiesz, sranie takie, ale wpuściłam pytanie, co kto wie na temat budy i w ogóle wszystkiego, co ostatnio kogoś zdziwiło. Widocznie coś mają.

Alicja miała całą sieć pozasieciowych kontaktów. Znała ludzi, których lepiej było nie znać, i potrafiła z tych znajomości wyciągnąć spore korzyści.

Teraz pod domem czekała na nią para okutanych w bure, wyliniałe futerka ludzi bez określonego wieku, otulonych, (a jakże) także wyziewami alkoholu.

– No? – Alicja zagaiła konwersację, trzymając rękę demonstracyjnie w kieszeni.

– Piliśmy tak ze dwa dni temu z takim jednym w lesie, pijak okropny, chła jak dynamit, a oczy to mu już chyba całkiem... Takie czerwone, jak diabli, ale...

Alicja w dywagacje wchodzić nie chciała.

– No ale o co chodzi? Za głodne gadki nie płacę – wyjaśniła, pomna jednego ze swoich „informatorów”, który tak jej nazmyślał, że potem o mało z roboty nie wyleciała, tylko dlatego jej się udało, że dostatecznie szybko dopisała kilka słów w stylu „podobno”, „jakoby” i „chodzą słuchy”, inaczej burmistrz by ją upiekł żywcem.

Pisała drobne teksty do gazetki miejskiej, która mu podlegała, i naprawdę trzeba było uważać, żeby mu nie nadepnąć na jeden z jego odcisków.

Miał ich wiele, wyglądało to tak, jakby on sam był jednym wielkim odciskiem, którego lepiej nie ruszać.

– Ty mi tu z hrabią Drakulińskim nie wyskakuj, ani z zapaleniem spojówek, mów, o co kaman?

– No bo jak myśmy tak sobie popijali za bunkrami, tam z facetem takim jednym...

– Wiem, tym od oczu...

– No i on se bukiet dla dziuni zrobił z takimi kurzymi łapami, pieczonymi, no odpierdoliło mu...

– Nie interesują mnie bukiety!

– A mnie tam nawet interesują – wtrąciła się Miłka. – Jakiś debil wczoraj Julicie podobny przyniósł do szpitala, co to za jakaś moda? Na kurze łapy?

– Dobra, bez bukietów, co dalej z tym chlaniem za bunkrami?

– No tam z samym chlaniem to nic, ale tam jest ta buda. No i ktoś przyszedł, taki jakiś, nie bardzo go było widać, a potem taka jakaś, też nie bardzo, bo się ukrywaliśmy, wódki było mało, a to Wigilia, sklepy pozamykali, to gości nie za bardzo chcieliśmy.

– Taka jakaś, taki jakiś, a mnie to w chuj interesuje... – burknęła Alicja, która potrafiła swój język natychmiast dostosowywać do języka rozmówcy, do jego językowych oczekiwań też.

– Zaraz, nie zmarchuj się tak, zaraz cię zainteresuje – wtrąciła się kobieta. – I ta taka jakaś to tamtego sztorcowała aż miło, że w chuj zarobi, że po co było, że gównu nie interes i że po jaką mendę ten los, a on, że musiał, bo mu się do pieniędzy fikuś dopieprzy.

– Fiskus – poprawiła Alicja – nie fikuś!

– A mnie tam to jeden chuj, ale tak go, o, szarpała, tak go tłukła, że tańczył dookoła budy, a ona za nim migiem leciała jak jakiś pieprzony pershing z demobilu i waliła jak w kaczy kuper.

– Ło matko! Los? Jeżeli los, to Karol, a jeżeli uciekał, to... To Karol i Zenobia? Mamunia synia dopadła? Ale dlaczego?

– Coś jeszcze? – Alicja zaczęła grzebać w telefonie.

– No, że będą mieli strasznie przejebane, jak się dowiedzą, i że trzeba coś zrobić.

– Co chcieli zrobić?

– No tak za bardzo nie mówiła, bo on to tylko „przepraszam ał, ał, moje coś tam”, bo to w oko dostał, to w łeb, bo prała go jak te takie „ojciec prac” z reklamy, po łbie waliła, aż się w błocko wypieprzył, a potem to tylko wrzeszczała, że go zabije.

Miłka podsunęła im pod nos zdjęcie Karola, jakoś tak jeszcze ich kilka miała w telefonie, w końcu zerwanie nastąpiło ledwie trzy dni temu i nie robiła emocjonalnego „sprzątanania świata”. Oboje potwierdzili, że jedną z osób biorących udział w awanturze był Karol.

Zdjęcia matki Karola w zasadzie nie powinna była mieć, bo kto nosi przy sobie zdjęcia tarantuli, skorpionca czy żmii zygzakowatej, ale przeglądając trochę starsze fotki, znalazła jedną grupową, taką z imienin czy urodzin Karola, którą także podsunęła im do obejrzenia.

– O ta z prawej. – Pokazała wyfiokowaną kobietę w garsonce wiejskoślubnej z żabotem.

Oboje z chuchem (mocno zagęszczonym i parującym) pochylili się nad telefonem i zaczęli go trochę przekręcać, żeby lepiej widzieć.

– Ta ze śliniakiem to nie – powiedziało jedno z nich. – Nieee, o ta druga, ta taka ciut skurczona z boku – wskazały oboje, potakując sobie nawzajem – w tym kapelutku.

– Babcia?! – Miłka miała ochotę usiąść z wrazenia. – Jak to babcia? I co ja mam z tym zrobić? O Boże, przecież to masakra, ona okłamała policję!

– Spokojnie, oni też kłamią. – Alicja wzruszyła ramionami. – Nie licz, że powiedzą prawdę.

Miłka nie rozumiała, popatrzyła na koleżankę zdziwionym wzrokiem, potem na dwoje nieco wczorajszych, przedwczorajszych, dzisiejszych i niedzisiejszych informatorów, w których żyłach krążył denaturat sprzed tygodnia i wino sprzed Wielkanocy oraz ochota na więcej.

Wyglądali na spłoszonych.

– Nie ma co ich ciągać po komisariatach, wyprą się wszystkiego.

– Ale babcia się nie wyprze!

*

Tomasz i Julita poszli do budy w lesie przyjrzeć się wszystkiemu w świetle dnia i tak jakby trochę to wszystko bardziej zrozumieć.

– Nie mamy czasu na pierdoły! Co to ma wspólnego z morderstwem? – zapytała Julita z przekąsem. – Bo jak znam życie, a znam, zapewniam cię, znam dobrze, to prokurator powiesi nas za jaja.

– Ciebie nie – burknął policjant naprawdę złośliwie – a to może z morderstwem mieć dużo wspólnego.
– Tylko co? Nawet nie miejsce.
– Możliwe, że rzeczywiście nie miejsce, ale może choć motyw?
– Chcesz znaleźć motyw w tym pieprzonym lesie? Tu nic nie ma.
– A buda? Bunkier, w którym cię znaleźliśmy? Wybuchy?
– Był jeden, a to wszystko wina Donaty. – Odwróciła się w kierunku idącej za nimi dziewczyny. Nie, nie zabrali jej ze sobą, nie zaproponowali wyprawy, nie widzieli żadnego sensu w tym, żeby z nimi szła, ale zaproponowała, że pokaże, jak załatwiła Julitę latarką.

Las był odpychający.

Ludzie potrafią zrobić romantyczne zdjęcie zdychającego krzaczora, omijając to, co najbrzydsze, ale te same miejsca obejrzone ludzkim, a nie mechanicznym okiem potrafią być paskudne. Choć zimą na szczęście nie widać grzybów toaletowych, niestety drzewa są łyse, gołe i rachityczne, krzaki okropne, a wszystko mniej więcej bure, choć bardziej więcej niż mniej.

Szli piechotą, bo liczyli na policyjny „orgazm”, czyli znalezienie jakiegoś punktu zaczepienia. Miejsca, śladu, skrawka donosu, zdjęcia, siekiery albo choć kogoś, kto im wyjaśni kilka spraw.

Liczyć oczywiście mogli, spodziewać się jednak nie.

A jednak się nie przeliczyli.

Kiedy doszli do budy i zerknęli w stronę jednego z bunkrów, odkryli tam faceta o czerwonych oczach.

– Co pan tu robi? – zdziwił się Tomasz, widząc sporego, naprawdę nieco rozchełstanego faceta w bunkrze, przy zaimprovizowanym, dymiącym ognisku.

Dzięki temu dymieniu czerwone oczy nieco umknęły uwadze Tomasza, a właściwie zracjonalizował je sobie. Ludzie wszystko racjonalizują, nawet jak są policjantami, a może wtedy wręcz bardziej, tylko w gorszym kierunku.

Czerwone oczy przywodziły na myśl albo płacz, albo dym, albo narkotyki, ewentualnie zapalenie spojówek. Tomasz wybrał narkotyki, Donata płacz...

Julita zdębiała.

Był tak piękny, że mogła mu wybaczyć nawet kurze odnóża w bukicie.

Oczywiście, że go rozpoznała.

Oczywiście, że on rozpoznał ją...

Stali i patrzyli na siebie jak urzeczeni.

Donata wypięła biust, wygięła kibić i postanowiła oczarować pięknego mena ciałem. W chwilę potem leżała pod bunkrem w błocie, wierzgając nogami.

*

– Babciu?! – zagrzmiała Miłka, wpadając do domu, gdzie babcia siedziała przy lampce wina, jakimś cudem sama. Zazwyczaj sama nie piła, ale teraz wyglądała na odrobinę zdenerwowaną.

– Już wiesz? – westchnęła.

– Co wiem? – Miłka obawiała się, że babcia ją jakoś zagada, zamota i że niczego potem już z niej nie wyciągnie.

– Ale ja go nie zabiłam! Chciałam, ale nie zabiłam.

– O czym ty mówisz?

– Oj tam, o czym, przecież widzę, że jesteś nabuzowana jak bąk, coś do ciebie doszło.

– Fakt, doszło, i to sporo. Co robiłaś w Wigilię w lesie, z Karolem?

– Co robiłam? Co robiłam? Usiłowałam mu przemówić do rozumu.

– Ale z czym? W czym? Dlaczego...

– Dlatego, że jesteś kretynką?

– I to oczywiście moja wina? Jasne, ja zawsze jestem winna. Prawda? Ale wszystko mi jedno, biłaś go podobno?

– I chętnie bym zabiła, ale to było przecież przed Wigilią. Nie cierpię gnoja, nie chciałam, żebyś cierpiała. Władowałam w niego siedem lat, a on cię potraktował jak śmiecia. Chciałam mu dać w kość i dałam.

– Dlaczego tam?

– Bo tam go dopadłam.

– A skąd się tam wzięłaś?

– Poszłam sprawdzić, co oni tam zwalają, ci, co do mnie dzwonią.

– I co zwalali? Widziałas?
– Nie całkiem, ktoś laził i stały jakieś pudła. Coś w nich było, ale nie wiem co. Jakieś paczki. Widziałam, bo jedno się rozwalilo.
– A Karol?
– No właśnie, o to chodzi, że on tam... no był. Też. Był i na dodatek chował to do bunkra.
– Dużo tego było?
– Sęk w tym, że nie. Tylko kilka niedużych pudeł, dlatego nie rozumiem, po co on to tam trzymał, zmieściłyby się w mieszkaniu.
– I co było dalej?
– Nic, przylałam mu i poszłam. Moim zdaniem to był jakiś nielegalny interes. Z legalnym by się tak nie srał, przecież nikt nie ukrywa dostawy skarpet w bunkrach.

*

Kobiety bardzo często mówią, że powierzchowność się nie liczy, że ważne jest wnętrze, a nie samochód. Serce, a nie stanowisko, czułość, a nie dochody.

No i oczywiście nieważne ciuchy, ważny styl.

Diabeł zdobył serce Julity podstępem. Znał kilka diabelskich sztuczek. Jedna nie była nawet jego. Wszystkie kobiety tak mają, jak widzą przystojnego faceta w tarapatkach, od razu się w nim zakochują, bo przecież te tarapaty to na pewno nie jego wina, on biedny, on wspaniały. Rozwód – wina wrednej żony, wywalili go z pracy – szef był psychopata, zamordował kogoś – ten ktoś na pewno sobie na to zasłużył.

Działa zawsze, ale tylko jeżeli facet jest przystojny.

– Co pan tu robi? – zapytał Tomasz, przerywając intymną rozmowę dwóch spojrzeń.

– Koczuję – odpowiedział Lucjan.

Koczowanie w okresie świątecznym w lesie i w takich bunkrowych warunkach to doświadczenie przykre, natychmiast zламаło serce Julity. Tomasz jakoś się nie wzruszył.

– Widział pan tu coś ciekawego? Dziwnego? I od kiedy pan tu jest?

– Jestem od dawna, żeby nie powiedzieć od zawsze, ale koczuję od trzech dni.

– Dlaczego?

– Ojciec mnie wygnał z domu, ale poradzę sobie, tylko czas nie za bardzo...

To oświadczenie sprawiło, że Julita po raz kolejny oszalała z miłości. Poczwała, że są dla siebie stworzeni. Ona też nie lubiła świąt, rodzinnych spędów i paskudnych nasiadówek, pijackich gadek przy stole i sałatki jarzynowej. Ten Lucjan był chyba jej bratnią duszą, tylko należało mu jakoś pomóc.

Pomocna kobiecość wzięła w Julicie górę nad rozsądkiem.

– Ale ten twój ojciec...

– Jest bardzo, bardzo... – zawahał się – wpływowy. Miał pewien problem z określeniem słowa „zły”, jako diabeł przecież jego ojciec musi być zły, a więc jeżeli jest zły, to jest dobry, a jeżeli jest dobry, to jest zły, ale kto oprócz diabła to zrozumie? – To wszystko jest jego. – Diabeł wskazał okolicę.

Może i na tym ten występ by się zakończył, gdyby nie terenowy samochód, z którego chwilę wcześniej wysiadła żona burmistrza. Usłyszała końcówkę rozmowy i zbladła, a potem poczerwieniała trochę ze złości.

– O nie! – wrzasnęła zrozpaczona. – O nie! Ja się tak nie bawię! On nie może być synem Leszka! Nie zgadzam się! Nie ma mowy! Niiieee, kolejnego bachora nie zniosę!

Lucjan, jak na swoje trzysta sześćdziesiąt cztery lata i sześć miesięcy, wyglądał bardzo młodo, ale na pierwszy, drugi i każdy następny rzut oka na syna burmistrza nie pasował, bo ten musiałby chyba uprawiać seks w żłobku, tyle że do burmistrzowej to jakoś nie przemawiało.

– Dlaczego pan Leszyński miałby być jego ojcem? – Tomasz nieco zdrowiej podszedł do tematu wczesnej prokreacji.

– Bo on mówi, że to jest jego ojca, a przecież to jest nasze! Ja to kupiłam, ale jest nasze. Ten las, to wszystko, te... chaszczce, to całe okoliczne gówno!

– Panie Lucjanie, czy burmistrz... – Nie dokończył, ale diabeł doskonale go zrozumiał. Zło potrafi być niezwykle inteligentne, choć inteligencja nie jest warunkiem koniecznym do bycia złym.

– Nie, mój ojciec jest księciem ciemności. No, diabłem jest, jednym z większych.

Tu Julita przez chwilę miała szansę wypłatać się z oków pętającej ją miłości i trochę pomyśleć, ale myślenie przyjęło całkiem inny obrót. No owszem, pomyślała, że piękny Lucjan zwariował albo ma zwidy, ale stwierdziła, że albo da mu się jakieś tabletki, albo ojciec jest wrednym sukinsynem i dlatego syn tak o nim mówi. Zakochane kobiety bardzo szczelnie zamykają oczy na rzeczywistość.

Telefon z komisariatu nieco rozproszył Tomasza. Dzwoniono, by mu powiedzieć, że Karol za nic w świecie nie chce im pokazać losu, dzięki któremu wygrał prawie milion, podobno gdzieś go zawieruszył, ale matka dała się uprosić, żeby im wysłać zdjęcie zrobione losowi bez wiedzy syna. Sprawdzili, los wykupiony kilka dni temu w jakiejś kolekturze pod Suwałkami rzeczywiście wygrał około miliona.

Telefon zakłócił odrobinę dywagacje na temat potomstwa burmistrza, choć żona miała tego potomstwa ostatnio po dziurki w nosie, bo ona w ogóle nie przepadała za dziećmi, a co dopiero nieślubnymi, i to własnego męża. Bardzo burzyły jej spokój i przewidywania finansowe na następne lata.

Nie przyjechała tylko dlatego, żeby sprawdzić, czy Lucjan jest synem jej własnego męża; nie wiedziała nawet o jego istnieniu. Objężdżała włości i chciała zobaczyć, co się dzieje w jej lesie.

Była jak najbardziej zainteresowana budą i bunkrami.

– Nie wolno panu tam wchodzić bez nakazu – oświadczyła Tomaszowi, który, powiedzmy to sobie, zdębiał.

– Przecież każdy tam wchodzi? – odparł mocno zdziwiony.

Bunkry były pozbawione drzwi, bure, brudne, pełne pajęczyn i odchodów. Nie przedstawiały sobą nic specjalnie wartościowego.

– Ale pan nie może! I pani też! – rzuciła do Julity, – O, i ten, co się podaje za potomstwo, też nie pozwalam, żadnego koczowania, jak tylko kupię to wszystko, to tu... zamilkła. – To znaczy jak tylko podpiszę, bo przelew muszę zrobić. To będzie parking wielki, na...

W miasteczku zielonych nie było, szalonych ekologów brakowało, ale robienie parkingu z lasu nie podobało się nawet zwykłym mieszkańcom. Były oczywiście i takie grupy, które propagowały likwidację lasu, lobbowały za tym babcie klozetowe, stowarzyszenie StopKLESZCZ i sprzedawcy plastikowych choinek. Wiadomo – babcie klozetowe liczyły na zwiększony ruch w płatnych kibekach, w końcu gdzieś te sprawy trzeba załatwiać, a jak zniknie las, zniknie szara strefa, StopKLESZCZ-anie byli przekonani, że kleszcze są wytworem Billa Gatesa i wraz z boreliozą przenoszą szczepionkozę z czipami, a wytwórcy plastikowych choinek woleli, żeby w okresie przedświątecznym natura w formie lasu nie kusila ludzi i nie wodziła nikogo na manowce, w końcu kradzież jest grzechem.

– Parking? Przecież to jest las?! – krzyknęła Donata, która las lubiła z racji romantycznych widoków z okna, bo jednak zachód słońca nad parkingiem nie jest tak romantyczny jak nad lasem.

– Wytniemy. – Burmistrzowa, która wyznawała tylko jedną wartość, uśmiechnęła się uspokajająco. Lubiała pieniądze, a najbardziej te własne.

– A plan zagospodarowania? Mówili, że las nie będzie w żaden sposób... Bo tu są różne miejsca łęgowe, trasy widokowe i takie inne, o, drzewa podobno produkują tlen – wyjaśniła Donata. Ona najczęściej siedziała w internecie, więc i najczęściej miała wiedzy.

– A gówno tam, plan się zmieni – burmistrzowa rozłożyła ręce w geście bezradnego zadowolenia – a pana za podawanie się to nie wiem, chyba oskarżę. Wydaje mi się, że to nie będzie trudne.

– Nie podawał się – zawyrokował Tomasz profesjonalnym tonem.

– Podawał się, jestem świadkiem – oświadczyła burmistrzowa. – I powiem jak na spowiedzi, że się podawał.

– Ale jakim świadkiem?

– Swoim własnym, a co? Wolno mi!

Diabeł był trochę zakłopotany. W takich momentach robił się dość nerwowy. Zawodowo, albo inaczej genetycznie, ciągnęło go do ludzi złych, wiadomo, ciągnie swój do swego, ale też ludzie źli byli po pierwsze nudni, po drugie przewidywalni, po trzecie, czy wyważa się drzwi, które są już otwarte? Tak więc wolał tych dobrych. Stanowili i ciekawostkę, i wyzwanie.

Burmistrzowa go wkurzyła.

Przesunął ręką po zmierzwiionych włosach. Burmistrzowa zauważyła dwa wyraźnie widoczne rogi.

– I jeszcze implanty rogów? Na zarcie nie ma, a rogi sobie robi? No nie do pomyślenia! Debil jakiś! Może sobie cały pysk wytatuujesz? Co ci ludzie mają we łbach?

– Jestem diabłem – powiedział Lucjan z uśmiechem.

Taka deklaracja rzadko budzi oczekiwaną grozę. Julita westchnęła z żalem, ale natychmiast stwierdziła, że w sumie lepsze to niż kolejne wcielenie Napoleona, a tabletki pomogą, i choć usłyszała deklarację, nie zarejestrowała tego, co zaczęło się dziać.

Tomasz rozmawiał z kimś przez telefon, Julita podnosiła Donatę, która trochę też przeproszała za wywalenie w blocko, nikt na diabła nie zwracał uwagi.

Tylko burmistrzowa nie chciała mu dać spokoju. Należała do tych ludzi, którzy jak tylko znajdą łagodną ofiarę, usiłują jej odgryźć głowę, no bo takie znęcanie się nad słabszym jest łatwe i przyjemne.

Nawet nie zauważyła, kiedy Lucjan urósł.

Jednak zauważyła jego płonące oczy i to, że pokrył się sierścią.

No i długi, czerwony jęzor też jej się nie spodobał.

– O ja pierdole, co to jest?! – wydała z siebie wrzask, wyrwijając Tomasza z konwersacji i zamyślenia.

Rozejrzał się. Niczego dziwnego nie dostrzegł, bo Lucjan nadal był w bunkrze. I dla niego pozostawał niewidoczny.

Otoczony krwawą poświatą... No, właściwie po prostu świecił na czerwono, ale krwawa poświata burmistrzowej bardziej jakoś przypasowała.

– O ja pier... Ja pier... O kur... – dukała, usiłując się wysłowić, ale to, co widziała, przyprawiło ją o czkawkę.

Zamarła wpatrzona we wciąż rosnącego diabła, którego zdenerwowana diabła natura wzięła chwilowo górę nad tą ludzką.

– A, to? Nic – powiedział, wskazując na zwierzaka na dróżce. – Wiewiórka?

– No to koniec! Zwariowałam! To wszystko od tego wszystkiego! – wrzasnęła. – Ratuunkuuu!

Zaczęła się miotać.

– Tam jest potwór! Diabeł... Diabeł!

Rzuciła się do ucieczki, co w przypadku halucynacji, o które podejrzewała swój umysł, nie powinno było jej się udać.

Teraz diabła widziała już wszędzie!

Swoimi krzykami sprawiła, że wszyscy otoczyli ją kołem, ale też za bardzo nie chcieli do niej podchodzić. Nie chcieli też jej pozwolić wsiąść do samochodu.

– Nigdy więcej tego wszystkiego! Nigdy więcej! O Boże, co on mi dał, to specjalnie, żeby się gzić i robić dzieci! Nie pozwolę mu na to! Obetnę mu jaja! Obetnę, przysięgam, sekatorem!

– Co on i jaki on pani dał? Viagrę? – zainteresował się policjant w Tomaszu, bo człowiek w Tomaszu patrzył na to jednak sceptycznie.

– Mąż, mąż mi dał takie świństwo.

– A, to takie, co tu leży? – Lucjan wystawił łapę, w której trzymał niewielkie pudełko z kawiozem.

Wystawił łapę z okienka bunkra. Była owłosiona, ale wszyscy byli tak zaaferowani burmistrzową, że łapa nikogo nie zainteresowała.

– Co to jest? – zapytał chyba sam siebie Tomasz, odbierając pudełko.

– Takie świństwo do... aaaa! Diabeł! – Burmistrzowa nie bardzo wiedziała, jak uciec i co się dzieje.

– No to mamy kłopot. Musimy wracać. Trzeba chyba pogadać z Arletą. Czy badaliśmy Merlina na doping? Może coś z viagrą czy może on stosował dziwne praktyki seksualne?

– Tylko ciasto drożdżowe chyba.

– A podduszanie? Donata? Co z podduszaniem? Robiliście?

– Nie, bo... Nie, no – splonęła się jak pensjonarka – nie, no, nie...

– No do cholery, zachowujesz się jak debilka, jak nie, to nie.

– Chodzi o to, że on lubił różne dziwne, ale nie duszenie.

– Jakie dziwne?

– No, w fartuszku.

Tomasz popatrzył na Donatę. Ze swoją figurą w fartuszku mogła wyglądać interesująco.

– I z motelką do kurzu czy z mopem musiałaś paradować? – zapytał i po raz pierwszy poczuł zawstydenie podczas rozmowy o porządkach. Ludzie potrafią wszystko sprowadzić do kopulacji.

– Nie ja! On!

*

Tomasz obejrzał dokładnie puszkę, w której miał być kawior. Jak się okazało, była w nim syntetyczna marihuana. A dokładniej jakieś przypadkowe zielsko nasączone chemikaliami, które było zdecydowanie niebezpieczne.

Arleta miała to u siebie w domu weselnym. Wszystkim wydało się to co najmniej ciekawe.

Po ostatniej akcji z ciastem i błękitnym smokiem Tomasz podejrzewał, że Arleta naćpała się i udusiła Merlina w pewnym sensie przez przypadek, u siebie, może nawet w chłodni, ale to trochę mu nie pasowało.

– Bo zobacz – powiedział do Miłki, z którą razem wybierali się do Karola do domu, żeby przesłuchać jeszcze raz i jego, i matkę – to takie jakieś grubym kordonkiem szyte – stwierdził.

– Nićmi – burknęła babcia.

– No ale kordonek to też nić? Tak?

I to właśnie tak wyglądało – niby wszystko było w porządku, a nie było.

– Arleta miała to u siebie, chyba w puszkach po kawiorze, nawet Lalina po to przychodziła.

– Nie. Arleta miała kawior w puszkach po kawiorze. Lalina przychodziła po kawior, nie wmówisz mi, że po dopalacze. O ile kawior był jej potrzebny, to dopalacze nie.

– Naiwna jesteś. Bo ty wiesz, komu i co jest na sto procent potrzebne. Nic nie wiemy. Może się odurzała?

– Dopalacze to taki trochę „młody” narkotyk, dorośli, może powiedzmy, nieco starsi ludzie szukają czegoś stabilniejszego, a nie śmieci. Poza tym mają pieniądze na lepsze używki.

– No to może Karol?

Karol się w to nie wpasowywał, ale pasował.

– Odurzał się?

Miłka była przekonana, że nie, ale też mogła nie wiedzieć. Całymi dniami nie było jej w domu, mógł, choć wierzyła, że jakoś by to musiała dostrzec. Jeżeli jednak wziąć pod uwagę setki rodziców młodocianych narkomanów, którzy o nalogu dziecka dowiadują się, kiedy jest już naprawdę późno, to mogła po prostu być naiwna.

– Nie, no, nigdy niczego takiego nie zauważyłam – stwierdziła po chwili wahania.

– A może zauważyłaś, kiedy on ostatnio wyjeżdżał do Suwałk? – Tomasz miał nowe sitko na kołeczku.

– Nie wiem, co do tego mają Suwałki, ale nigdy, o ile mi wiadomo, nawet do Wrocławia nie jeździł, nie lubi. Wszystko załatwia zdalnie, jeżeli cokolwiek załatwia. Przez ostatnie dwa lata dupy z domu nie ruszył.

– To jak on kupił ten los?

– Los, sros. – Babcia Miłki nie zamierzała się nie wtrącać. – Ktoś mu mógł kupić? Mógł, wiesz, że nie lubię gnoja, ale ten los tu pasuje jak gówno do tortu. Bardziej Arleta. Ona lubi kombinować.

– No właśnie wiem, wszystko ma lewe, przeterminowane żarcie, stare konserwy, kwiaty z odzysku, co się da. No i ten smok. Mogła się naćpać.

– No raczej nie mogła, tylko musiała. Jakim cudem zobaczyłaby smoka?

– Wczoraj to wiem, ale wtedy w Wigilię? Mogła się naćpać, przyszedł Merlin, zaczął się rządzić, żądać czegoś do ślubu, zmieniać to i tamto, może chciał innej muzyki, ona była nawalona i go udusiła.

– Po pierwsze on też był nawalony, po drugie on był spory.

– No to nawalili się razem. Pobili albo, czy ja wiem, on robił za smoka, ona za modliszkę, jakiś seks w chłodni i tak jakoś wyszło?

– Nie, nawaliła go, a potem udusiła. Bez nawalania siebie, znaczy ona jego naćpała, a nie siebie.

– Tylko po co?

– No, żeby go zabić?

– Ale za co? Za co miałyby go zabijać? Jakiegoś motywu mi dajcie choć kawałek. Chyba jeszcze się u nas za cenę talerzyka nie lata z siekierą! Co ona tam miała za interesy w tym domu weselnym?

– Z akt wynika, że pośredniczyła w lewych ślubach, takich dla zdobycia obywatelstwa, to przynosi spore zyski, może do tego wróciła?

– Albo poszło o zepsute mięso? – Miłka przypominała sobie o tym, co przewoziła jej Alicja i jak śmierdziało w bagażniku.

Tomasz wzruszył ramionami.

– Od tego jest sanepid, nie siekiera!

– No właśnie, powiedział coś o sanepidzie, wściekła się i udusiła.

– A potem przewiozła?

– Logiczne. Nie chciała, żeby ktoś go znalazł u niej. Choć przez przypadek w końcu wrócił na miejsce zabójstwa. Własnego... Cholernie dziwne.

*

Julita wraz z diabłem zapakowali burmistrzową do samochodu, choć właściwie bardziej Julita złapała uciekającą przed diabłem burmistrzową i wepchnęła ją siłą do auta.

– Co ona z tym diabłem? Oszalała czy jak? Ja rozumiem, że gadasz głupoty, ale przecież nikt nie powinien ci wierzyć.

*

Tomasz miał kłopot, i to spory. Merlin nie bardzo mu pasował do całości jako ofiara. Był z doskoku, ludzie go znali raczej jako gwiazdę internetu, a nie człowieka z krwi i kości, oprócz oczywiście kilku pań, ale nawet najbardziej szalone w łóżku poza łóżkiem nie mordują przygodnych kochanków.

Był jakiś los, jakiś kawior, jakieś dopalacze i nikt nie umiał się w tym połapać, do tego las, diabeł i całe to świąteczne zamieszanie.

Diabeł, jako leszyński artefakt do przyciągania turystów, nawet się w to wpasowywał, ale koczujący w bunkrze bezdomny, jako diabeł, wydawał mu się naprawdę marnym pomysłem.

– A ten tam diabeł? – zapytał Miłkę, kiedy już wychodzili z domu babci.

– Naćpany? – Miłka nie miała zdania, ale po tym, co opowiedziała jej telefonicznie Donata, mogła mieć na ten temat jakieś zdanie. Ostatnio kontakty z Donatą nieco się jej zintensyfikowały, nad czym bolała, bo nie był to ktoś, z kim chciała mieć za bardzo do czynienia.

Donata była intensywnie upierdliwa i przedawkowała własne widzenie świata, które usiłowała narzucić innym.

– Zaraz, ty masz rację! – zawołał Tomasz. – Przecież to jasne jak słońce! Diabeł, tfu, ten pieprzony Lucjan, to jego sprawa! Jest silny jak byk i odrobinę nienormalny, on mógł to zrobić. Mógł, musiał, zrobił? Czy ja wiem? Pasowałby jak cholera.

– Ale jak?

– Jak? To akurat proste, gorzej z „dlaczego”, ale proszę bardzo. Bezdomny w bunkrze naćpał się, była Wigilia, mariochowa powoduje głód.

Miłka westchnęła rozzłością.

– Syntetyczna też? – zapytała, żeby wprowadzać element racjonalności do świeżo wyklutej teorii.

– A cholera ją wie, ale głód to głód, bez marychy też się pojawia, facet wlaź do chłodni, zaczął kraść, może nawet kawior, zobaczył Merlina, ten chciał go pogonić albo złapać, tak to jest załatwiać takie sprawy bez udziału policji, uduśił go, potem się przestraszył, wyniósł go i wsadził do pierwszej lepszej chałupy?

– To nie było innych między tym pieprzonym domem weselnym a domem babci? Były, i to wiele, o ile mieszkanie babci jest o kilka kroków od mojego, to jednak całościowo do domu weselnego jest kawałek.

– No to co? Przypadek? Przecież też się zdarzają?

– Bez sensu. I on, ten bezdomny głodny, a więc bez forszy, czyli możliwości wezwania taksówki, bez samochodu taszczył Merlina na plecach przez taki kawał drogi? No, nie wiem, ale dawaj dalej.

– No i on ukradł kawior, zabrał go do bunkra, zżarł, potem wpakował tam marychę? Oddał nam, bo i tak byśmy znaleźli?

– Burmistrzowa zakazała nam wchodzić i kto dobrowolnie oddałby coś takiego?

– Ale po takim tekście natychmiast polecałbym po nakaz, więc się przestraszył, że znajdziemy.

– A Karol?

– Ja to w ogóle nie mam pojęcia, po co on się w tym wszystkim płacze. On tu jest bez tołku, matolku i bez sensu, nawet najmniejszego! Ten bezdomny nawet pasuje, problem, że to zabójstwo jest bez sensu, nie musiał go dusić, mógł uciec. Nawet nawalony chyba prędzej powinien wziąć pod uwagę ucieczkę niż morderstwo, ale jest jeszcze coś, facet twierdzi, że jest diabłem, czyli może być świrem, i tu powstaje problem, bo jeżeli jest niepoczytalny, to jego działania też nie muszą, a czasami nawet nie mogą, być logiczne.

*

Julita odwoziła burmistrzową, a potem wróciła do lasu, gdzie, niestety, ze swojego punktu widzenia zostawiła Donatę z diabłem.

Owszem, na chwilę, ale nie spodobało jej się to, co usłyszała po powrocie.

– Wiesz, że mnie pytał, czy urodzę mu dziecko? Wyobrażasz sobie? Taka deklaracja? Przecież on się chyba we mnie zakochał, no a wiesz, jestem szczerbata, a on mimo to... To musi być miłość... W każdym razie uczucie. Natychmiast lecę do dentysty, chwilówkę wezmę, bo wiesz, jak ja będę na ślubie się prezentować? A choćby chwilowo nie na ślubie, to przy ciężowych zdjęciach na insta trzeba się uśmiechać, to mus.

Lucjan, owszem, miał uczucia, ostatnio wręcz coraz głębsze, jednym z nich był strach przed ojcem i chęć zapewnienia sobie potomstwa.

Julita miała ochotę Donatę kopnąć. A może nawet skopać i zakopać, ale postanowiła zadziałać inaczej – wpakowała Lucjana do samochodu i zawiozła go na posterunek, gdzie była jedna wolna, a nawet nieużywana cela. To powinno starczyć na dzień czy dwa. Nie była na tyle nieostrożna, żeby zabrać go do swojego mieszkania. Jeszcze.

*

Kiedy dotarli do domu Karola, wszyscy domownicy, jak poprzednio, siedzieli za stołem, ale obrus nie był już taki świąteczny, choć i tym razem zabezpieczony był przezroczystą folią.

Wyraźnie jego matka, Zenobia, hołdowała wciąż tym samym zasadom. Wszystko okręcała plastikiem, pakowała w woreczki foliowe i zabezpieczała przed zużyciem.

Zenobia natychmiast zwróciła uwagę na ich zdziwione miny, bo o ile ostatnio trochę ją rozumieli, albo choć usprawiedliwiali, w końcu biały obrus haftowany ręcznie to jednak coś, to teraz jakoś nie rozumieli.

– O planetę dbam – burknęła z niezadowoloną miną.

Dbanie o planetę kojarzyło się Tomaszowi z eliminacją plastiku, a nie z zaścielaniem nim całego domu włącznie z kanapą i dywanami.

– Ale... – nie zdołał dokończyć.

– Bo ludzie to debile! Nie pojmują, ile tych chemikaliów idzie w praniu, no więc ja nie piorę.

– Wcale?

– Wcale! – warknęła. – No i tak jest oszczędniej.

– Wszystko mi jedno – powiedział Tomasz naprawdę zmęczonym głosem. – Los! Chcę zobaczyć ten los.

– Ale dlaczego?! – Karol się najeżył, w momencie kiedy Miłka wraz policjantem przekroczyli próg salonu, a teraz już praktycznie warczał. – Chcecie mi go odebrać?

– Zdużniałeś? – Miłka walnęła go słowem jak obuchem między oczy. – Chcemy tylko zobaczyć.

– Ta, jasne, teraz to chcesz zobaczyć, a jak cię prosiłem o pieniądze, to nie chciałaś dać! To teraz wara. Bez nakazu nie pokażę, mogę i znam swoje prawa, wy chcecie mnie pozbawić człowieczeństwa.

– Debil!

Karol jakoś nie za bardzo mógł załapać, o co chodzi, ale wkrótce załapał.

Tomasz bezceremonialnie wyciągnął telefon i zadzwonił do jednego z podwładnych.

– Co odkopaliście? – zapytał trochę weselej, widząc minę Karola.

– Dużo, szefie, bo ten facet spod Suwałk, co nagle tak się wzbogacił, wiadomo o kogo chodzi, uwalił się i zaczął gadać, no i wiemy już komu i co.

– Na sto procent? No to dziękuję. – Tomasz uśmiechnął się szeroko do Miłki. – Kiedy będziecie?

– Już jesteśmy pod drzwiami.

Rozłączył się nieco zamyślony, ale jego mina świadczyła, że się z czegoś ucieszył.

– Pani Zenobio Maciążek, aresztuję panią jako podejrzaną o zamordowanie Merlina Kęsickiego – wyrecytował ze sporą przyjemnością, patrząc, jak Zenobia staje się błąda jak ściana.

– Aale to nie ja – wydukała i zaczęła uciekać. Nie miała szans, oczywiście, tym bardziej w kapiach, a ucieczka po mieszkaniu nie była w ogóle sensowna.

Mina Karola zdziwiła nawet Miłkę.

– Zabiłaś go? Mamo, jak mogłaś?! – oburzył się jakoś chyba nawet szczerze. – W jakim świetle mnie stawiasz?! Nie mam zamiaru być postrzegany jako syn morderczyni!

Jeżeli Zenobia liczyła na jakieś wsparcie, to się srogo przeliczyła.

– Dzwoń po adwokata – zawołała do męża, ale ten tylko westchnął.

– Dadzą ci z urzędu, nie ma co przeplacać, zresztą przy sprawie o morderstwo nie masz szans, lepiej się w to nie babrać i w sumie nie musiałaś, wcale nie musiałaś go zabijać. Naprawdę nie rozumiem, co ci strzeliło do głowy!

Zenobia oniemiała.

Jej dwaj mężczyźni, ci, którym poświęciła całe swoje życie, o których dbała w każdym szczególe, którym ogarniała wszystko od skarpetek po układy towarzyskie, wystawili ją do wiatru.

Miłka zauważyła nawet coś w rodzaju przebłysku nadziei na twarzy niedoszłego teścia oraz uporu na twarzy Karola.

– Ale ja go nie zabiłam! – wrzasnęła podejrzana.

– To pani tak mówi. – Tomasz podszedł do niej, ale wcześniej wpuścił do mieszkania dwóch posterunkowych umundurowanych i zaopatrzonych w kajdanki.

– Przecież to bzdura! Po co miałabym go zabijać? I dlaczego...

– No cóż, podejrzewam, że chodziło o syna, miał jakieś interesy z Merlinem. Lewe jak przypuszczam. Dlatego musiał pożyczyć pieniądze na los.

– Tomek, ja tu czegoś nie rozumiem, owszem, wygrał, owszem, wspaniała sprawa, dzięki temu nie wyszłam za debiła, ale co, do cholery, ma do rzeczy te trzy złote czy tam cztery na los? To takie ważne?

– Jakie trzy złote?

– No te, które pożyczył na los.

– A kto ci powiedział, że to trzy złote?

– Dobra, trzymaście, co to zmienia?

– Otóż nie, on na los wydał osiemset tysięcy.

– O ja pierdołę. – Miłka aż usiadła. – Osiemset? Jaki pieprzony los tyle kosztuje?

– Wygrany! – Tomasz się roześmiał. – To stara metoda na Urząd Skarbowy. Masz nielegalne dochody, ale takie naprawdę spore, w milionach, ale nie możesz ich wpłacić do banku, bo zaraz ktoś cię zagadnie, że przeprasza, ale skąd tego tyle? Kupujesz los, taniej, drożej, w każdym razie kupujesz, a potem jakby co, to skąd pieniądze?? Z wygranej! Niezłe, co?

– Nie, to jeszcze głupsze, skoro miał aż takie dochody, to po co pożyczał?

– No miał, ale musiał pożyczyć dwieście tysięcy, brakło mu, a reszta paliła mu kieszenie żywym ogniem.

– To on miał taką forszę i żerował na mnie?

– Owszem, oszczędny jest, po mamusi. I na tym polegał problem mamusi: zabiła Merlina z oszczędności. Dwieście tysięcy to kupa forsy, a ktoś, kto wygrał, nie obniży ceny, najwyżej podwyższy. Poszła za nim, zobaczyła go w chłodni, udusiła... zataszczyła do babci do domu, żeby was skompromitować, a nie do mieszkania, gdzie mieszkałaś z Karolem, żeby nie było na niego.

– Ale jak go sama zataszczyła?

– Zenobia jest silna – oświadczył mąż, budząc grozę w oczach małżonki.

– No właśnie.

– Ale to nie ja – jęknęła załamana kobieta.

– Mamo, nie kompromituj się! Mogłaś zabić, to powinnaś też wziąć za to odpowiedzialność!

Zenobia jakoś poszarzała. Jak większość kobiet na świecie, urządziła swój świat wokół dwóch filarów, o które nierzadko dbała – wokół męża i syna, robiła dla nich wszystko, była ich służką i podnóżkiem i wierzyła, że ją kochają, ale nikt jej nie powiedział, że rzadko kto kocha służących. Owszem są przydatni, ale tylko tyle, a jak przestają być, to nikt za nimi nie tęskni, po prostu się ich wymienia.

– Jak możecie? – jęknęła skonsternowana, zupełnie nie wiedząc, co się dzieje. – Ja wam, ja dla was... Co się teraz ze mną stanie?!

– No moja droga! Ty myślisz tylko o sobie! A co ja powiem moim studentom? – obruszył się szczerze mąż. – Przecież będą mnie wytykać palcami!

Miłka swojej niedoszej teściowej nie lubiła, ale w tej chwili było jej Zenobii trochę szkoda.

*

Lucjan w celi nie czuł się dobrze, choć nie była nawet zamknięta. Mógł z niej wychodzić i nawet to robił. Wałęsał się po parku i po ulicach miasta jako tako ubrany i co chwila zagadywał do przechodzących obok kobiet:

– Urodzisz mi dziecko?

Po takim tekście dostawał zazwyczaj z liścia albo z torebki, a raz nawet z buta.

Zupełnie nie rozumiał tego nowoczesnego świata.

Większość pytanych, zamiast odpowiedzieć coś w stylu „nie”, natychmiast zaczynała wrzeszczeć, jakby był jakimś zbrojcem. Rzeczywiście to słowo przewijało się najczęściej.

W końcu tyle było zgłoszeń o molestowaniu, o zbrodni i o atakach w parku, że Julita jednak zamknęła go w celi na glucho, jeszcze nie wiedząc, co ma z nim – jakkolwiek to zabrzmi – począć.

*

Mundurowi skuli Zenobię. Powalona na emocjonalne łopatki reakcją męża i syna nawet się nie broniła, choć cały czas powtarzała, że nie jest morderczynią.

– I... I... Karola ktoś chciał zabić, a przecież nie ja – próbowała zyskać jakieś atuty. – Ja bym go nie zabiła!

– Mogła to pani zrobić dla niepoznaki! – odparował Tomasz.

– Ale... Nie, to zupełnie bez sensu, nie macie racji! Karol, zrób coś? Powiedz ojcu, żeby... No przecież nie pozwolił ci mnie wsadzić do więzienia?!

Karol spojrział na ojca, ojciec odwzajemnił mu się spojrzeniem.

– Nie pomyślałaś o nas, kiedy postanowiłaś dokonać tego morderstwa, prawda? Jak zawsze myślałaś tylko o sobie, no ale, jak to się mówi, karma wraca, nie myślałaś, co my będziemy czuli? W jakim świetle nas to postawi? I teraz liczysz na nasze wsparcie? Naprawdę, kochanie, naprawdę...

– Właśnie – wtrącił się Karol, jakby chciał podsunąć ojcu słowo – właśnie o to chodzi, mam! Radź sobie sama.

– Kiedy ja go nie zabiłam!

– Nie bądź naiwna, policja wie, co robi.

Wyprowadzenie Zenobii w kajdankach obserwowali wszyscy sąsiedzi. Była zgaszona, żeby nie powiedzieć załamana. Załamana była też Miłka, bo nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo ona sama była naiwna.

*

Donata postanowiła zrobić imprezę przedsylwestrową poświęconą Merlinowi. Początkowo chciała urządzić ją w ośrodku, bo było to miejsce, które zmarły znał i lubił, ale okazało się, że jednak jest tam za mało przestrzeni i, co ważne, impreza kosztowałaby za dużo.

Za to Arleta zgodziła się bez problemu. Donata, kiedy już wzięła chwilówkę na RRSO 600 procent postanowiła się nie ograniczać, zrobi zęby i przyjęcie, a resztę się jakoś zobaczy, no i interesujący facet też zostanie zaproszony, a wyglądał na takiego, którego ojciec, choć wredny, jest bogaty.

– Przyjdiesz? – zapytała Miłkę. – Wiesz, takie jakby wspominki czy coś, wiem, że go nie znałaś, ale przecież uczestniczysz w tym śledztwie, to do czegoś zobowiązuje.

Tomasz postanowił przyjść służbowo, choć właściwie już nie musiał, ale coś go jednak kusiło. Babcia oświadczyła, że za nic nie przepuści takiego eventu, może znów ktoś kogoś zamorduje, a to niezła odskocznia od przesłodzonych świątecznych reklam.

Karol postanowił przyjść, licząc, że odzyska Miłkę.

Julita postanowiła sprawdzić, jak jej Lucjan zachowa się w towarzystwie.

W sumie nikt nie odmówił. Nawet Alicja miała się zjawić. Wszyscy trochę współczuli Donacie.

Malwina, córka Marchewkowej, też się wybierała.

Można by powiedzieć, że cały leszyński światek zamierzał się tam pojawić, bo przecież każdy miał sprowadzić jakiegoś partnera albo partnerkę.

Zresztą Donata zrobiła wydarzenie na Facebooku. Zainteresowanych zebrała jakieś trzysta osób, na szczęście wydarzenia na Facebooku to przerost formy nad treścią, więc jako zdecydowane oznaczyły się trzy. Na szczęście, bo dla trzystu miejsc nie było.

*

Usadzona w celi Zenobia mogła tylko płakać. Mogła też pomstować na męża i syna, co bardzo chętnie i kwieciste robiła. Mogła jeszcze dziwić się niektórym swoim zachowaniom, a w chwilach, kiedy się im dziwiła, też wybuchala płaczem.

*

– Naprawdę sądzisz, że to ona? – Milka jakoś nie umiała sobie tego wyobrazić. Przez siedem lat związku z Karolem Zenobię zdążyła poznać i choć nie udało się jej w żaden sposób polubić, to jednak dziwnie się czuła, myśląc o niej jako o morderczyni.

– Tak, ale jeszcze wszystkiego nie ogarnąłem. Wiem na przykład, że Karol kupił ten los, wiem, że ma z czegoś dochody, wiem, że robił interesy z Merlinem, ale nic więcej nie wiem, możliwe, że to nie ma żadnego znaczenia.

– A ona go zabiła z powodu...

– Podejrzewam, że chodziło o te dwieście tysięcy, wiesz, jaki jest Karol, on pożyczył, ona musiałaby spłacać tę pożyczkę.

I to była prawda.

– No ale zabijać? Ona jest koszmarna, zgadzam się, wredna, owszem, głupia też bywa, ale zabijać? I na sto procent nie mogła zataszczyć faceta do nas sama.

– Na sankach? Mogła.

– A schody?

– Nie utrudniaj! – naburmuszył się Tomasz. – Ja nadal nie wszystko mam ogarnięte, a ty piętrzysz problemy. No bo... Ona mogła walnąć Julitę w tym lesie. Mogła, bo śledziła Karola, żeby się dowiedzieć, co to za interes, bo ten interes...

– To nie wie? Nie wie, co to za interes, a zabija? Zdużniałeś?

– Nie powiedział jej, bo wiesz, jaka jest, wtrąca się do wszystkiego.

Prawda była taka, że Zenobia miała paskudny zwyczaj pouczania każdego, i to nie w sprawach tak zwanych życiowych, a w każdym razie nie jedynie. Gdyby jeszcze tylko doradzała, to można by to jakoś puścić mimo uszu i znieść, ale ona decydowała. Na przykład mówiła do sprzedawczyni: „Pani nie waży jej dwudziestu deka tego sera, ta jej wnuczka jest za gruba, wystarczy dziesięć”. Albo wydzierała kobiecie buty ze słowami: „Zostawi pani te koszarne buciska, a już! Szpilki nie dla matek! Tam są porządne, adidasy, dziecku lepiej coś kupić”.

Jej agresywny, nieznoszący sprzeciwu ton doprowadzał ludzi do szału, ale to w sumie dało się jakoś obejść, ludzie po prostu uciekali, natomiast gorzej było, kiedy pouczała na przykład lekarza, jak ma jej założyć gips. Tak go pouczała, że prawie oszalał, w końcu założył jej tak jak sobie życzyła, dokładnie według jej wskazówek.

Strasznie trudno było jej chodzić, kiedy przygiępsował jej obie nogi, jedną do drugiej, tak jak chciała, choć zwichniętą miała ledwie rękę w nadgarstku. Nie trwało to długo, bo szybko ten gips zdjął, ale to jej niczego nie nauczyło.

Milka westchnęła.

– No tak, tu masz rację. Ja też bym jej w życiu nic takiego nie powiedziała. Czyli zabiła go, zataszczyła do mnie, żeby mnie w to wpakować, a potem poszła do chłodni? I przypadkiem spędziła noc z ofiarą? I do tego własną?

– No trochę tak. Wy zostawiłyście go w parku około północy, a wcześniej? Co było?

– Tak z godzinę się z nim mordowałyśmy.

– A czy on mógł tam się pojawić wcześniej?

– No mógł, jeżeli babcia wróciła do domu furtką od ogródka, to tak, bo ja to się napiłam i spałam. No i płakałam też.

– Wróciła?

– Bo poszła rozmówić się z Karolem i chyba nawet mu przylała.

– Gdzie?

– W łąb?

– Matko jedyna, nie o to pytałem! Mów: gdzie się z nim spotkała?

– W lesie, koło budy.

Tomaszowi buda zaczynała bardzo, ale to bardzo przeszkadzać. Z tego, co się działo, wynikało, że coś się z nią wiąże, ale nie rozumiał co. Wszyscy tam wędrowali jak do jakiejś wyroczni, fajerwerki też były dziwne.

*

Zenobia mogła tylko płakać. Mogła też wściekać się na męża i syna, co bardzo chętnie robiła. Mogła jeszcze się dziwić, jak to się stało, że znalazła się w celi, ona, która w żadnym razie nie powinna była się tu znaleźć, mąż powinien rzucić się jak Rejtan przed policjantów i popęlnić harakiri, a syn powinien tłuczkiem, albo siekierą, bo tłuczek jest mało elegancki, rzucić w Tomasza.

Powinni jej bronić, za to, co dla nich zrobiła, za to, co robiła przez całe życie, za uprane skarpetki i ugotowane obiady, za kanapki podtykane pod nos, za wyprasowane spodnie i sznurówki do butów jak w rodzinie królewskiej,

za pachnące prześcieradła i pierogi z jagodami, za kieszonkowe, które im wydzielala, za ratowanie z każdej opresji.

Niestety obraz świata zmienia się w zależności od tego, kto ten świat obserwuje.

Jej mąż i syn nie lubili pierogów, nie dbali o prasowane sznurówki, prześcieradła nie miały dla nich większego znaczenia, a wydzielanie kieszonkowego doprowadzało ich do szału. Ona to robiła dla nich, ale kto wie, czy nie dla siebie. Teraz kiedy nagle zniknęła, poczuli, że ich ubezwłasnowolniała. Zenobia naprawdę była zawiedziona i bardzo chciała się na nich zemścić. Choć trochę.

Czuła się porzucona.

– Gdybym mogła, oddałabym duszę diabłu, żeby tylko stąd wyjść – powiedziała głośno, nie wiedząc, kto jej słucha, albo choć kto ją słyszy. – Dopiero dałabym im w kość! A temu dupkowi najbardziej!

– A urodzisz mi dziecko? – zapytał ktoś zza ściany.

– Nawet diabła mogłabym ci urodzić, gdybyś tylko mnie stąd wyciągnął – odwrnęła.

Nie była już w wieku do tego odpowiednim, ale przecież nie myślała, że ktoś ją pyta poważnie o takie sprawy, do wieku zaś w ogóle nie zamierzała się przyznawać, a już tym bardziej przez ścianę.

*

Diabeł nie wybrzydzał. Oto pierwsza osoba, która się zgodziła. No fakt, różnica wieku była spora, ale nie miał z tym problemu, cóż to jest trzysta lat wobec wieczności?

*

Impreza w założeniu nie miała być smutna, choć kojarzyła się trochę z pogrzebem, który zresztą jeszcze się nie odbył, albo ze stypą. Donata chyba w ten sposób żegnała swoje marzenia o szczęśliwym życiu u boku sławnego i zamożnego męża. Tego konkretnego, bo przecież nie zamierzała przestać szukać.

Nie wiadomo, jak miało się do tego disco polo, którego sobie zażyczyła. Chciała je puszczane w tle, ale nie od początku, tylko po upamiętnieniu.

– Bo może potem się potańczy.

Wszyscy czuli się w obowiązku przyjść, bo wszyscy jakoś brali udział w całej sprawie.

Niemniej jednak nie było to coś, co uważaliby za przyjemną imprezę.

– Karol też będzie? – zapytała Miłkę, mrużąc rozkosznie oczy, z czego Miłka zrozumiała, że Karol może być następnym kandydatem na jej wielką miłość, w końcu wygrał ten milion i jakoś będzie musiał go wydać, a jeżeli tak, to ona jest gotowa udzielić mu koniecznej pomocy. I to naprawdę z dobrego serca.

– W ogóle nie wiem, czy ta impreza to dobry pomysł – odpowiedziała jej zgodnie ze swoimi odczuciami. – Merlin nie żyje, matka Karola w więzieniu, a my tu będziemy sobie potańcówki urządzać? Jakies to takie...

– Oj tam, oj tam – Donata natychmiast wyczuła zagrożenie – przecież nie będziemy szaleć. Posiedzimy, powspominamy. Tak się robi. Za granicą też.

*

– Powiedz mi, co z tą budą – zagadnął Tomasz, trochę gubiąc się w swoich myślach. – Co to mogło być? I jaki interes Merlin mógł robić z Karolem? Przecież z nim mieszkałaś, nic ci nie wpadło w oko? Ucho?

– A jak miało mi wpaść? Mnie całymi dniami nie było w domu. Wiem tylko, że często słuchał tych filmików, nawet żartowałam sobie z niego, że wróżby kocha jak stara baba.

– A Zenobia?

– Nadal uważam, że nie ona go zabiła, ale oczywiście ty masz inne zdanie. – Zamilkła i westchnęła jakoś jakby z rezygnacją. – Cholera wie, po co my tu właściwie przyszliśmy, nie lubię takich imprez.

– Na wielu takich byłaś? – Tomasz chyba się wyzłośliwił, ale raczej nie celowo.

– Na żadnej, ale i tak wiem, że nie lubię. To jakieś pogrzebowe disco polo, proteza. Robienie sobie okazji do imprezy ze śmierci, dla mnie brrrr.

– A mnie to ciekawi bardzo – uśmiechnął się półgębkiem.

– Chodzi o śledztwo? Na przykład kto przyjdzie, kto nie przyjdzie? Tylko że według ciebie morderca siedzi w więzieniu, to czego szukasz?

– Kogoś, kto pozwoli mi zrozumieć, o co chodzi. Dlaczego? Co to za przekręt?? Niby wszystko jest w porządku, ale czuję niedosyt.

W chwilę potem oboje odczuli przesyty. Przesyt Merlinem.

Weszli do domu weselnego, ale jakimś cudem znaleźli się w mrocznej jaskini Merlina.

Na ścianach i wszelkich płaskich powierzchniach wyświetlone były obrazy z filmików ofiary. Niektóre były stopklatkami, inne wyświetlały się bezgłośnie, tak że wchodząc w to jakimś cudem mroczne miejsce, wszyscy czuli się otoczeni przez zmarłego.

Z komputera leciał też filmik z dźwiękiem, na szczęście tylko jeden, tak więc i głos ofiary było słycać.

Wszędzie paliły się świece oraz jedna kula dyskotekowa, która rozświetlała wszystko szalonymi kolorami.

Kilka stolików tworzyło skupisko, a ludzie siedzący przy nich mogli, choć wyraźnie nie za bardzo chcieli, ze sobą rozmawiać.

– Jakis alkohol by się przydał – mruknęła babcia Miłki – bo teraz to jakaś stypa jest.

– Babciu – Miłka pogroziła starszej pani palcem – przecież to właśnie jest stypa.

– O nie! Upamiętnienie!

– Usramiętnienie, tej pigwówki bym się napił, tej domowej. – Karol mrugnął do babci Miłki.

– O ty, gadzino, mało mi wychlałeś po kryjomu? Jak ci Miłka klucze do mnie zostawiała? Ile razy przyszłam, widać było, że się gościłeś na całego, więc wystarczy. Piwa się napij albo czegośkolwiek.

Alkohol jednak podano, ale nie na koszt Donaty, po prostu ten, kto chciał wypić, musiał sobie zamówić i zapłacić.

Niby było drożej, ale atmosfera wymagała podlania, bo latający wszędzie cień Merlina sprawiał, że ludzi suszyło.

Było nudno.

Naprawdę bezsensownie nudno.

Donata chciała jakoś rozruszać towarzystwo.

– Może każdy powie coś o Merlinie?

Nikt się nie kwapił. Ludzie go nie znali, a jeżeli go nawet znali, to i tak trudno im było się skusić na wystąpienie, w którym albo dobrze, albo wcale. Nie to, że ludzie mieli same złe wspomnienia, ale większość łączyła się jednak z jego działalnością internetową, a więc z wróceniem, a ludzie podchodzą do tego dwojako: albo wyszydzą, albo wierzą, tyle że jeżeli wróż da się zamordować, i to zniechacka, to jego zdolności same się przekreślają. Nie wiedział?

– No ja to może powiem, że, no... W sumie chłop jak chłop, ale miły był, no i dziecko ładne – oświadczyła Malwina przy dezaprobie matki, która piorunowała ją wzrokiem, choć nic nie powiedziała.

– To może toast? Na zdrowie nieboszczyka? – zapytała Arleta i zamilkła na chwilę. – Boże, przestańcie, umarł to umarł, ale wy jeszcze żyjecie, ja też, nie ma sensu aż tak się umartwiać. Zgaście te wizje i puśćmy coś wesołego.

Merlin w tym czasie zaczął się jękać.

– *Przypływ energii czeka na was dziś w nocy... pragną będą zadowoleni. Przypływ energii będą zadowoleni. Przypływ eee zadowoleni...*

– Wyłączcie to cholerstwo! – jęknęła Arleta.

– Ee, nie mogę tego wyłączyć, zapętlilo się coś – odpowiedziała babcia, będąca jedną z niewielu osób, które naprawdę nie powinny dotykać tego sprzętu, bo nie wiedziała, ani jak działa, ani jak nim sterować.

Na dodatek kula dyskotekowa zaczęła wirować w takim tempie, że aż wszystkim zaczęło być niedobrze.

Światło lypało kolorową czkawką, ale dookoła ta czkawka rozmywała się i było naprawdę paskudnie. W pewnym momencie coś łupnęło. Kula przestała działać. Światła też, choć zapalone były tylko te w kuchni i w korytarzu, za to laptopy nadal działały.

Merlin był wszędzie i gadał ze ścian swoim czkawkowym przekazem.

Przypływ energii będą zadowoleni. Przypływ eee zadowoleni... przypływ energii będą zadowoleni. Przypływ eee zadowoleni... eeee zadowoleni.

– Jezu, jak to dobrze, że Zenobia siedzi w więzieniu – stwierdziła Donata. – Normalnie zesrałabym się ze strachu, gdybym wiedziała, że ona tu może przyjść – dodała niepewnie.

– No to możesz spokojnie zaczynać – mruknął Tomasz, bardziej do siebie niż do niej. – Uciekła.

Ucieczki z więzienia nie są aż takie częste w życiu jak w kinie. Szczególnie tym amerykańskim, dlatego dziewczyna na mocno się zdumiała. Zresztą nie mniej niż Tomasz, bo on wiedział, że ucieczka jest prawie niemożliwa.

– Ale jak? – pisnęła przerażona Donata, jakby to mogło mieć w tej chwili jakiegokolwiek znaczenie.

– Wyrwała ścianę!

Huk opadającego gruzu oszołomił Zenobię.

– Proszę bardzo – powiedział diabeł, wskazując kobiecie dziurę w budynku, dziurę właściwie w ścianie, albo raczej kanciasty i paskudny brak ściany.

*

– *Przypływ energii będą zadowoleni. Przypływ eee zadowoleni...przypływ energii będą zadowoleni. Przypływ eee zadowoleni... eeee zadowoleni* – zachrobotało z głośnika.

– Aaaaa – wrzasnęło z kuchni.

– Przestańcie, ja się boję! – wrzasnęło gdzieś spod ściany. Nikt nie był w stanie rozpoznać głosów, takie były przeżone.

– Mama?! – krzyknął Karol i nie było w tym słowie czułości. – Ale co ty tu robisz? Przestań, przestań natychmiast!

– Czy to jest patelnia?! – zawołała Kaśka Skwarek z okolic korytarza, zupełnie nie wiadomo do kogo i dlaczego. – Patelnia? Patelnię?

Krzyki zaczęły się powtarzać to tu, to tam, bo wyglądało na to, że migający Merlin bardziej zaciemnia obraz sytuacji, niż ją rozjaśnia, choć czasami dawał odrobinę światła. Świczki pogasły poprzewracane, bo w sali nastąpił armagedon.

Ludzie popychali się, potykali o siebie i o stoły, wpadali na ściany, usiłovali gdzieś się wydostać, gdzieś gdzie byłoby światło, którego nie było nigdzie, nawet na parkingu.

Babcia wpadła w resztki sałatki, możliwe, że jarzynowej.

Malwina zwałał choinkę.

Kaśka wciąż dopytywała się o patelnię, ale nikt nie chciał jej słuchać.

Miłka chciała ratować babcie.

Tomasz chciał złapać Zenobię, która, według tego, co krzyczał Karol, gdzieś się tu pojawiła.

Karol wrzeszczał, jakby ktoś chciał go zabić.

– Nie, mammo, nie! Ratunku! Nie bij, mammo!

– Mammo? Ja ci dam mammo, ty gnoju! – odparł ktoś naprawdę grobowym głosem.

– Gdzie jest to pieprzone światło? – krzyknął Tomasz.

Pytanie było z gruntu dziwaczne, bo jeżeli światła nie ma, to nie ma, nie schowało się przecież pod stołem ani w szafce, ale Tomasz miał na myśli chyba coś innego, bo usiłował nie dopuścić do masakry, a w każdym razie tak mu się wydawało.

– Miłka! – wrzasnął. – Gdzie jesteś?

– Tutaj! – odpowiedziała odruchowo dziewczyna.

– Gdzie jest to tutaj? Bo za cholerę nie mogę cię znaleźć! I gdzie jest Karol?

Problem polegał na tym, że w ciemnościach nikt za dobrze się nie orientuje, nie tylko nie wie, gdzie jest ktoś inny, ale sam ma marne pojęcie na temat swojej własnej lokalizacji przestrzennej.

– Po co ci Karol?! Chyba z matką walczy gdzieś w korytarzu, ja się do kłótni rodzinnych nie będę wtrącać!

– Ale ona może go zabić!

– I bardzo dobrze! – Miłka dołożyła do swojej wypowiedzi sporo własnej złości dotyczącej chłopaka. – Ale nie liczyłabym na to, to matka, nic mu nie zrobi.

– To nie jest matka!

Po głosie dotarł mniej więcej tam gdzie znajdowała się dziewczyna, choć dostępu do niej broniła jakaś sterta krzesel albo stolików.

Merlin zaczął się krztusić na ścianie i lypał tylko od czasu do czasu to tu, to tam oraz charczał.

Przypppppp ii qqqqq iiiiii.chhhrrrrrrr qqqq iiiiv eee zadowoleni... eeee glllll. Eeeeee grrrrr. Zadowoggggrrrrr...chchczrrzz

– Jak to nie matka? A co?

– No nie wiem, coś, co potrafi wyrwać ścianę, może też urwać głowę.

– O Jezu Chryste! – jęknęła Donata. – Karola ratować... Ta matka go zabije....

– Nie, matka nie!

– Jak to? Zabiję! Zabiję gnoja! – wrzasnęła Zenobia spod stołu chyba, bo było to gdzieś w okolicach podłogi, a Karol był słyszany z korytarzyka koło kuchni.

W tym momencie coś walnęło. Albo huknęło i rozległ się przerażający krzyk.

– Patelnia! – zawołała Kaśka.

– Karol! – zawołała Donata.

– Ratunkuuuu! – zawołał Karol.

W tej samej chwili pod dom weselny podjechały dwa radiowozy. Pojawiło się też światło w postaci reflektorów samochodowych i kilku osób z naprawdę wielkimi latarkami.

– Co tu się dzieje, szefie? – zapytał jeden z mundurowych, licząc na jakieś konkrety, ale ich nie uzyskał.

Tomasz stał w korytarzu i trzymał w objęciach jakąś kobietę.

– A ty co? Złapałeś naszą uciekinierkę?! – ucieszyła się Julita.

Tylko warknął.

– Niech mnie pan puści! – wrzasnęła kobieta w jego objęciach. – Ja to zgłoszę! Nie zgadzam się, to jest napastowanie.

Kopała, gryzła i tłukła pięściami, choć nie za bardzo jej na to pozwalał uścisk, mniej więcej żelazny.

A jednak po chwili światło zostało włączone i ktoś litościwie wyłączył charczenie Merlina. Trzymana przez Tomasa kobieta była zakutana w ciemne ciuchy i nie pokrywał jej pył ani tynk, czego się spodziewano, skoro wyrwała ścianę w komisariacie.

Na podłodze leżał Karol, naprawdę całkiem skatowany. Miał krew na twarzy, zdecydowanie złamany nos, łuk brwiowy obficie mu krwawił, ale chyba też miał złamaną rękę i szczękę. Puchł.

– Matka nieźle cię urządziła – westchnęła żałośnie Kaśka na jego widok.

– Ja? Kiedy mnie tam nie było – jęknęła Zenobia.

Stała pod przeciwległą ścianą podtrzymywana przez Lucjana, który był wyraźnie bardzo zadowolony.

– Kto mnie tak urządził? – sapnął Karol, choć to pytanie w ogóle było głupie, powinno być mu wszystko jedno, w końcu przeżył.

– Lalina, Lalina Mara-Koziej – wyjaśnił Tomasz, który również był zadowolony. Z siebie.

– Co znowu Lalina? – zdziwiła się babcia, która, zważywszy na okoliczności, jakimś cudem była cała.

– To ona zabiła Merlina. – Tym razem Tomasz miał minę kota z Cheshire, pełną satysfakcji, zagadkową i uśmiechniętą.

– Ale jak? Niemożliwe! Nie ona! – Towarzystwo mniej więcej zgadzało się z tą wypowiedzią, co było widać po zaskoczonym wyrazie twarzy.

– Właśnie, niech się pan nie ośmiesza – warknęła Lalina, przybierając pozę skrzywdzonej niewinności, której tylko korony zabrakło. – Pan mnie obraża!

– Nie, zakuwam – burknął.

– Nie pozwalam! – Lalina naprawdę liczyła, że jest w stanie mu na to nie pozwolić.

– Jasne, proszę bardzo, ma pani prawo, niestety nic to nie da – westchnął. – Zróbcie tu jakiś porządek! Odwalcie te stoły, co? Kto zepsuł Merlina?!

– Ona, widziałam, walnęła patelnią w któryś laptop, a właściwie tak mi się wydawało – Kaśka Skwarków usłużnie podawała wszelkie informacje – a potem waliła w niego.

– Ale co to w ogóle znaczy? Jaki to ma sens?

W takich momentach ludzie zawsze szukają sensu i prawie nigdy go nie znajdują.

– Bardzo ważny, otóż Lalina robiła interesy.

– Z Merlinem?

– Nie. Właśnie bez Merlina, co mu się zdecydowanie nie spodobało, i postanowił to zmienić, no i trochę jej podpadł.

– Jak bardzo trochę? – Babcia miała niespożytą chęć dowiedzieć się wszystkiego jak najszybciej, najchętniej natychmiast.

– Bardzo... No w każdym razie go zabiła.

– Niemożliwe. Ona? Przecież ona... No, ona – Donata aż się zachłysnęła zdziwieniem – jak? Przecież po pierwsze podobno byli przyjaciółmi, po drugie ona się sama nie potrafi po dupie podrapać!

– No proszę, proszę, też mi się specjalistka podkuchenna znalazła! Tfu! – fuknęła Lalina. – Nie ma co jej słuchać! Jest głupia!

Nagle zorientowała się, że to, co powiedziała, było skrajnie nielogiczne.

– To znaczy... tak, ja naprawdę nie umiałabym go zabić, lubiliśmy się, no i nie... Auuuuuuuu! – wrzasnęła, kopnięta w goleń przez Malwinę.

– To za mojego dzieciaka! – warknęła Malwina i dołożyła jej kopa w kolano.

– No przestańcie – mruknęła Julita, patrząc ze zdziwieniem na Lucjana. Nadal podtrzymywał Zenobię, choć teraz już jakby bardziej trzymał ją na rękach. Julicie wydało się to nawet urocze, Zenobia miała około sześćdziesiątki, więc dla Julity była tylko starszą panią. Lucjan na oko był od niej młodszy o jakieś trzydzieści lat, ale tylko na oko.

– Nie kopać więźnia! – zażądał Tomasz.

– Jasssssne, morderczyni! – zasyczała wściekle Malwina.

– Suka! – dorzuciła Zenobia z wysokości diablích rąk.

– Mamo, przestań! – zaprotestował niemrawo Karol.

– Chciała cię zabić.

– Ty też!

– Ale ja mam prawo. Sama cię urodziłam!

– A idź do diabła! – krzyknął syn, bo ta kwestia w rozmowach z matką pojawiała się często i była czymś w rodzaju szantażu.

– Dobra, dzięki! – uśmiechnęła się radośnie Zenobia, czym bardzo zdziwiła swojego syna. Rodzonego.

– Dosyć tego – Lalina wcale nie chciała dać za wygraną – proszę mnie wypuścić! Natychmiast! Natychmiast! Już. Nikogo nie zabiłam. Nie ma pan na to żadnych dowodów.

– Mam!

– Przecież to bzdura – jęknął opatrywany właśnie Karol. – To w ogóle nie ma sensu. Już kto jak kto, ale ona?

– Rozumiem, że wolałby pan mniej rozgłosu, niestety, to się nie uda. A zaczęło się od pani Skwarek.

Kaśka Skwarków zdębiała.

– O nie! Co to to nie! Nie mam z tym morderstwem nic wspólnego!

Tomasz aż się roześmiał. Wszystko ma swoje czasami całkiem niewinne początki.

– A pamięta pani rybnie odchody? Jak wyglądały?

– Jasne, że pamiętam, były w puszcze, taki kawior to był. Wyglądał obrzydliwie. Tak jak suche gówno, takie bardziej końskie.

– I o to chodzi. Każdy, kto kiedykolwiek widział kawior, takim opisem się zdziwi, prawda? Strasznie trudno przyrównać te piękne czerwone albo czarne kuleczki do końskiego gówna, owszem, można nie lubić, ale nie wyglądają jak farfocle.

– No i co? Zamknie mnie pan za farfocle?

– Nie, ale kiedy je pani wrzuciła do ciasta... Zresztą od początku. Ośrodek Laliny nie zarabiał, owszem, był drogi, ale nie każdego było stać, klienci się nie pchali drzwiami i oknami, wbrew oczekiwaniom bogaci i sławni woleli Paryż niż Leszyn, więc Lalina postanowiła podreperować budżet. Dopalacze, a właściwie syntetyczna marihuana, coś wam to mówi? Przechowywała je w puszkach po kawiorze. Ktoś jednak zaczął je podkraść.

– No coś mówiła, że ludzie kradną – przerwała mu Julita. – Pani Zenobio, może pani już stanie na własnych nogach, co? – warknęła w kierunku matki Karola.

Nie wiadomo, dlaczego widok Zenobii umoszczonej na rękach zachwyconego Lucjana Julicie sprawiał coś w rodzaju przykrości. Niby nie widziała w tym nic gorszego, a nawet usiłowała widzieć grzeczność, chęć pomocy i dobre serce, ale jakoś jej to nie wychodziło.

– A niech robi, co chce! – jęknął Karol.

– Cisza! – wrzasnął Tomasz. – Co się czepiacie kobiety! No więc ktoś ją okradał, coraz to zresztą bardziej.

– Merlin? – westchnęła Donata.

– I Karol! – uzupełnił Tomasz. – Jak tylko Lalina miała dostawę, Merlin w swoim filmiku dawał sygnał, a Karol włamywał się do „zaświatów” i kradł. Dlatego potem, podkopane, się zapadły.

– No ale...

– Kiedy Kaśka wrzuciła syntetyczną marihuanę do ciasta drożdżowego przeznaczonego do celów terapeutycznych, a Merlin się w tym cieście wytaplał, wchłonął sporo tego świństwa i był tak narąbany, że się wygadał. Nie wiedział, co robi. Wygadał się Lalinie i poszedł do domu babci Miłki, gdzie często pod jej nieobecność spotykał się z Karolem.

– Polazł tam nagi?

– Nie, jeszcze wtedy był ubrany, ale jak przyszedł, zdał sobie sprawę, że nie domyśli się po cieście i ciuchy na nim się lepią. A zatem je zdjął. Przypomnę: nie za bardzo wiedział, co robi. Lalina, przerażona całą sprawą, szła za nim, wlała do domu, dopadła go i uduśliła, a potem zabrała ciuchy i poszła je schować do chłodni, gdzie na wszelki wypadek schowała resztę puszek z kawiozem.

– Po cholere? zabierała ciuchy?

– Działała odruchowo, ale może chciała utrudnić wykrycie? Jakoś? Albo sprawić wrażenie, że Merlin był jakby u siebie?

– No ale... – Babcia drażyła, bo jednak dotyczyło to także i jej.

– No ale zmarły też przypadkiem znalazł się w tej chłodni, po długiej wędrówce na sankach, samochodem i wleczony pod ręce przez trzech niedopitych facetów. A potem również przez przypadek trafiła tam Zenobia.

– Sporo tych przypadków. A dowodów brak – warknęła Lalina i roześmiała się paskudnie. Była tak na pierwszy rzut oka elegancką i raczej miłą kobietą, na drugi jednak już nie.

– Fotel – odpowiedział Tomasz. – Pani nigdy nie odwiedziła tego miejsca, czyli domu, w którym mieszka babcia Miłki, a na fotelu z tyłu, a właściwie za jego tylnym oparciem, było pani DNA.

– Szlag.

– No i część spalonych dopalaczy w lesie razem z fajerwerkami pozostała na bokach pudła, wraz z pani śladami. Kiedy przychodziła dostawa, Merlin wypowiadał zdanie „Przyływ energii czeka na was dziś w nocy, wszyscy, którzy pragną, będą zadowoleni”. Karol kradł i razem z Merlinem wynosili to do budy w lesie, pod podłogę, a potem rozprawdzali wśród ludzi. Szykowali też magazyn w bunkrze. Dlatego Karol tak się wzbogacił, że musiał sobie kupić wygrany los, żeby przed Urzędem Skarbowym móc wykazać, skąd ma takie gigantyczne pieniądze. Potem udawał, że mu go ukradziono, ale pani Zenobia, nie podejrzewając, jak zarabia syn, przesłała nam jego skan.

– Ale dlaczego go zabiła? Za to... – Julita osłupiała. – Czy oni się całują?!

Pewne zachowania w ogóle nie są akceptowalne, a całowanie się w towarzystwie do takich właśnie należy, ale jeżeli całuje się para nastolatków, to jakoś można im to wybaczyć, albo jak starszy pan całuje się ze swoją o czterdzieści lat młodszą żoną, to też jakoś pasuje, ale nie starsza kobieta z młodszym mężczyzną.

To jest po prostu wstyd i masakra, a fakt, że facet, który wygląda na trzydzieści, jest o trzysta lat starszy, nie miał szans przebić się do świadomości zebranych.

– Mamo, co ty robisz... u diabła?! – Karol trochę liczył, że zachowanie jego matki jest obliczone na jakiś ratunek dla niego samego, jakieś odwrócenie uwagi albo coś... Nie mógł bardziej się mylić.

– I ona go zabiła, bo jej podkradł trochę zielska? No nie pojmuje! – wykrzyknęła Miłka. – Ja to już zupełnie zgłupiałam!

– O nie, nie! Ty wcale taka głupia nie jesteś – powiedziała Zenobia z wysokości diabelskich ramion. – Przejrzałaś gnoja! Ja bowiem byłam zaślepiona, muszę cię przeprosić! Dobrze zrobiłaś z tą intercyzą.

– Kochanie?! – rozległ się głos męża Zenobii wezwanego na pomoc przez zaszokowanego syna. – Zejdz natychmiast i przestań obściskować tego brudasa! – Maciążek senior podbiegł do Lucjana, chcąc wyrwać mu swoją własność z rąk.

Własność wymierzyła mu kopa w jądra – tak, że się zwinął w kłębek.

Teraz to Miłka zdębiała. Z dwóch powodów: po pierwsze z powodu przeprosin, po drugie z powodu kopa w klejnoty.

– Auć! – syknęła, bo mąż Zenobii nawet na to nie miał siły.

– Więc jak, do cholery? Zabiła go za zielsko?! – zapytała Donata w szoku.

– O nie, zielsko to zielsko. Może nie jest tanie, ale zabijanie dla czegoś takiego? Nie, Lalina miała inny powód. Chodziło o to, że żona burmistrza kupiła las, żeby zrobić parking, pamiętacie?

– I co to ma wspólnego?

– Otóż to, że syntetyczną marihuanę trzeba kupować, a to kosztuje. Naturalną można wyhodować i to też kosztuje, ale o wiele mniej i nie zmusza do kontaktów z szemranymi sprzedawcami. Toteż burmistrz, jego żona i Lalina wymyślili sobie, że zaleją wszystko betonem.

– No pięknie, i co im na tym betonie wyrośnie?

– Doskonały kamuflaż.

– Jakim cudem?

– Pod parkingiem w bunkrach chcieli założyć hodowlę marihuany. Już nawet zaczęli. Zgromadzili sprzęt i kilka sadzonek, ale Merlin, szukając miejsca na przechowywanie kradzionych Lalinie zapasów, niechcący odkrył ich tajnię.

– A fajerwerki?

– To Lalina paliła resztki dopalaczy, bo bała się rewizji w ośrodku.

– Mamo? – Karol niby słuchał, niby nie słuchał. – Co ty robisz?

Wszyscy popatrzyli, jak Lucjan wynosi na rękach Zenobię jak najcenniejszą zdobycz.

– Idę do diabła! Sam mi kazałeś! – oświadczyła z uśmiechem na twarzy.

– Ale...

– Dobra, niech robi, co chce. Mnie interesuje... – Malwina podniosła palec, jakby zgłaszała się do odpowiedzi. – Ten, hm... Burmistrz.

– Burmistrz?

– No bo Merlin nie żyje, Karol no, tak jakby nie będzie już bogaty, a burmistrz... Chodzi mi o utrzymanie dla dziecka.

– No cóż, raczej bym na niego nie liczył, choć jego żona... Na tym fotelu, który zabraliśmy z domu twojej babci, Miłka, było także DNA burmistrzowej. Już została aresztowana, obie go zabiły...

– Nie, no zaraz. Jakim cudem? Co to u mnie była jakaś hala dworcowa czy coś?!

– Pani poszła do lasu stłuc Karola, a one do pani udusić Merlina. Lalina wezwała ją na pomoc, bo bała się, że sama nie da rady, był silny, może otumaniony, ale jednak sporych rozmiarów.

– W moim domu? Naprawdę? – Babcia była zaszokowana.

– Oj, tam był punkt kontaktowy. Karol tam nawet odbierał telefony, choć o ile wiem, to i pani także.

– Nie, zaraz, moment, wszystkich trzech ojców?! *Really?* I co ja teraz zrobię? Ja ich starannie wybierałam, chciałam dla dzieci dobrej przyszłości, a co mam? Przestępców i narkomanów?! Jezu, no, matka mnie zabije!

– Nikogo nie będę zabijać. Po prostu pójdziesz do pracy – burknęła złośliwie Marchewkowa.

– To właśnie miałam na myyyyyśliiii – rozplakała się Malwina.

Życie bywa okrutne na wiele przerażających sposobów.

Julita była wściekła na Zenobię i Lucjana, ale nic nie mogła zrobić. Donata wróciła do poszukiwań, ale też miała marne efekty, za to Miłka i Tomasz mieli się ku sobie. Tak jakby.

*

Lucjan awantury się nie spodziewał, bo teraz właściwie ojciec powinien był być zadowolony, a jednak nadeszła, choć wydawało się, że musiała nadejść, bo Lucjan nie spełnił pokładanych w nim nadziei.

Żona była. Nie było, co prawda, syna, ale liczył, że tylko chwilowo, bo Zenobia powiedziała, że ma klimakterium i gdyby nie to, natychmiast by zaszła w ciążę.

Musiał tylko przeczekać.

Niestety nie wszystko szło jak po maśle.

Było czuć, że Zenobia i teść jakoś się nie dogadują.

Strasznie dziwnie w ich piekielnym domu wyglądała choinka i brzmiały kolędy. Ojciec dostawał od nich wysypki. Niestety, żadne tłumaczenia do Zenobii nie docierały.

– Tradycja rzecz święta! – oświadczyła i nie mieli nic do gadania.

Zenobia zdawała się nie widzieć, gdzie się znajduje.

Ojciec Lucjana dopadł syna w korytarzu. Poślizgnął się na podłodze wyłożonej plastikową folią, wpadł głową w ścianę.

– Mój róg! Złamałem róg! Będę wyglądał jak jakaś krasula! Żonę! Miałeś sobie znaleźć żonę, a nie to babsko! – warknął. – Wnuka chciałem! Powiedz jej, żeby zdjęła folię z podłogi i ze stołu, i ze ścian, już! Do roboty!

– Ale mnie to zupełnie nie przeszkadza i w ogóle, niczego nie żałuję – jęknął nieśmiało Lucjan – i nie rozumiem, dlaczego nie powiesz jej tego sam.

– Panowie! – rozległo się zza ściany dość głucho. – Który znowu rozpalil w kominku?! Jest ciepło! Nie będę tolerować marnotrawstwa.

– Zimno mi... – westchnął ojciec – i...

– Ty też się jej boisz?

– Tak! To znaczy nie. To znaczy, wiesz, ja ją doceniam, bardzo...

– Panowie?! Kto pozwolił zdjąć kłódkę z lodówki i gdzie jest piwo?! Do włosów było!

– Synu! Ty z nią coś zrób! Zrób z nią coś, bo ja wariacji dostanę! Może gdyby tak odebrać jej to klimakterium, byłoby lepiej?

No cóż, wydawało im się, że warto spróbować.

Po jakimś czasie poznali całe spektrum grozy.

Diabły nie są przyzwyczajone do kobiet w ciąży, a jeszcze mniej do wściekłych matek uroczych trojaczków.

*

Wszystkich winnych zapuszkowano, tyle że spokój w Leszynie nie zapanował. Las został na swoim miejscu. Nikt go nie zabetonował, nie powstał też żaden parking, ale ludzie raczej starali się omijać leśne ostępy.

Nawet Tomasz z Miłką, kiedy czasami szli do lasu na spacer, doznawali nieprzyjemnego wrażenia, że jest jeszcze bardziej diabelski niż był.

Wyło.

Chichotało.

Wrzeszczało po nocach, słyhać było też przerażający płacz, jakiś taki bardzo męski, czasami chóralny.

Gdyby się wsłuchać, można by usłyszeć coś w stylu: „Ratunku... ratunku, niech ktoś zabierze ode mnie tę potwor-
ną babę!”.

Czasami w krzakach pokazywały się małe diable postaci o czerwonych oczach. Wyglądały jak dzieci, a to przerażało. Dzieci z rogami i płonącymi oczami, w lesie, nocą... Nikt by nie chciał czegoś takiego doświadczyć, najgorsze jednak było to, że raz na jakiś czas tajemnicza siła rozkładała na ścieżkach płachty plastiku, na których ludzie łamali sobie nogi i wybijali zęby.

A przecież to był dopiero początek.

KONIEC